



MARTWY KLIF

JĘDRZEJ PASIERSKI

Seria z komisarz Niną Warwiłow



Seria „Ze Strachem”:

Wojciech Chmielarz *Wampir*

Anna Kańtoch *Łaska*

Wojciech Chmielarz *Osiedle marzeń*

Wojciech Chmielarz *Farma lalek* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Przejęcie* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Zombie*

Anna Kańtoch *Wiara*

Jędrzej Pasierski *Dom bez klamek*

Jędrzej Pasierski *Roztopy*

Jędrzej Pasierski *W Imię Natury*

Anna Kańtoch *Pokuta*

Jędrzej Pasierski *Czerwony świt*

Jędrzej Pasierski *Kłamczuch*

Jędrzej Pasierski *Gniazdo*

Więcej informacji: czarne.com.pl

Jędrzej Pasierski

Martwy klif

wydawnictwo  zarne

Wołowiec 2023

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografie na okładce © Alan Tang / Unsplash; Catherine Ledner / Photodisc / Getty Images

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2023

Redakcja Gabriela Niemiec / d2d.pl

Korekta Justyna Żebrowska / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-700-1

Mojemu bratu Michałowi

1

– Tędy?

Stary mężczyzna skinął głową.

– Musi pan iść z nami – powiedział Szymon Kacperski i gestem wskazał miejsce na łodzi.

Mężczyzna, który został im przedstawiony jako Adam Rogosza, chwilę się wahał. Ale w końcu wsiadł. Czapka z daszkiem zakrywała mu twarz, widać było siwy zapuszczony zarost, podchodzący prawie pod oczy. Wyraźnie jednak nie takiej nagrody – przymusowej przejażdżki z policją – oczekiwał za zawiadomienie władz o swoim nietypowym znalezisku.

Siedział teraz skulony pomiędzy roslymi funkcjonariuszami, przysłanymi tutaj ze Świnoujścia. Być może po raz pierwszy w życiu miał okazję być w centrum uwagi.

– Od dawna pan tutaj mieszka? – zapytał Kacperski, kiedy już wypłynęli na wody kanału. Szczelnie zapiął płaszcz przeciwdeszczowy, bo wiatr na Zalewie Szczecińskim, ciągnący znad morza, ostro smagał go po twarzy. Ale tu wietrznie; co z tego, że kilka kilometrów od morza. Od wody ciągnęło jak w Dziwnowie.

– Od osiemdziesiątego roku.

– To trochę. Proszę mi opowiedzieć po kolei, co pan wczoraj robił.

– Zrobiłem sobie nockę...

– Czyli?

– Nocny połów.

– Dlaczego wtedy?

– Lepiej biorą.

A jednak to nad ranem znalazł najokazalszą rybę.

Przeplýwali wąskim przesmykiem pomiędzy Karsiborem a Wielkim i Małym Krzekiem. Po lewej stronie Kacperski dostrzegł światła Przytoni. Stamtąd było nieco bliżej do Krzeków. Ale to właściciel przystani kajakowej na omijanym przez świat Karsiborze znalazł ciało i otrzymał honor towarzyszenia policji.

Kacperski spojrział na mapkę w telefonie. Był zasięg, a oni stanowili maleńki punkcik, sprawnie poruszający się w stronę czegoś, co na ekranie widniało jako

plama piaskowego koloru. W rzeczywistości Wielki Krzek nie miał nic wspólnego z piaskiem, był bezludną, porośniętą trawą wysepką.

Zapatrzył się przed siebie. Jeszcze tylko kilkaset metrów. Zerknął na starego – Rogosza wyglądał nędznie. Ale co w tym dziwnego? Noc była zimna, a do tego nad ranem znalazł ciało. I spoglądał na Kacperskiego oraz policję, jakby chciał się schować. Problem w tym, że strach nie był żadną oznaką. Ludzie bali się policji, i chyba niestety coraz bardziej.

Jeszcze parę minut. Kacperski chciał już dotrzeć na miejsce. Z kieszeni płaszcza wyjął wełnianą czarną czapkę i nałożył na głowę. Łódź, około dwudziestoletnia motorówka, wydawała z siebie rytmiczny, odrobinę monotony dźwięk.

– To jak panu poszło? – zapytał.

Zdawało mu się, że widzi zdziwione spojrzenia policjantów wokół siebie.

– Wczoraj na połowie – uzupełnił.

– Kilka karasi, jeden węgorz – odrzekł spokojnie Rogosza. – Kiepsko. Z roku na rok coraz gorzej. W tych żakach może jeszcze coś będzie.

Wskazał na sieci i pręty wystające z wody.

– Ale mimo to nie zawrócił pan.

– Nie. Planowałem tę nockę już od paru dni.

– Co było dalej?

– Wracałem już, normalnie o piątej rano, i...

– Zawsze pan tak wraca? – wtrącił Kacperski, bo stary się zawahał.

– Tak.

– Sam?

– Kiedyś z kolegą łowiłem. Ale zmarł niedawno. Więc teraz sam.

– Nie szukał pan nikogo nowego?

– Lepiej samemu.

Zabrzmiało jak aforyzm. Skręcili w prawo. Stracili Przytoń z oczu, nic, tylko szara woda i wysokie zielone trawy. Kacperski już nie patrzył na mapę. Sternik, nieznany mu mężczyzna, prowadził pewnie. Zostawili już za sobą zabudowania na Karsiborze, ale jeszcze nie wypłynęli na szerokie wody zalewu. Manewrowali między trawiastymi wysepkami. Droga wydawała się za wąska na taką potężną motorówkę. Mimo ostrego wiatru lepsze byłyby tu chyba wiosła. Zastanawiał się, jak długo by zeszło kajakiem. Nie wiosłował od dwudziestu lat, kajaki pachniały starym, przeszłym życiem.

– Co było potem?

Zbliżył się do Rogoszy, po to też, aby choć trochę znaleźć się w kabinie, nie przemarznąć na kość na ostatniej prostej. Rogosza był nachylony, czapka z daszkiem zasłaniała mu oczy. Nawet na powietrzu i wietrze wyraźnie czuć było od niego alkohol. Pewnie popijał nocą na łodzi.

Lepiej samemu. A najlepiej – z flaszką.

– A potem – mężczyzna pobladł – przepływałem już tutaj, bliźutko. Czasem karasie się chowają, one lubią taką płytką wodę...

Urwał nagle i Kacperski zrozumiał, co się dzieje. Zbliżali się do celu. Poczł zastryk napięcia. Dopływali już, choć wskazywała na to tylko mapa w telefonie. Jasno i wyraźnie mówiła, gdzie są. Nie domyśliliby się tego, bo znajdowali się w zielonym labiryncie. Nad ich głowami krążyły ptaki z pobliskiego rezerwatu.

Ogromna, płaska kępa traw – tym właśnie był Wielki Krzek. Miał powierzchnię ponad stu hektarów. Z bliska niczego nie było widać, tylko ciągnące się w nieskończoność morze sitowia. Trochę wyspa, trochę przerośnięta kępa, jakby pływali po stawie w kraju gigantów. Niezamieszkała, choć podobno pośrodku znajdowały się ścieżki. Przeznaczone dla ornitologów, rybaków albo może ludzi potrzebujących spokoju ducha.

Mimo wiatru Kacperskiemu zdawało się, że słyszy oddechy na łodzi. Obok niego był jeszcze jeden funkcjonariusz z Kamienia Pomorskiego, drobny chłopczyzna ostrzyżony na krótko, oraz chłopaki ze Świnoujścia. Komendant stamtąd zadzwonił do jego własnego szefa, Karola Zembrzuskiego.

A Zembrzuski wyrwał go z łóżka. Teraz Kacperski wiedział już dlaczego.

Przełknął ślinę, bo zatrzymanie łodzi wprawilo go w stan napięcia. Chłopcy z Uznamu, w tym sternik ze Świnoujścia, byli już w zasadzie wolni. Zgodnie z wewnętrzną policyjną decyzją, że to sprawa powiatu kamińskiego.

– Dalej nie mogę płynąć – powiedział sternik.

– Dlaczego?

Spojrzał na Kacperskiego jak na idiotę.

– Bardzo płytko. To nie ponton. Jak za blisko podpłyniemy, sami tu utkniemy.

Płytkie wody Zalewu Szczecińskiego. Ale żeby aż tak? W tym miejscu zaczynał on przypominać regularne jezioro, z tych większych. Kacperski wstrzymał się jednak przed wkroczeniem na nie swoje terytorium.

– Trzeba będzie wyjść na brzeg – dodał sternik.

Kacperski przełknął ślinę, ale sternik, w nieco upokarzający sposób, przewidział tę sytuację. Zanurkował, otworzył szafkę i podsunął mu wodery.

– Na oko powinny być dobre.

Zdawało mu się, że gdzieś tam, może w swojej głowie, słyszy śmiech.

Uważali się za lepszych, wodniaków z tradycjami, choć część przybyła tu najdalej pokolenie wstecz. Bogate Świnoujście: duży port, teraz jeszcze obstawiony luksusowymi kurortami, gdzie niemal przez cały rok mieszały się urlopowicze polscy i niemieccy. Dalej miało swoich flisaków, brodatych mężczyzn z czerwonymi twarzami, przepływających ludzi między Uznamem a Wolinem. Dla tych ludzi Kacperski był tępym mieszczuchem, nawet jeśli nie zamierzał się podawać za nikogo innego.

Usiadł i przełknął upokorzenie, zakładając podjeżdżające zgnilizną wodery. Sięgały aż do pachwin. Wstał z ławeczki i zobaczył, że pozostali już na niego czekają. Stary Rogosza też już był gotowy, aby wskazać drogę.

Wiedzieli, kim był zmarły – Rogosza wyciągnął z jego kieszeni dokumenty. A przez fakt, że się znalazły i zostały przeczytane, Kacperski brodził teraz w mule i trawie. To było de facto jego śledztwo.

Być może poza tożsamością ofiary stary niewiele wiedział. Ale te wody znał najlepiej z nich wszystkich.

– Proszę przodem. Tam, gdzie pan go zobaczył – polecił mu Kacperski.

Rogosza kiwnął głową. Uformowała się smętna kawalkada, brnąca przez sitowie, broniąca się przed wiatrem. Kacperski z trudem stawiał kolejne kroki w wielkich gumowcach. Może i za płytko tu było dla łodzi – choć widział stąd kołyszące się żaglówki – ale wciąż dość głęboko. Szedł i bacznie wpatrywał się w morze zielonobrazowych traw.

W końcu to dostrzegł. Coś bardzo białego, kołyszącego się delikatnie na wodzie, jakby przytrzymywanego przez sitowie. Ciało.

– Stop – powiedział. – Proszę mnie przepuścić.

Mijając Rogoszę, Kacperski usłyszał, jak stary odetchnął z ulgą. Jego rola odkrywcy już się skończyła. Gdyby nie znalazł tego ciała, nie ma gwarancji, że kiedykolwiek by je odkryto. O tej porze roku nie było turystów. Powracały już powoli ptaki z rezerwatu po stronie Karsiboru, wśród nich i te drapieżne. Niewątpliwie nadmorska policja stała się dłużnikiem starego rybaka.

Denat był wysoki. Jego długie nogi zaplątały się w sitowie, jakby kępa walczyła o swoje i sama chciała zagarnąć ciało. Przydługie siwe włosy unosiły

się na wodzie. Kacperski się nachylił. W okolicach żeber mężczyzna miał głęboką ranę. Ten człowiek był za lekko ubrany jak na połowę marca. Miał na sobie tylko spodnie i podartą, zakrwawioną koszulę. Zsiniałe stopy wystawały z nogawek. Umarłby przez hipotermię; zwłaszcza że wydawał się bardzo stary.

Kacperski nagle się zachwiał.

– Ostrożnie – rzekł Rogosza za jego plecami. – Tu jest grząsko, muliście i może wciągnąć.

Odruchowo sprawdzając słowa starego, poruszył butem. Nogi utknęły mu solidnie w mule. Wyrwał je z trudem. Z kieszeni wyjął lateksowe rękawiczki i zbliżył się do ciała.

Kiedy ten człowiek zmarł? Jeszcze relatywnie mało cech rozkładu. A jeśli ciało wydawało jakąś woń, to zapach traw, mułu, a także wiatr skutecznie ją zabijały. Stary człowiek. Kolejne ciało, jakby wyspa Wolin i zalew robiły tu swoje porządki.

Na twarzy zmarłego malował się spokój. Kacperski sięgnął do koszuli denata, tam gdzie Rogosza już zaglądał. Policji w Świnoujściu rybak powiedział, że chciał sprawdzić, kim jest zmarły człowiek. Gdyby coś ukradł, toby się nie przyznawał, prawda? Myśli przepływały przez głowę Kacperskiego z dużą szybkością, jakby napędzał je dodatkowo wiatr znad zalewu.

Chwilę szperał i w końcu dotknął małego przemokniętego przedmiotu.

Portfel. Szkoda, że stary zostawił ślady, i to być może na całym ciele. Można je wykluczyć, ale to dodatkowa komplikacja. Dlaczego morderca akurat tutaj przywiózł ofiarę? Kacperski jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Morze traw, a pora roku nieprzychylna. Przystanie kajakowe, żeglarskie świeciły pustkami. A mimo to z pewnością pojawiali się amatorzy, nieustraszeni kajakarze, no i rybacy, jak Adam Rogosza...

Może morderca po prostu potrzebował czasu?

Czuł na plecach spojrzenia pozostałych. Ostrożnie wyjął z portfela kartę kredytową, prawo jazdy oraz jakąś legitymację parkingową i bon do supermarketu.

A przede wszystkim dowód osobisty.

Michał Góralski.

Chwilę obracał je w dłoni. Następnie odwrócił się i kiwnął głową.

– Sprawdź wszystkie numery z dowodu – polecił funkcjonariuszowi z Kamienia. – Nazwisko nie jest bardzo rzadkie. Wciąż mogło dojść do pomyłki,

prawda?

Tamten pokiwał głową, choć bez przekonania. Nie doszło; wszyscy o tym wiedzieli, choć Kacperski miał nadzieję, że to nie to. Myśli zaczęły krążyć mu pod czaszką jak rój much. Do buta wlało mu się trochę wody, była lodowata. Zaczynał marznąć.

Czekali na jego znak. Przepuścił więc fotografa i techników. Mewy latały wokół nich zaniepokojone: skąd wzięło się to nagłe zbiorowisko na tym zgoła bezludnym terenie? Piszczwały i wydawały z siebie odgłosy oburzenia. Świat tutaj nie należał do ludzi.

– Podkomisarzu?

– Tak? – ocknął się Kacperski.

– Mam potwierdzenie.

Krótką cisza, zwiastująca najgorsze.

– To jest ten człowiek.

– Więc już trzeci – powiedział Kacperski.

– Zgadza się, podkomisarzu.

– To już trzeci z nich – powtórzył mechanicznie.

Fotograf robił zdjęcia, technicy zbierali odciski i badali ślady. Jeśli cokolwiek tu się zachowało. Policjanci ze Świnoujścia, teraz trochę bez zajęcia, kierowali na niego spojrzenia. Tak jakby zniemacka miał udzielić im odpowiedzi. Wiedział i rozumiał tyle samo co pozostali. Czyli nic.

Spojrzał na drugą, wschodnią stronę zalewu, tam gdzie rozciągał się Woliński Park Narodowy. I choć wysoka kępa traw przesłaniała mu widok, pomyślał o miejscu, które było po drugiej stronie wody.

2

Nina Warwiłow zanurzyła stopy w chłodnym jeziorze. Ciało zaprotestowało, ale szybko ogarnęła ją przyjemna błogość. Po rundce dookoła zbiornika woda wcale nie wydawała się taka zimna. Nina prawie nie czuła, że to połowa marca i że droga tutaj, na Pojezierze Lubuskie, już zdążyła ją wykończyć. A nawet nie były z Milą blisko celu. Być może chciała tu zostać, nie jechać dalej. I żeby wiecznie była szósta rano w tym przejściowym czasie między zimą a wiosną. Gdzieś pod niemiecką granicą, skąd prawie mogłaby dostrzec górującą nad światem sylwetkę Chrystusa ze Świebodzina.

Rozpędzała się ostatnio. Dwa, trzy, pięć kilometrów. Wyszła z wody, już nie było jej tak gorąco. Rozejrzała się. Malowniczy Łągów spał. Był położony na czymś w rodzaju grobli między dwoma jeziorami i Nina miała wrażenie, że chłód ciągnie od obu naraz. Zimno stawało się dokuczliwe.

Spojrzała na garmina, kosztowny zegarek, który sama sobie sprawiła w prezencie na urodziny. Była czterdziestojednoletnią policjantką, matką niespełna czteroletniej dziewczynki. Wkraczała w wiek średni. Może powinna rozbudować profil w mediach społecznościowych i pokazywać, jak świetnie się trzyma. Chociaż w sprawach kobiecych ciało dawało jej znać, że nie jest młódką, fizycznie czuła się lepiej niż przedtem. Minęły migreny, które nękały ją regularnie w poprzednich latach. Skończyły się uciążliwe przeziębienia. Nie miała na nie ostatnio czasu: praca i praca, w przerwach czas dla dziecka. Bez dramatów, bez komplikacji i bez mężczyzn – przynajmniej przez ostatnie dwa i pół miesiąca.

Odczuwała lekki niepokój przed tym, co było celem jej podróży. A przecież jechała na wakacje, a przynajmniej na coś, co miało pełnić z grubsza funkcję urlopu. Wstała i otrzepała się z czystego piasku. Chłodna plaża była kompletnie pusta i dzika. Minie jeszcze parę miesięcy, zanim zaczną ją oblegać tłumy. Słońce ledwo się rozgościło nad wodą, rozświetlając jezioro. Z żalem opuściła to miejsce.

Godzinę później zjadły z Milą lekkie śniadanie złożone z owsianki (czysta dla Mili, z miodem i bakaliami dla niej). Następnie zapakowały się do pękającej już w szwach mazdy, w której niebezpiecznie mnożyły się książeczki w twardych okładkach, i ruszyły.

Jej poranny prawie mistyczny nastrój oznaczał dobre złego początki. Zadbala o śniadanie, ale nie o lunch, a Mila, ciesząca się doskonałym apetytem, szybko zrobiła się głodna. Chwilę później, w kafejce na stacji benzynowej Lotosu, znalazły się w przedsiionku piekła. Nawet w marcowy dzień stacja była obleżona. Skąd ci wszyscy ludzie się brali? Jechali tam, gdzie one? Podejrzenie absurdałne, a jednak bezsprzecznie tu były tłumy i wcale nie chciały rzednąć.

Mila trzymała ją mocno za rękę, jakby ją również przestraszył ten ścisk. Obie odwykły od tego, żyjąc w dzikich ostępach Beskidu Niskiego, najbardziej pustego miejsca w Polsce. Udało im się w końcu zamówić i zjeść suchy wegański kotlet i całkiem dobre frytki. Właśnie: w kafejce serwowano bogatą ofertę wege, przy stolikach były kable do ładowania iPhone'ów, a na drodze minęły ją elektryczne tesle. Czuła się jak Rip Van Winkle. Przez ostatnie pół roku, które spędziły w Beskidzie Niskim – gdzie świat jesienią i zimą zamierał – dokonały się duże zmiany.

Ruszyły i Mila wkrótce zasnęła. Gadająca zabawka, nazywana przez nie obie „komputerem” – aby mała nie zabierała się do tego prawdziwego – smętnie zwisała jej z paluszków. Plastikowe kartki coś jeszcze nawijały po angielsku („*this is elephant, this is giraffe*”); tak jakby Mila naprawdę mogła się w ten sposób nauczyć. Przez sen, jak ci maturzyści kładący podręczniki pod poduszkę. Spała jak zabita. A może również denerwowała się tym, co miało nastąpić.

Jechały jeszcze parę godzin drogą S3, aż w końcu odsłoniła się przed nimi oszałamiająca perspektywa miasta Wolin, rozciągającego się za mostem oddzielającym wyspę od stałego lądu. Nina widziała czerwone dachówki i dużo wody; położenie „wartownika” – strażnika wyspy – było spektakularne. Znajdowały się już blisko celu, a mała dalej spała. Miks szumu autostrady, gładzącego „komputera”, ballad starej-nowej Nory Jones oraz Dawida Podsiadły wystarczył, żeby trzymać ją w uśpieniu.

I wilk syty, i owca cała; lepsze to niż słuchowiska o Muminkach. Dobra muzyka, przy której w dodatku Mila od razu zasypiała – choć i tak Nina upewniła się, patrząc w lusterko, czy mała rzeczywiście śpi. Była jak każda matka w erze smartfonów. W pracy oglądała zdjęcia Mili i teraz też nie mogła się oprzeć pokusie, żeby na nią ciągle spoglądać. Na kędziorki, długie i gęste, opadające na równie długie rzęsy. Ta dziewczyna zawróci chłopcom w głowie prędzej niż później. Będzie miała swoje nastoletnie życie i nie było nikogo, kto mógłby wspomóc Ninę w trudnych decyzjach.

Była tylko ona, w roli ojca i matki.

Zasłuchała się w rzewne melodie – co teraz porabiała Jones? – i w ostatnim momencie zorientowała się, że nawigacja od dłuższego czasu awanturuje się o skręt. Zrobiła to zbyt gwałtownie i spojrzała w lusterko. Mila nie przebudziła się, choć niepokojąco się skrzywiła. Wyglądała teraz jak jeździec bez głowy. Czy Nina miała się zatrzymać? Jedną z setek sytuacji, kiedy zadawała sobie pytanie, jak powinien zachować się odpowiedzialny rodzic. Tak jakby sama nigdy nie spała ze spuszczoną głową. Nawigacja pokazywała około piętnastu minut i sensowniej było pozwolić małej pospać, bo z pewnością czekały ją jeszcze emocje.

Ostatnie kilometry były bardziej w jej guście. Droga zaczynała się zwężać, domy rzednieć, a nawierzchnia – psuć. Wjeżdżały głębiej w las, wspinając się coraz wyżej łagodnymi serpentynami. Jak daleko w zasadzie było do morza? Otworzyła okno, usiłując wyłapać jakiś zapach. Na razie jednak miała tylko widoki: powoli rodząca się do życia zieleń przypominała jej Beskidy. Rzeński wiatr wskakiwał przez okno z lewej strony i burzył jej fryzurę za sto czterdzieści złotych, którą zafundowała sobie na Mickiewicza w Gorlicach.

Było bardziej dziko, niż się spodziewała. Cieszyła się tym po dwóch dniach autostrad i wegepapk z Lotosu. Droga, wyraźnie poprawiana, miała zryte, wręcz zerwane płyty asfaltu. Ninie zdawało się, że okrąża jakąś górę, jakby miały wjechać na szczyt. No ale startowała z depresji i przecież cały czas krążyła wokół wód Zalewu Szczecińskiego...

Pojechała odpocząć nad morze, a trafiła w góry. Tylko Nina Warwiłow potrafiła wykonać taki dziwny numer.

W końcu ukazał się pierwszy dom. Wjechały do Boleni.

To był zwyczajny wakacyjny, kryty klinkierem domek. Po chwili pojawiły się kolejne, starsze i nowsze. Letniskowa miejscowość zdawała się zmieniać w niewielkie miasteczko, choć bez takich wygod jak supermarkety, na które zwyczajnie chyba nie starczyło przestrzeni na klifie. Miejsce okalały za to połyskujące w dali wody zalewu. Wydawało się, jakby miasteczko spało. Boleń była położona wysoko, być może nawet sto metrów powyżej poziomu wody. Nina zwolniła, bo widok na szeroki zbiornik zapierał dech w piersiach.

Nawigacja odliczała bezlitośnie: pięćset, czterysta, trzysta metrów... W końcu podjechały pod okazały budynek.

Czerwoną czcionką, ze zwisającą literką „z”, napisane tu było: Szumy.

Dotarła.

Westchnęła, trochę ze zmęczenia, a trochę z napięcia. I ziewnęła: niezawodna oznaka tego ostatniego. Z tyłu jej wspaniale współpracująca córka obudziła się i skierowała na nią spojrzenie. Spoglądała bez słowa, jakby z dorosłym zrozumieniem trudności sytuacji, z jaką miała zmierzyć się jej matka. Z jaką obie miały się zmierzyć.

Nina się roześmiała. Tak właśnie ona sama musiała patrzeć na ludzi: z nieco pochyloną głową. Słyszała, że tego spojrzenia można się przestraszyć. Wyciągnęła rękę i poczochnęła włosy małej, a potem wypięła się z pasów, otworzyła tylne drzwi samochodu i pomogła córce wyjść z fotelika.

– Sama – oznajmiła jak zawsze Mila.

Było chłodno, ale nie aż tak, jak Nina się obawiała, mniej więcej jak w Łagowie. Wiatr wydawał się ciepły i przyjazny. A z mapy wiedziała, że Boleń położona jest pomiędzy wodą a lasami, wciśnięta w niewielki kawałek lądu na rozległej skarpie.

Stała przed budynkiem w stylu polsko-dworkowym, całym pomalowanym na kremowo. Dziedziniec był dokładnie wybrukowany, zieleń równiutko wyrżnięta. Przeszła przez betonową pustynię z Milą za rękę. Ta ścisnęła ją trochę za mocno.

Weszły do środka.

Tutaj z kolei było konsekwentnie biało. Malowane na biało drewniane podłogi i meble w stylu prowansalskim albo pseudoprowansalskim. Aż się cofnęła, biel wzbudzała w niej większy niepokój niż czern. Poza tym jeszcze nie otrząsnęła się z tej śnieżno-czerwonej Wigilii w górach.

W jej polu widzenia pojawił się rumiany mężczyzna. Truchtał w ich kierunku, jego brzuch wyprzedzał postać. Wyglądało to trochę niebezpiecznie: facet był potężnej postury, na pewno miał ponad metr dziewięćdziesiąt. Z fałdek wystrzeliła dłoń.

– Cezary Mogielnicki.

– Nina Warwiłow – wymamrotała, czując, jak Mila ścisnęła jej rękę.

– Wiemy, wiemy, oczywiście. A gdzie bagaże?

– W samochodzie.

– Świetnie. Zajmiemy się tym. Świetnie! – powtórzył. – Pomogę!

– Nie trzeba.

Nalegał jednak. Trudno. Nina wiozła ze dwadzieścia Kici Koci – te najbardziej lubiła czytać, bo zawierały mało tekstu i dużo obrazków. Oprócz tego tony gier, książeczek z Puciem, skarpetkami i puzzli ze Świnką Peppą,

królewiczami i królewnami. Nie była w tym odosobniona. Widywała rodziny, które idąc na dwugodzinny spacer, wyglądały, jakby ciągnęły ze sobą dorobek życia.

Cezary nie wiedział więc, czego się podjął, ale nie mogła walczyć z całym światem.

– Zapraszam na herbatkę albo może od razu coś mocniejszego po długiej drodze. Mam taką domową cytrynowkę.

– Nie trzeba.

– Muszę przyznać, że jesteście wcześnie.

– Tak?

– To przecież osiemset kilometrów.

– Nie przyjechałyśmy bezpośrednio z gór. Nocowałyśmy po drodze.

– Aha.

Spoglądał na nią z krępującym uśmiechem, więc musiała to jakoś przerwać.

– A do picia poproszę herbatę. Dla małej też jakąś owocową.

– Świetnie, a zaraz zajmiemy się jedzeniem.

Nie zdążyła mu powiedzieć, że może sobie odpuścić, bo wciąż ją mdliło po podróży. Przeszli do kolejnej sali. Wydawała się rozleglejsza, przypuszczalnie właśnie ona miała stać się bohaterką wieczoru za parę dni. Dalej było biało, ale przynajmniej z jakimś przełamaniem. Znajdowały się tu okrągłe stoliki, na ścianach – na szczęście – powieszono obrazki. Ze stereotypowymi motywami morskimi, no ale trudno, żeby były górskie. W rogu stał gigantyczny fortepian z poobłupywanymi fragmentami czarnego lakieru; wyglądał jakoś nie na miejscu.

– Przygarnąłem – rzekł Cezary, czytając jej w myślach. – W ośmiu żeśmy go przydźwigali. Lubię stare rzeczy.

Miała ochotę powiedzieć, że powinien polubić ją.

– Jasne – mruknęła.

– Proszę – skierował je do stolika przy oknie – może tutaj, jest najwięcej światła o tej porze.

Mila cichutko, ściskając „komputer” jak amulet, maszerowała obok. Usiadły, a Cezary – Nina nie mogła w to uwierzyć, dwudziesty pierwszy wiek, te sprawy – pstryknął palcami. Skutecznie. Podszedł do nich szczupły, drobny chłopak w obcisłych dżinsach. Cezary przekazał mu zamówienie na napoje. Następnie, z pewnym namaszczeniem, wręczył im menu.

Kurtuazyjnie otworzyła, choć zza drzwi, z których wyszedł chłopak, doleciał zapach ryby, i to taki, który nie pobudził jej apetytu.

– Może za chwilę – powiedziała. – Napijemy się herbaty, trochę odpoczniemy i się przebierzemy.

Zerknęła na Milę. Mała, podekscytowana, oglądała w menu kuszące obrazki deserów. Była ożywiona i miała wyraz twarzy w stylu „chyba ty!”.

– Mamo, kiedy będzie herbata? – zapytała jednak.

Cezary zatrząśł się ze śmiechu.

– Ale rezolutna.

– Nie zawsze. – Nina się uśmiechnęła, a mała wgramoliła się jej na kolana, wciąż nie spuszczając czujnego wzroku z gospodarza.

Obok ich stolika przeszła dziewczyna, zamieniając dwa słowa z chłopakiem w rurkach. Może było poza sezonem, ale hotelik nie wydawał się martwy.

– Czekaliśmy na was – kontynuował Cezary.

– To naprawdę miło. – Nina postarała się o uśmiech i miała nadzieję, że nie wyszedł z tego szczękościsk.

Przyniesiono im herbatę; było w niej za dużo wszystkiego: goździków, cytrusów, korzeni. Wojtek Ordowski, z którym rozstała się dwa i pół miesiąca wcześniej, miałby na to pewnie określenie: przegadana.

Rzeźbiarz. Po ich *tête-à-tête* przed świętami rzuciła się w wir spraw. Musiała przede wszystkim wyjaśnić światu, co zaszło w Gnieździe. Musiała opowiedzieć o jatce, która się tam dokonała – i która skończyła się opasłym aktem oskarżenia. Sprawą żyły naturalnie całe Gorlice, co też było na swój sposób wykańczające. W tak niewielkim mieście Ninę od początku rozpoznawano, ale teraz przyjęło to inne rozmiary. Była zwyczajnie zaczepiana: w cukierni, na poczcie, nawet w Biedronce czy na Grosarze.

Fajnie, że znalazła się osiemset kilometrów dalej. Może po to, aby nie myśleć o przykrej rozmowie w Bukowcach. Choć istniała jeszcze jakaś furtka, obawiała się ją otworzyć. Bała się, że Wojtek ponownie ją odrzuci, jeśli już ostatnio nie zrobił tego definitywnie.

Popijała herbatę, a Cezary w międzyczasie trajkotał. O pogodzie, lokalnych inwestycjach, przystani i gościach przybywających tutaj z daleka. Docierało do niej co drugie słowo, co musiało być widoczne, bo tylko machinalnie raz na jakiś czas kiwała głową. Zdawał się tym nie przejmować. Mała chrupała wafelek ryżowy z sezamem, który Nina dyskretnie jej podsunęła. Sama wciąż nie miała

apetytu. Od kiedy tu przyjechała, z lekkiego zdenerwowania czuła pulsujący ból brzucha.

Ocknęła się i podarowała Cezaremu najbardziej bezpłciowy z uśmiechów.

Przyjechała tu dla małej. Żyła dla małej. Tylko to się liczyło, nawet jeśli w grę wchodziło poznawanie ekstrawertycznych hotelarzy, którzy mieli okazać się z nią jeszcze dziwniej spowinowaceni. Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że uśmiech nie wystarcza, a Cezary zadał jej pytanie. Zamrugła oczami.

– Tak – zaryzykowała odpowiedź.

– To świetnie. Chodźcie za mną. Wiesz, jesteśmy przed sezonem, przygotowaliśmy dla was coś ekstra.

Pomyślała, że ostatnie zdanie nie zabrzmiało bardzo uprzejmie. A trudno było mówić o czymś ekstra, kiedy zewsząd atakował ją zapach smażonej flądry. Mila szła z tyłu; wchodziła po schodach po swojemu, czyli odliczając.

– Jeden, trzy, cztery... osiem! – krzyknęła.

Wypracowała swój własny system, pomijający piątki i szóstki, i stale go powtarzała. Trenowała, jakby bała się zapomnieć. Być może już teraz wiedziała, że jest jedyny na świecie. Instynktownie przechowywała w sobie to najpiękniejsze wczesne dzieciństwo.

– Świetnie, Milusia, ale chodź już, proszę – szepnęła Nina, kiedy mała zacięła się na piątym schodku.

Dwudniowa podróż dała jej w kość i Warwiłow myślała już o oknie, które będzie mogła otworzyć w pokoju.

– Kiedy przyjdzie... – zaczęła znowu Mila i przerwała. Trochę jakby celowo chciała grać tym matce na nerwach, a trochę jakby bała się dokończyć zdanie. Spojrzała na Ninę z niepokojącą bystrością.

– Jeszcze chwila, kochanie, jeszcze sekunda.

– To już tutaj. – Cezary otworzył solidne dębowe drzwi. – Macie wyjątkowy pokój, moim skromnym zdaniem. Niedawno odnawiany...

Nie kłamał. Apartament był naprawdę duży. Miał przedpokój z wygodną dębową szafą. Okna wychodziły na Boleń, na ulicę, linię brzegową i przystań.

Uroczy pejzaż. Po raz pierwszy Nina pomyślała, że wypocznie. Brakowało tylko kominka z ogniem. Poza tym było wszystko, co kojarzyło się z niczym niezmaconym połykaniem książek, jednej za drugą.

– Ale świetnie! – krzyknęła mała.

Cezary zaśmiał się i poczochnął ją po głowie. Miał w sobie to coś, bo Mila, nie tak znowu otwarta, nie zjeżyła się, a nawet wyglądała na zadowoloną.

– Będzie wam tu jeszcze lepiej.

– Zaraz zejdziemy, tylko trochę się odświeżymy – powiedziała Nina.

Kątem oka zauważyła, że mała już żuła jakąś czekoladkę. W którym momencie nakarmiono jej córkę słodyczami i kto na to pozwolił?

– Chodź, kochanie – szepnęła. – No chodź. Umyjemy ci buźkę.

– I zęby – powiedziała mała.

– Tak i zęby, jeśli chcesz.

– Z tobą.

– Oczywiście, ze mną. I może włosy razem trochę przyczeszemy, co?

– Nie.

– A może ty mnie uczesziesz, a ja ciebie?

– Dobrze.

Każda strategia była dobra, żeby osiągnąć cel. Chwilę się cesały, a potem małej się znudziło i zastygła, pozwalając się szczotkować, bo tak naprawdę to lubiła. Czesząc Milę, Nina przyglądała się swojej twarzy w lustrze czystszy niż to, które miała w Beskidzie. Ciemne włosy. Pasemka siwizny, wciąż widoczne głównie dla niej samej; tak przynajmniej twierdziła jej fryzjerka na Mickiewicza. Twarz bez poprawek, z taką się urodziła. Nie zamierzała robić żadnych modyfikacji, choć ta moda zawitała już do Gorlic, a nawet na komendę powiatową; z różnym skutkiem. Liczne zmarszczki. „Mimiczne”, jak mówiono.

Odłożyła z irytacją szczotkę.

– Mamo, jesteś śliczna – powiedziała z przejęciem Mila, która obserwowała ją od dłuższej chwili.

– Och, dziękuję ci, kochanie.

– Naprawdę. Jesteś naj-ład-niej-sza.

– Ładniejsza niż przedtem?

– Tak.

Kucnęła i spojrzała na Milę.

– Gotowa? – zapytała, zadając sobie samej to pytanie, a kiedy otrzymała potwierdzenie, powiedziała: – No to świetnie.

Zerknęła na telefon, nadszedł esemes. Ale wciąż nie było ich rzeczy. Energiczny Cezary, zdaje się, zapomniał o swojej deklaracji. Czekoladę

przemycił, a walizek nie wniósł. Będzie musiała sama wtachać zabawki. Te wszystkie pierdoły zabrane „w razie czego”, wszystkie śmieciuszki z Pepco w Gorlicach, ze Smyka z Tarnowa i – przede wszystkim – z nowo otwartego Action w Jaśle.

Trudno, obejdzie się bez przebierania. Zeszły do holu. W ich polu widzenia pojawiła się męska sylwetka. Na ten widok Mila zerwała się i pobiegła tak szybko, jak potrafiła. Nina odwrotnie, przystanąła.

Mężczyzna, który czekał na nie w holu, sam wydawał się zdziwiony reakcją dziewczynki. Był to okularnik w średnim wieku, kiedyś podobny do Petera Sellersa, a teraz raczej do Wojtka Manna. Tomek Kapiński zdążył jednak szeroko rozłożyć ramiona, a Mila wpadła w nie i przytuliła się do taty.

3

Kamień Pomorski był niczym skała wciśnięta w wodę, rombowały półwysep wbity w Zalew Kamieński. Inaczej niż większość miast, nie rozlewał się, lecz kończył nagle, tak jakby dalej nie było już zupełnie nic. Miasto powstało w trzynastym wieku i jego lokalizacja była, zdaje się, w owych czasach znakomita.

Na podstawie budynków Kamienia można było zrekonstruować jego losy. Średniowieczna starówka była konsekwentnie obstawiona brudnymi bloczkami – dobry przykład komunistycznego podejścia do architektury. Każdą przerwę w starej zabudowie zajmowała rama H, przez co niewielkie, ledwie ośmiotysięczne miasto stanowiło zadziwiającą mozaikę.

Teraz to pięknie położone miejsce się wyludniało, a status miasta powiatowego dzierżyło chyba tylko dlatego, że porośnięta lasami wyspa Wolin nie miała większych ośrodków. A może zawdzięczało to majestatowi zalewu, który zdawał się je powiększać i dzięki temu wszyscy dali się oszukać. Ratował je też status uzdrowiska: przyjeżdżali tutaj licznie sąsiedzi zza zachodniej granicy. Bursztynowym szlakiem uzdrowisk, przez Świnoujście, Międzyzdroje i Dziwnów, docierali również do położonego w głębi lądu Kamienia.

Było ciepło. Kacperski zaparkował samochód pod budynkiem komendy. Jechał tu znad morza siedemnaście minut, ale pierwszy raz od tygodnia – autem. Kiedy wkrótce po przeprowadzce na Wolin dotarł tu swoim sportowym herculesem, zostało to powitane tylko rozbawieniem.

Polska małomiejska policja nie prezentowała się jak w *Ojcu Mateuszu*. Chociaż wizerunek policjanta zmienił się ostatnio, dla niektórych rower wciąż był po prostu śmieszny. Paradoksalnie bardziej akceptowano go w wielkim mieście niż na prowincji. Ci funkcjonariusze, którzy nie mieszkali w obrębie rynku, uparli się na dojazd samochodami, jakby stanowiło to kwestię dumy. I wszystkie auta były superczyste.

Niezależnie od środka transportu i tego, co Kacperski o tym wszystkim sądził, jazda z Dziwnowa, najpierw wzdłuż Zatoki Wrzosowskiej, a potem Zalewu Kamieńskiego, wynagradzała wiele. Ta wszechobecna woda była fascynująca.

Wolin był wyspą, ale wyspą pełną wody, zalewów, rzek, ich dopływów, zatok i tajemniczych przystani ukrytych w zapuszczonych zagajnikach.

I w tym wszystkim komenda, jego nowy dom. Bardzo zwykła jak na tak niezwykłą krainę. Mieściła się w biało-czarnym bloczku o fasadzie zgodnej z „nowszą” architekturą miasta. Była usytuowana w bocznej uliczce; dwieście pięćdziesiąt metrów od gotyckiej katedry i dodatkowych pięćset od rynku i mariny.

Kacperski miał niezły pokój: szybko się okazało, że bezwiednie ukradł go wytatuowanej po nadgarstki aspirantce Eli Paidaki. Szowinistyczny ruch, ale nie powinien tego rozkładać na czynniki pierwsze, zwłaszcza że nie wiedział. Dopiero po dwóch tygodniach zorientował się, dlaczego drobna chłopczyca Paidaki odnosi się do niego mało przyjaźnie. Zapytał o jakąś pierdołę na odprawie, a potem wyrwało mu się, że w Poznaniu pracował inaczej. Paidaki rzuciła, wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli: „Zawsze możesz jeszcze zmienić pracę”.

Nie zrobiło mu się przyjemniej, kiedy połowa sali parsknęła śmiechem. Przynajmniej nie śmiał się jego szef i naczelnik kryminalnego, inspektor Karol Zembrzuski. Przeciwnie, wyglądał na wkurwionego – ale jedyne, co zrobił, to szybko zakończył odprawę pod pretekstem nawału pracy.

Nawału, do niedawna, nie było.

Ten sam Zembrzuski wszedł teraz do niego do pokoju. Wygląd miał odpowiedni do funkcji: ścięty na klasycznego jeża, z mocnym karkiem i oliwkową – choć szczerze mówiąc, raczej oleistą – cerą. I twarzą, w której wszystko było jakby za duże. Za to oczy miał bystre i przytomne. Wyglądał trochę jak smagły – i znacznie mniej przystojny – Janusz Głowacki.

Kacperski nie zdążył się jeszcze urządzić, jedna z fotografii wciąż leżała na wierzchu. Szybko wsunął ją pod kilka poplamionych kawą kartek. Wydawało mu się, że Zembrzuski się nie zorientował.

– No to mów, co się dzieje, Szymon, bo naprawdę nie jestem zachwycony tym, co widzę i słyszę.

– Słuchaj...

– Jeszcze nie skończyłem. Powiedz mi wszystko, co wiesz, a ja zastanowię się, co mogę przekazać prasie i światu. Dobra? No to mów.

Rozparł się na krześle. Kacperski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Zembrzuski nosi się jak podpity Grek z tawerny w Pireusie. Zza rozchyłonej

koszuli wystawały kłaczki. Na kołnierzyku miał ketchup, przypuszczalnie ślad po parówkach na śniadanie. Ale Kacperski musiał się mieć na baczności. Lekceważenie wiedzy przełożonych stanowiło błąd, niezależnie od tego, czy chodziło o Jeżyce, czy o Kamień Pomorski. Bo większość tych, którzy naprawdę pracowali (nie myślał o ludziach robiących *kariere* i brylujących w telewizji w srebrnych oprawkach marki Hugo Boss), była bystrzejsza, niż się wydawało. Wbrew temu, co uważano w kraju, nie wszędzie awansowano przez nepotyzm.

Widząc nieukrywaną dezaprobatę w oczach zwierzchnika, Kacperski domyślił się, że jego uczucia są odwzajemnione. Zembruski bez żenady patrzył na jego opadające na szyję włosy i kilkuniedniowy zarost. Komisarz surfer, takie dali mu miano na Jeżycach, choć w życiu nie stanął na desce. Jednak kochał wodę, może dlatego.

Skoncentrował się.

– Pierwsza ofiara: Maria Pilaszewska.

– Zamordowana w swoim mieszkaniu w Międzyzdrojach.

– Tak. Był też rabunek – uzupełnił Kacperski. – Być może pozorowany; raczej wiele nie zginęło. Nic nie wskazywało na to, że była to osoba dobrze sytuowana. Przesłuchaliśmy sąsiadów, rodzinę. Zstępnych nie miała i żyła sama. Kościół, targ, jeśli było ciepło, to większość czasu spędzała na balkonie, paląc papierosy, czasem gawędząc z sąsiadkami, z którymi jednak nie była jakoś specjalnie blisko. I wtedy...

– Pojawiła się druga ofiara. Przypomnisz mi?

Przełknął ślinę.

– Włodzimierz Moszko. To była bardzo dziwna sprawa, powiedzmy, ekwilibrystyczna, sprawca musiał się też wykazać sporą siłą. Znaleźli Moszkę martwego, został zrzucony z klifu Gosań, oczywiście niedaleko Międzyzdrojów. Leżał na plaży, obmywany wodą. Dobrze, że morze go nie zabrało, ale też nie był specjalnie ukryty. Właśnie, nic tu nie jest ukryte. W tej sprawie jest jeszcze kilka nieścisłości medycznych i muszę przeanalizować sprawozdanie z sekcji, żeby się dowiedzieć dokładnie, jak zmarł.

– Nie od upadku.

– Przypuszczalnie nie. Ale muszę jeszcze przeczytać raport.

– Przejdź więc do trzeciego – polecił Zembruski.

– To już wiesz. Michał Góralski. U wybrzeży Karsiboru i Wielkiego Krzeku. Zmarł od ran kłutych. Zresztą nóż, może ten sam, ale nie mamy pewności, został

użyty przy każdej z tych zbrodni.

– Spora pewność.

– Słucham?

– Sprawca, który tak operuje nożem...

– Nie trzeba pozwolenia. I wciąż skuteczny.

– Jeśli ma się doświadczenie.

– Zna ludzkie ciało.

– Albo nie zna, ale ma się czas – skwitował Zembrzuski z dziwnym wyrazem twarzy.

Kacperski wzruszył ramionami. To on wyławiał wczoraj zwłoki Michała Góralskiego. Jako szef kryminalnego Zembrzuski jego zdaniem powinien tam być. Jednak tu, na Wolinie, panowały – zdaje się – inne zasady, których wciąż się uczył.

– I wszyscy oni pracowali w jednym miejscu.

– Zgadza się.

– Co więc sądzisz?

– Muszę porozmawiać z wychowankami tego domu dziecka. I tak jesteśmy spóźnieni. Przygotowałem listę. To najsensowniejszy ruch.

– Tak zrób. – Zembrzuski odchylił się na krześle, aż skrzypnęło z rozpaczą, i pokręcił głową. – Dalej trochę nie wierzę, że trafił nam się seryjny. Jak go namierzyć?

– Wszystkie morderstwa są na terenie wyspy.

– To ma być bonus?

– Nie. Ale ślad.

– Dobrze. Czy morderca też jest stąd?

– Zapewne. To znaczy: zna teren, sprawnie się po nim porusza.

– Tak. – Zembrzuski się uśmiechnął. – Ale prawda może być inna, niż ci się w tym momencie wydaje. Nie daj się zwieść pozorom.

– Co masz na myśli?

– To troje starych ludzi. Może pozostawili jakieś majątki...

– Badaliśmy tę możliwość od początku. To znaczy, co do Góralskiego nie mamy jeszcze pewności, ale Maria Pilaszewska nie należała do zamożnych. Podobnie jak Moszko. Mieli skromne emerytury. Krewnym bardziej opłacałoby się fingować ich życie i wciąż te świadczenia pobierać.

– Dawno się z tym nie spotkałem.

– Co nie znaczy, że nie mamy z tym często do czynienia, prawda? – Kacperski pokręcił głową i dodał: – To nie były duże pieniądze, to nie byli zamożni ludzie. Jeśli już, Moszko trochę się dorobił, bo na emeryturze założył firmę, ale był schorowany i sporo wydał na prywatne leczenie.

Zembrzuski wstał.

– No dobrze – powiedział. – Musimy to rozwiązać, zanim ktoś inny dobierze nam się do dupy, prawda?

– Szefie – rzekł Kacperski, choć dziwnie to jeszcze brzmiało. Jakby zdradzał poprzedniego. – Świnoujście elegancko umyło ręce od sprawy. Nie dziwię im się. Na papierze nie chcą mieć z tym nic do czynienia. Bogaci turyści... Narracja jest taka, że to u nas się dzieje, nie u nich, nie na wyspie Uznam. Byłeś tam ostatnio? Hotele powstają jak grzyby po deszczu.

– A tu spokojnie. Nie ma pieniędzy i nie będzie.

– W Dziwnowie nie jest tak źle.

– Nad morzem jest inaczej, enklawa dla miejskich – powiedział Zembrzuski. – Dobra, pokaż, co potrafisz. W pewnym sensie – obrócił się jeszcze przed wyjściem, zaskakująco zwinnie – nie mogło ci się lepiej trafić, prawda? Poza tobą nie mamy tutaj ludzi, którzy potrafiliby rozwiązać dużą sprawę. I przedstaw mi wiarygodną hipotezę, zanim cała wyspa zacznie się bać wychodzić z domu. Liczymy na ciebie. Miałeś dobre wyniki, prawda?

Kacperski zerknął na biurko, gdzie, jak mu się zdawało, spojrzał Zembrzuski. Tak, była tam fotografia. Ukazała się, kiedy impulsywnie porwał ze stołu kartkę. Osłonił ją rękawem.

Zdjęcie starego człowieka, które mogło należeć do akt śledztw. Tylko że nie należało.

– Więc zdaję się na ciebie i po prostu to rozwiąż – dodał Zembrzuski i wyszedł.

Nastąpiła cisza. Kacperski poczuł się sam: w pokoju, na wyspie, ze sprawą. Wolin miała powierzchnię setek kilometrów. Morderca – o ile nie było ich więcej – działał na rozległym terenie, a jedynym wspólnym mianownikiem był stary zakład pracy trzech ofiar. Co powiedział Zembrzuski? Żeby nie dać się omamić pozorom.

Kacperski zabrał się do lektury akt, raportów, informacji o wychowankach. Po godzinie podjął decyzję. Szybkim krokiem wyszedł z komendy. Wsiadł do

samochodu, wyjechał z rynku, następnie przejechał przez kompletnie opustoszałe podmokłe błonia miasta i zbliżył się do mostu na Promnej. Rybacy wystawali nad kanałem. Obrzucili jego samochód obojętnym wzrokiem, mimo że nieczęsto ktoś tędy przejeżdżał. Sąsiadującą z Kamieniem Wyspę Chrząszczewską rzadko o tej porze odwiedzano.

Przejechał przez most. Minał żółte pola, które ledwo uporały się ze śniegiem, i znalazł się w jednym z najmniej zamieszkałych miejsc Wolina. Jechał trochę prosto, następnie skręcił z szosy w drogę leśną, następnie w taką wykładaną wytartą kostką brukową.

W końcu dotarł do celu. Odetchnął głęboko, a potem, nie wiadomo dlaczego, poprawił sobie w lusterku kołnierzyk. Wysiadł. Stał pod budynkiem otoczonym ogrodzeniem z kolczatką u góry i zapatrzył się w absurdalnie różową fasadę więzienia.

4

Pierwszy dzień wakacji. Gofry ze śmietaną z proszku, zapiekanki, które nigdy nie widziały pieczarek, za to hojnie polano je ketchupem marki Tortex... Nie, tutaj, dwadzieścia kilometrów od morza (Nina nie wiedziała, czy to można było jeszcze nazwać wybrzeżem) i trzy miesiące przed rozpoczęciem sezonu musiało być inaczej. Powinno.

Cieszyła się, że może wreszcie rozprostować nogi. Mila została przejęta na jakiś czas przez dziadków, a ona nie zamierzała się jeszcze konfrontować z tym towarzystwem i całą sytuacją. Ponownie zaczepił ją Cezary. Towarzyszył mu chudy, melancholijny mężczyzna, który przedstawił się jako Marek Gargała. Nie odmówiła, nigdy nie potrafiła odmówić czarnej kawie. Usiedli przy stoliku, choć równie serdeczny, jak ruchliwy i wyraźnie roztargniony Cezary oddalił się dość szybko.

– Wakacje? – zagaił uprzejmie Gargała.

– Wakacje plus – odparła.

– Nie rozumiem. Czy odwołuje się pani do rządowych świadczeń socjalnych?

Spojrzała na niego z pewnym rozczuleniem. Dlaczego zawsze miała sympatię do usztywnionych facetów w spektrum? Po prostu nie cierpiała luzaków: Tomek, programista, społecznie dosyć niezgrabny. Stassberg, który chodził w ubraniach jak w uniformach i prasował sobie wszystkie koszulki, w tym te na siłownię. No i Wojtek. Może i żył po swojemu na szczycie góry w Bukowcach, ale jej zdaniem do luzaków nie należał. Był raczej eremita.

– Nie, nie chodzi mi o to. Taki urlop z bonusem – odparła.

Sama się w duchu skrzywiła na to określenie: zazgrzytało. Ale jak miała nazwać inicjatywę, w której zdecydowała się brać udział? Skoro Gargała był takim rozczulającym sztywniakiem, głupio było zostawić go bez słowa, starzejącego się, smutnego mężczyznę. Jeśli pominąć lekko poszarzałą aparycję, mógł się nawet podobać. Miał bystre, uważne oczy, ładny uśmiech, no i ten wykrochmalony kołnierzyk.

– Przyjechałam tutaj wziąć udział w uroczystości.

Zdawało jej się, że w tym momencie dostrzegła błysk zrozumienia w oczach mężczyzny. I straciła ochotę na kontynuację tej rozmowy. Znała małe miejscowości, więc i tak nie wierzyła, że długo pozostanie anonimowa. Na jej szczęście Cezary zdążył wrócić, zanim Gargała zadał to właściwe pytanie.

– Chryste, ale teraz roboty... – Mogielnicki usiadł, sapiąc. – Sama przecież wiesz.

Uśmiechnął się serdecznie. Nie mogła tego człowieka tak zupełnie nie lubić. Nie jego wina, że był krewnym – zdaje się, wujem – Agnieszki, narzeczonej Tomka. Przyjął je tu gościnnie.

A poza tym zaoferował jej teraz furtkę.

– Przepraszę was, panowie – powiedziała. – Chciałabym...

I tu urwała, zanim wymusnęło jej się, że chce zwiedzić okolicę. Nie miała ochoty robić tego z przewodnikiem.

– ...pójść do sklepu, kupić jakieś drobiazgi.

Następnie uprzedziła Cezarego, który miał już coś do powiedzenia.

– Chyba widziałam Lewiatana. Myślę, że trafię.

Cezary, krzywiąc się lekko, skomentował, że drogo. Wstyd powiedzieć, nie wiedziała, które sklepy są droższe, które tańsze, ale nie zamierzała czuć się winna. Jedyne, co wiedziała o cenach produktów spożywczych, to że w Gorlicach było taniej niż w Warszawie.

Gargała z kolei coś tam mruknął. Chyba należał do ludzi, którzy tracąc pewność, zaczynali mówić niewyraźnie. Wyczuł, że jest porzucony, ale spojrzenie wyrażało rezygnację kogoś, kto od początku się tego spodziewał. Kiwnął głową ze smutkiem starego kawalera, który słyszał wymówki zbyt wiele razy.

Nina wyszła z Szumów – i tego było jej trzeba. Wiało, było chłodniej niż poprzedniego dnia, ale znośnie. Przede wszystkim świeżo. Na plażę bez szans, ale kto by się chciał wygrzewać na plaży w wakacje. Lepiej było przyjechać tu w marcu, to znacznie lepiej pasowało do jej skomplikowanego życia.

Dzięki świetnemu położeniu Szumów zapoznała się już z panoramą Zalewu Szczecińskiego. Zachwycał ją surowy chłód wschodu, jasna pełnia dnia i złocisty koloryt zachodu słońca nad wodą. Nad Szumami, tak jak nad większością budynków w wąskiej Boleni, widniała ściana drzew. Tuż za miasteczkiem zaczynał się Woliński Park Narodowy. Boleń wręcz wciśnięto w kawałek skarpy między starym lasem a spokojnymi wodami zalewu.

Zapięła szczelniej kurtkę, bo przedwiośnie na Pomorzu stanowiło wyzwanie. Maszerowała szosą, która była chyba jednocześnie główną ulicą Boleni. Część budynków była nowiutka, jak spod igły, może zbudowano je pod inwestycje. Na przykład te domy stodoły – miały dachy pokryte kolektorami i wyglądały na energooszczędne. Przy ulicy stały zaparkowane nowoczesne SUV-y, land rovery. Inne domy były stare, z wyblakłą czerwoną dachówką i ceglastą fasadą. Poniemieckie, ale całkiem nieźle się trzymające, jak cała ta zachodnia część Polski.

Żeby nie być zupełnie zakłamaną, udała się do Lewiatana i kupiła butelkę nałęczowianki. Następnie minęła składy budowlane (te chyba miały dużo roboty przed sezonem), delikatesy o nazwie Oliwka, gdzie dostrzegła więcej ludzi niż w Lewiatanie, a także warsztat samochodowy. Mechanik zawiesił na niej wzrok, choć może ze zdumienia i z czystej ciekawości. Miała na sobie nieprzyzwoicie dużo warstw.

Szła jeszcze dziesięć minut, aż wreszcie, kiedy oddaliła się od centrum, poczuła zadowolenie. Przede wszystkim znajdowała się daleko od pracy. Była na wakacjach, a wyczerpywała zaledwie procent ze swojego wiecznie zaległego urlopu. Zrobiła w pewnym sensie dobry uczynek, dla siebie i dla córki, a torbę miała wyładowaną powieściami z biblioteki w Gorlicach. Trochę zaległej klasyki, trochę powieści kryminalnych rozgrywających się nad morzem. Wszystkie tomy sagi Sigrid Undset, które od dawna chciała sobie odświeżyć.

Wśród pozytywów była pomoc ze strony niedoszłych teściów, dziadków Mili. A na weselu Tomka upije się szampanem i jeszcze kogoś poderwie. Rozbawiła ją myśl o minie świekry, Joli Kapińskiej, gdyby naprawdę tak się stało. Zaśmiała się głośno tuż przy niewielkim domku, oszalowanym pionowymi deskami. Kobieta za ogrodzeniem, zajęta rabatkami, spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Przepraszam – powiedziała Nina, nie wiadomo dlaczego.

– Za co? Za radość?

Zmusiła się do uśmiechu i poszła dalej. Tak naprawdę robiła to wszystko dla małej, dla Mili. Córka stanowiła lwią część jej życia. Może musiała żyć dla kogoś; życie dla siebie nie było wystarczającym celem. Kiedyś żyła dla schorowanego ojca. A teraz dla dziecka, którego była matką i najpewniejszym punktem w świecie.

Tomek zadzwonił do niej dwa miesiące temu i jakieś pięć minut zajęło mu wysłowanie się, że bierze ślub. Zorientowała się trzy minuty przed tym, zanim to

wydukał. Dalej bredził, więc mu przerwała.

– Przestań. Rozstaliśmy się pięć lat temu. Nie musisz mi mówić, że się żenisz, chociaż to miłe, że uprzedzasz. Życzę ci szczęścia.

– Dziękuję. – Poczwała, że zebrał się w sobie. – I chciałbym, żeby Mila wzięła w tym udział.

Przyjęła te słowa, ale miała mieszane uczucia.

– Wiem, co możesz sądzić... – zaczął.

– Nie wiem, czy wiesz.

– To jest moja córka. Chcę, żeby w tym uczestniczyła.

Po chwili milczenia pomyślała, że Tomek ma rację. I prawo.

– Nie spieraj się, zrób to dla mnie, proszę.

Zgodziła się. A potem, zgodnie z powiedzeniem, że dobre uczynki bolą dwa razy, dowiedziała się, że ślub będzie na wyspie Wolin, skąd pochodziła Agnieszka.

– Więc mam ją puścić samą dokładnie na drugi koniec Polski?

– Ja tam będę.

– Zajęty ślubem, weselem, narzeczoną. Nie, dziękuję.

– Wiesz, mogłabyś również przyjechać. Jesteś zaproszona.

– Tomek, to wszystko jest strasznie daleko – powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy.

– To piękne okolice, mogłabyś pobyć dłużej. Znam świetne miejsce, w którym mogłabyś się zatrzymać.

Milczenie.

– Czy dasz mi chwilę do namysłu? – zapytała.

Pod koniec tygodnia się zgodziła. Nie umiała do końca określić własnych uczuć, ale wiedziała, że mała nie powinna być tam sama. Skołowana czterolatka w wirze weselnych przygotowań. Z ojcem, którego widywała raz na dwa miesiące. Jej Mila, która przez pierwsze miesiące przedszkola w Gorlicach zapytana, co robiła, niezmiennie odpowiadała: „Czekałam na ciebie”.

Więc nie, nie mogła jej puścić samej.

A potem, na domiar wszystkiego, choć to akurat było do przewidzenia, Tomek przekazał jej, że jego rodzice również pobędą chwilę dłużej i z przyjemnością spędziliby czas z Milą.

Więc będąc już tutaj, wciąż nie wiedziała, czy to był dobry pomysł, ale rozumiała, że trzeba było powiedzieć nie, kiedy Tomek zadzwonił po raz pierwszy.

Nie powiedziała. I w ten sposób znalazła się w jednym miejscu ze swoją córką, eksem, jego narzeczoną oraz teściami, z którymi znajomość w ostatnich latach była szczątkowa, bo nawet kiedy spędzali czas z Miłą w Warszawie, to zwykle działo się to za pośrednictwem Tomka.

Życie Niny Warwiłow na jednym obrazku.

Miejscowość powoli się kończyła. Zapach wody zaczynał ustępować woni ziemi i drzew. Ciągnęło wilczycę do lasu. Skierowała się brunatną ścieżką w stronę ściany buków. Trochę się zdyszała, bo droga prowadziła pod górę. Dobre miejsce do biegania, pomyślała, najpierw w górę, potem w dół. Idealne warunki do przetestowania nowych butów, które kupiła, gdy po ostatnich ulewach skręciła sobie w koleinie kostkę.

Weszła do lasu. Dzięki prześwitom między drzewami na skarpie widziała już, jak wysoko znajdowała się Boleń. Jaki fantastyczny był klimat tego miejsca, jak daleko rozciągały się wody zalewu. Zbliżyła się do krawędzi. Drzewa się rozrzedzały, było coraz więcej powietrza. Dotarła do poszarpanego klifu. Stała i się zapatrzyła. Zbiornik wydawał się idealnie pusty. Dopiero po chwili w oddali dostrzegła biały maszt łódki. Był niemal niewidoczny na tle spokojnej tafli wody o niezmierzonej szerokości. Ależ tu przestrzeni. I tylko jeden człowiek pośrodku wielkiej wody. Po chwili zweryfikowała to wrażenie, bo łodzi jednak było trochę więcej, być może rybackich.

Skręciła w prawo, w stronę, gdzie – jak się jej zdawało – była Boleń. Jak zwykle jednak w lesie nieco już traciła orientację. Wszystkie ścieżki wyglądały tak samo. Ta, którą szła, skończyła się nagle i Nina prawie wpadła na mocno pordzewiałe ogrodzenie.

Nie spodziewała się tutaj domu. Był ukryty, niewidoczny od strony drogi. Niemal gwałtem wdzierał się w las, otaczający miejscowość od południa. Dom na klifie. Po sekundzie zmieniła zdanie. Nie dom, raczej niewielki stary pałac. Ceglaste mury ciągnęły się wzdłuż krawędzi półwyspu jak twierdza. Gdzeniegdzie został jeszcze tynk, ale poza tym było to zagłębienie prastarej cegły. Mokry sen architekta wewnątrz, który chciałby ozdobić loft na Saskiej Kępie.

Poniemieckie. Wiadomo, jeszcze z tysiąc lat postoi. Budynek wyglądał jak dacza arystokracji pomorskiej, dla której nad morzem było zbyt tłoczno. Świetnie

położona była ta nieruchomość, ale dla koneserów.

Nagle się cofnęła.

Ktoś tu był. Za resztkami szyb osadzonych w brudnych framugach przesunął się cień. Zdawało jej się, że słyszy, jak trzeszczy podłoga, albo to, co z niej zostało.

Nie jej sprawa, jaki amator mocnych wrażeń się tu kręcił. Na Facebooku i Instagramie roiło się od grup, których członkowie zamieszczali prawdziwie fascynujące zdjęcia opuszczonych miejsc. Sama była w kilku; takie poznawanie świata za pośrednictwem mediów społecznościowych.

Opuszczone szkoły, fabryki, ośrodki wczasowe i zwyczajne domy, nie uwierzyłaby, że jest tego tyle w samej tylko Polsce. I ktoś te zdjęcia musiał robić. To było najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie faktu, że ktoś krył się w trzewiach tej ruiny...

Zawróciła w kierunku drzew. Ale nagle zmieniła zdanie, policyjny instynkt nie pozwolił jej tak po prostu odejść. Stała, niemalże niewidoczna. W jej polu widzenia – ale nie od strony budynku, tylko z drugiej, od wjazdu, pojawił się mężczyzna w polarowej kurtce i bojówkach. Wcale nie wyglądał, jakby się ukrywał.

Wręcz przeciwnie, rozglądał się bardzo żywo i pewnie, jakby badał potencjalne kadry. Czapka z daszkiem zakrywała mu czoło, na oczach miał, zupełnie nieprzystające do aury, ciemne okulary. Wyglądał jak filmowiec.

A potem pomyślała, że naprawdę jest filmowcem. Wszedł na ganek pałacu i zajrzał w okno – to, w którym przed chwilą coś dostrzegła. Nie wiedziała, czy zobaczył to, co ona, ale chyba nie. Pokręcił głową i zawołał w kierunku bramy, a potem zwyczajnie zapalił papierosa. Ukazał się drugi mężczyzna, i tu już było oczywiste, że to kamerzysta. Na Pradze, ale nie tylko, często widywała ich w pracy i wszyscy wyglądali tak samo. A poza tym w dłoniach dzierżył sprzęt i statyw.

Ekipa telewizyjna. Co w tym dziwnego, że filmowali stare pałace, opuszczone miejsca, jak ci na Facebooku? W końcu te światy zaczęły się ze sobą mieszać. Mężczyźni przechadzali się, wyglądało, jakby naprawdę czegoś szukali, być może ujęcia. Pierwszy facet wciąż palił, rozmawiając przez telefon. Skończył rozmowę i spojrzął na drugiego. Pokonali schodki i ganek, a potem, *voilà*, byli w środku.

Jednak dało tu się wejść. Obaj zniknęli w ciemnym wnętrzu ruiny. A po chwili – dosłownie parę sekund później – kamerzysta nagle wyszedł. Ninie zdawało się, że idzie w jej kierunku, jakby wypatrzył, gdzie stoi. Zrobiła więc kilka kroków do tyłu i wpadła w chaszczę. Straciła go z oczu.

Dobra, dość tych przygód na dzień dobry. Książka i kocyk w przytulnym pokoju na poddaszu, trzeba korzystać z tego, że Mila najwyraźniej dobrze bawiła się z dziadkami. Nina cofnęła się w głąb lasu – tam, skąd przyszła.

Z pewnością nie miała teraz ochoty na kontakty z mediami. Ale z drugiej strony, co na tym zadupiu robiła telewizja? Bo to musiała być telewizja – furgonetka, zaparkowana na zarośniętej drodze na posesję, miała na drzwiach logo Telewizji Szczecin. Najwyraźniej naprawdę zabierali się do programu o starych pałacach łamane na starych budynkach, łamane na opuszczonych budynkach.

Nina oszczędziła sobie dalszych dociekań i obserwacji poczynąń przedstawicieli mediów. Przeszła dalej wzdłuż drucianego ogrodzenia, mijając niewielki domek. Ten domek, który już przedtem widziała, był ostatnim w Boleni. Jak strażnik strzegł dostępu do pałacyku na klifie. Był znacznie mniejszy niż opuszczona budowla, przypominał dom ogrodnika, ale miał wysokie ogrodzenie. Stopień zadbania wyraźnie wskazywał, że to są dwie odrębne posesje – choć łączył je płot.

Zerknęła na telefon, by sprawdzić, czy dziadkowie przypadkiem nie alarmują. Nie było jednak zasięgu. Jak w górach. Odnosiła ostatnio wrażenie, przebywając w różnych dziwnych miejscach, że internet w Polsce słabł. Jakby komuś było to na rękę, ale może to tylko jej prywatna teoria spiskowa.

Musiała się pospieszyć. Miała nadzieję, że idąc wzdłuż tego płotu, dotrze do drogi. Nagle usłyszała hałas, a może bardziej szum, taki, jaki robią na szosie ciężarówki. Korony drzew nad wodą poruszyły się. Las na klifie przemawiał po swojemu. Głośniejszy niż ten w Beskidzie. Wsłuchiwała się w tę pieśń Króla Olch nad wodą i może dlatego nie usłyszała kroków za plecami.

– Co pani tutaj robi?

Niemalże podskoczyła. Stała przed nią kobieta może po pięćdziesiątce. Nina nie widziała jej dobrze, bo częściowo skrywała ją ciemność. Dostrzegła jednak spraną, przybrudzoną czapkę z daszkiem i wystające spod niej słomiane włosy. Oraz stanowczy wyraz twarzy i wysunięty podbródek, jakby kobieta przywykła do walki z losem, a nawet jej oczekiwała.

– Mogłabym zadać to samo pytanie – powiedziała Warwiłow.

– Jest pani poza ścieżką – oznajmiła spokojnie kobieta. – A to jest park narodowy. Niszczy pani przyrodę.

Nina była zaskoczona, zwłaszcza słuszością tego oskarżenia. Znalazła się po drugiej stronie barykady.

– Pani pyta, bo pani jest... – zaczęła.

– Strażniczką. Renata Rowicka.

– Och.

Była zdziwiona. Czy strażnicy leśni mają jakieś legitymacje? Czy powinna jej zażądać? Szybko skarciła tę drugą Ninę, impulsywną i krewką. Po co miałyby to robić? Skoro kobieta tak powiedziała, to pewnie tak było. Z drugiej strony drażniło ją, że tutaj, w wygwizdowie na klifie, każdy mógł ją oszukać.

– Już wychodzę – mruknęła.

– Tak. Proszę na szlaki turystyczne – ciągnęła tym samym spokojnym tonem kobieta.

– Oczywiście. Ja się tylko tak przechadzałam...

– To niech pani tego nie robi. Państwo zawsze tutaj łążą.

– Państwo?

– Turyści. Przyjezdni. Czy pani jest pierwszą, która chciała zobaczyć klif?

– To może w takim razie moglibyście go oznaczyć, wytyczyć ścieżkę, prawda? Bo jakoś nie widzę.

– Nie, nie ma – odparła kobieta. – I niech pani tego nie robi.

Ninę zaczęła irytować ta rozmowa, przede wszystkim autorytarny ton strażniczki.

– Czego takiego? Co ja zrobiłam?

– Niech pani się nie przechadza tutaj w ciemności. Powinni ogrodzić to wyjście... – Leśniczka przemówiła teraz jakby sama do siebie.

– Czy może mi pani to wyjaśnić?

– Nie. Nie będziemy państwa zniechęcać.

– Państwa? Znowu pani ma na myśli turystów?

Bładoniebieskie oczy strażniczki wyrażały jednak ostateczną utratę zainteresowania.

– Po prostu odradzam – powiedziała kobieta, a potem się odsunęła i przeszła przez furtkę. Nie odwracała się w stronę Niny, wyraźnie zakładając, że jej

prośba powinna zostać spełniona. Następnie zniknęła w swoim małym szarym domku.

5

Kacperski wszedł na teren więzienia. Zetki zawsze były takie przygnębiające, gigantyczne molochy na peryferiach, gdzie w żaden sposób nie można się było nauczyć na powrót żyć w społeczeństwie. Ale to był oddział aresztu śledczego, a nawet zakład półotwarty, chociaż daleko mu było do ogrodzonych pensjonatów, które funkcjonowały w Skandynawii czy Holandii. Bliżej do wizerunku więzienia, od którego zakłady otwarte chciały przecież uciec – albo powinny.

Przynajmniej podjęto wysiłek: pomalowany na różowo budynek mógłby sprawiać wrażenie zaniedbanego ośrodka wypoczynkowego – zwłaszcza że miejsce było wyjątkowo piękne. Wyspa na Zalewie Kamińskim, który rozlewał się na północnym Wolinie. Dzika, z zaledwie kilkoma opuszczonymi przez świat wioskami i wspinała perspektywą Kamienia Pomorskiego. Gdyby pojechać dalej, na skraj Wyspy Chrzęszczewskiej, dotarłoby się do punktu widokowego i można by dostrzec ten sterczący w wodzie, smutny, ociosany dla zysku kamień, od którego nazwę wzięło miasto.

Gdyby Kacperski miał więcej pieniędzy, kupiłby tu dom, kawałek ziemi i hodowałby marchewki. Milcząca obecność aresztu śledczego gwarantowała pustkę i spokój. Więzienia w miastach były rozpuszczone w tkance miejskiej, niewidoczne i niewyczuwalne dla mieszkańców metropolii, ale te na prowincji zawsze rzucały cień na okoliczne wioski.

W środku nie było już tak różowo. To się nigdy nie mogło udać: rzędy smutnych, zgnębionych mężczyzn na spacerunku, patrzących w pustą przestrzeń, w kierunku świata, choćby tym światem był tylko Kamień Pomorski. Patrzyli w kierunku mostu na Promnej, jakby za nim coś miało na nich czekać. Coś innego od ich często smutnych życiorysów. Tu nie siedzieli recydywiści. A przynajmniej nie powinni. Kacperski znał historie tych jednorazowych błędów, niezajomości prawa, braku pieniędzy na adwokata. Za mało się wciąż mówiło o takich ludziach, o tym, jak mieli wrócić na wolność, przystosować się. W ten sposób funkcja wychowawcza – zgodna z polską myślą penitencjarną – pozostawała często martwa.

Mijał niskie baraki, ciągnące się parterowe budynki, przypominające przedszkole, ale kryjące w sobie innych gości niż uzdrowiska nad Bałtykiem.

W asyście rumianego strażnika więziennego minął pierwszy, drugi, trzeci pawilon. W końcu znalazł się na miejscu.

Jeden strażnik został przy nim, drugi zniknął w baraku. Kacperski czekał. Panowało tutaj lekkie rozluźnienie. Słyszał, że zakład mieli przenieść, to musiało być prawdziwe logistyczne wyzwanie. Może dlatego czuł w powietrzu tę atmosferę, nastrój schyłku – mimo że przecież po wyspie krążył bezwzględny zabójca.

Przynajmniej tutaj go nie było. Dookoła stąpali zagubieni i zerkający niepewnie mężczyźni, niektórzy w okularach. Wyglądali na świeżo osadzonych. Wśród nich mógł się trafić ktoś przetarty więzieniem, choć tak nie powinno być. Wiedział jednak z praktyki, że czasami obok przestępców finansowych, alimenciarzy, więźniów odsiadujących końcówki wyroków trafiał się bezwzględny recydywista.

I – jakby na potwierdzenie tych myśli – zauważył na spacerunku mężczyznę, który wyglądał, jakby tu nie pasował. Był wysoki, mocnej budowy, a mimo to poruszał się z kocią gibkością. Z daleka, z uwagi na tę sprężystą sylwetkę, wyglądał młodziej. Z bliska widać było, że skończył już pięćdziesiątkę i dbał o siebie. Choć zaczerwieniona twarz sugerowała tężyznę zbudowaną w przyśpieszonym tempie.

– To on. – Strażnik wskazał. – Proszę za mną.

Poprowadził ich do pomieszczenia na końcu baraku, a potem usiadł na krześle przy ścianie.

– Dzień dobry. Mam kilka pytań – rzekł Kacperski, patrząc na swojego rozmówcę za kwadratowym stołem.

Dopiero teraz mężczyzna się ożywił i odwzajemnił spojrzenie, mrugając bladymi oczami. Choć Kacperski był w cywilu, tamten błyskawicznie rozpoznał w nim policjanta. Jego twarz przybrała z powrotem lekko znudzony wyraz, przeobrażając się stopniowo w uosobienie niewinności. Kacperski obserwował to z pewnym uznaniem.

„Droży państwo, jestem zwykłym obywatelem, co chciał tylko zarobić trochę pieniędzy na handlu i transporcie...”

Ale mężczyzna patrzył trochę zbyt przytomnie, a bystre oczy zdradzały więcej. Twarze – a przede wszystkim spojrzenia – naprawdę zdradzały. Nawet jeśli ktoś był złotousty i miał gadkę. A kryminaliści, z którymi Kacperski się spotykał, często mieli gadane, w przeciwieństwie do tych pechowców na spacerunku.

Marcin Malewicz różnił się od smutnych szaraków na zewnątrz. Nie powinien tu być. Kradzieże, rozbój, zabójstwa; Kacperski przejrzał na komendzie jego akta. Malewicz nie miałby szans na zakład półotwarty. To była spektakularna porażka systemu prawnego. Albo sukces adwokatury. Miał do czynienia z zawodowcem, do którego kursowały dobrze opłacane papugi ze Szczecina.

On odwiedzał jednak Malewicza z innego powodu.

– Mam parę pytań – powtórzył.

Więzień milczał, wyluzowany, dobrze wytrenowany przez karnistów. Nic nie mów, do niczego się nie przyznawaj – i nie rozmawiaj bez swojego adwokata.

– Ale nie dotyczą pana działalności – dodał Kacperski, aby skrócić i przejść do rzeczy.

– Szkoda. Mógłbym opowiedzieć dwa słowa o handlu owocami morza.

– Dlaczego o tym?

– Każdy lubi opowiadać o sobie, prawda? – odparł Malewicz figlarnie.

– Innym razem. Chcę pana zapytać o dom dziecka, w którym pan się wychowywał.

Cisza. Zapadła tak nagle, że Kacperski niemal słyszał szuranie podeszew na chodniku i oddech strażnika.

– Mianowicie?

– No chyba dostajecie tu prasę?

– Ale dlaczego pan zaczął ode mnie? Szuka pan sensacji?

Bystry, pomyślał Kacperski, jeszcze do tego potrafi nieźle grać, w tym na emocjach rozmówcy.

– Pomyślałem – rzekł – że człowiek, który potrafił sobie załatwić odsiadkę w miejscu, gdzie nie powinien być, może mieć jakieś ciekawe informacje.

Przez chwilę nie wiedział, co teraz padnie, ale nagle Malewicz wybuchnął śmiechem.

– Przepraszam – rzekł, ocierając oczy, które mimo pozorów wesołości były blade i martwe – przez chwilę naprawdę myślałem, że pan tak serio. Ale tak, nie powinienem tu być, bo nic nie zrobiłem.

– Proszę mi lepiej opowiedzieć – nachylił się Kacperski – co takiego działo się w domu dziecka, że teraz, po latach, giną wychowawcy.

– I dlatego pan zaczął ode mnie?

– Tak.

– Żebym się rozpruł? – Malewicz znieacka przeszedł na grypskę.

– Zgada się.

Pokręcił głową.

– Mam pewien problem. Naprawdę chętnie bym panu pomógł...

W głowie Kacperskiego zaczęła się palić lampka ostrzegawcza.

– Chce pan wiedzieć, co tam się działo? – Malewicz pokręcił głową. – Usłyszeć o jakichś nadużyciach... Wie pan, o czym mówię, nie?

Cisza.

– Prawda? – dodał Malewicz.

– O czym pan mówi?

– Przecież pan chyba miał z tym do czynienia. Co pan, aż taki młody? Nielaty ominęły, od razu w dochodzeniówce, od razu pana do pionu przenieśli? Nie, nie, chyba widział pan już wychowawców na ławach oskarżonych, czy nie?

Kacperski wpatrywał się w niego z uwagą.

Nieoczekiwanie Malewicz ryknął śmiechem. Odchylił się i śmiał się głośno. Prawie zaraźliwie.

– Kurwa, ale nasz Joe Alex ma minę. No, nie wytrzymam. – Nagle przestał się śmiać. – Nic się pan ode mnie nie dowie. Nic a nic.

– Proszę ze mną nie grać.

– Problem w tym, że ja nie gram. To nie jest gra. Wiem, że sprzedawcy owoców morza w tych czasach nie wzbudzają zaufania, więc musi mi pan uwierzyć, że nie wciskam panu kitu.

Przerwał. Po chwili podjął:

– Nie dlatego, że nie chcę powiedzieć, tylko dlatego, że nie ma czego. Nie było nadużyć, nie było gówna, o którym teraz się czyta. Żadne zakonnice nie zamykały nas w karczerze. Nikt nas nie molestował. Nie, panie władzo. Był sport, dyscyplina, a choć było biednie, to dyrekcja nie miała lepszego życia niż my, wychowankowie. Wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku. Dobrze, że się pan tutaj pofatygował. Niech przyjdą i kolejni, a potem Polsat, publiczna telewizja i, kurwa, nawet Uwaga TVN. Każdemu powiem to samo.

– Czyli co?

– Jestem wdzięczny temu miejscu, że wyprowadziło mnie na ludzi.

Zabrzmiało to mało rozsądnie, ale Kacperski zatrzymał tę myśl dla siebie.

– A wychowawcy...

– To nie byli świetlani ludzie, panie Joe Alex. Myślę, że każdy z nich zostawił za sobą trudną przeszłość. Dla nas byli naprawdę dobrzy. Lepszy niż cokolwiek, co było potem – rzekł Malewicz. – To miejsce mnie w gruncie rzeczy uratowało. Bez tego dawno leżałbym już w piachu. Nauczyli mnie myśleć. Siedziałbym i tylko walił wódkę, jak mój ojciec. Nie używałbym tego – popukał się w głowę – bo to oni nas tego nauczili, dumy z siebie, serca i umysłu. Więc niech pan mi tutaj nie przychodzi z insynuacjami. Ja wiedziałem, że ktoś od was przyjdzie. Niech pan im to odda.

– Co?

– Cześć, kurwa, cześć niech pan im odda. Panu Michałowi, pani Marii i przede wszystkim panu Włodkowi. Ja wiem, co się dzieje na wyspie. Wiem i czekam, aż wyjdę. Mam różnych znajomych, w całym województwie. Może ktoś coś widział. – Podniósł głos, bo Kacperski chciał wejść mu w słowo. Wskazał na swoją klatkę piersiową. – Dla człowieka, który im to zrobił, założę garnitur. Tak, proszę pana, założę jedwabną koszulę, a chuj, niech się popłami krwią. Jak pan go nie znajdzie, to ja go znajdę i zobaczę, jak zdycha.

Kacperski opuścił Wyspę Chrząszczewską. Przemierzał teraz peryferia Wolinu – na przystani w Łunowie umówił się z Rafałem Szostkiem. Schowana głęboko w lesie przystań, do której dopływ przesłaniały wysokie trawy, była oazą spokoju na brzegu jeziora Wicko Wielkie. I niezłym miejscem na ukrycie się przed konkurencją.

Rafał Szostek był kapitanem i budowniczym jachtów. Pionierem nowoczesnego żeglarstwa w Polsce i uczestnikiem międzynarodowych regat. Mówiło się o nim bardzo wiele, choć Kacperski miał wrażenie, że niegdyś więcej. Był legendą, ale legendą nieco już emerytowaną. Może dlatego wybrał dla siebie Łunowo. Nie z obawy przed konkurencją, pomyślał Kacperski, raczej po to, by usunąć się z wielkiego świata.

Szostek grzebał przy swojej łodzi. Miał już chyba sześćdziesiątkę na karku, był całkiem siwy. Ubrany w piaskowy wełniany sweter i płócienne spodnie, naprawiał coś przy przednim żaglu. Kacperski łatwo go rozpoznał, widział jego podobiznę w prasie. Łódź Szostka nie była już nowa, ale wyróżniała się w skromnej, położonej w lesie marinie. Miała w sobie smukłość, niczym kłacz wyścigowa. Na burcie zaś napis: Brenna.

Szostek spodziewał się go i chyba specjalnie skrócił dystans, przyzwyczajony do zbierania hołdów. Na przystani, gdzie żeglarze przyjeżdżali przygotowywać

swoje łódki do sezonu, Kacperskiemu zdawało się, że wokół Szostka panuje lekki ruch. Poruszenie jak wokół kogoś powszechnie znanego.

– Mam kilka napraw. Tu mi jest lepiej – wyjaśnił żeglarz, kiedy zszedł na pomost.

Kacperski rozejrzył się. Jeden pomost, jeden bar. Kilka domków. Miejsce miało w sobie coś magicznego. Szostek podążył za jego myślami.

– Nic panu nie zaproponuję. Samanta... znaczy, tak się nazywa tutejszy bar, jest jeszcze zamknięta. I tak dostalibyśmy przeterminowanego liptona w przykurzonych szklankach – rzekł. – A poza sezonem nawet bez tego musi pan się obyć. Więc tu musimy porozmawiać.

– Dobrze.

– Czy ode mnie pan zaczyna?

– Nie.

– Może pan powinien. Jak pan widzi, jestem jednym z najstarszych wychowanków – zaśmiał się Szostek. – Prawdziwy matuzalem. Choć oczywiście tamci byli jeszcze starsi...

– Niech pan opowie.

Żeglarz się namyślił.

– Gdyby pan widział, jak my wtedy mieszkaliśmy. Na samym początku wszędzie się lała woda. Ściany były dziurawe. W pewnym sensie sami zbudowaliśmy to miejsce, tak żeby nadawało się do życia. To była dla mnie najlepsza szkoła, lepszej już nigdy potem nie dostałem.

Przerwał.

– Wszystko im zawdzięczam – powiedział. – Gdyby nie pan Włodek Moszko, nigdy bym nie doszedł do tego, do czego doszedłem. To nie był zwykły dom dziecka. To był bardziej, nie wiem, jakiś taki wspólny projekt? Rósł razem z wychowankami, razem z nami. Byliśmy partnerami. A pan Moszko jakimś cudem zdobywał na to wszystko pieniądze.

– Mimo to nie wszyscy wychowankowie odnieśli takie sukcesy jak pan – podsunął Kacperski.

– Sukcesy to głód, proszę pana – zaśmiał się Szostek. – Jeden urodzi się głodny, a drugi syty.

– Niektórzy skończyli gorzej – rzekł Kacperski.

– To znaczy?

– Poza prawem.

– Przecież wiem, o kim pan mówi, choć nie miałem przyjemności. Ale na pewno to nie przez nich, nie przez Góralskiego, Pilaszewską i pana Moszko. Na pewno nie przez dom dziecka. Rzadko zdarzają się tacy dobrzy ludzie, a jeszcze rzadziej cała trójka. Kochali nas, kochali dzieciaki i wierzyli w to, co robią. A może inaczej: wierzyli w nas, może to było najważniejsze.

– Czy przypomina pan sobie, aby ktoś mógł mieć coś przeciwko nim? Innymi słowy, czy mieli wrogów?

– Wrogów – zaśmiał się Szostek. – Czy osiemdziesięcioletni człowiek nie dorobi się wrogów? Przypuszczam, że tak. Sam na pewno ich mam, a nawet nie pamiętam imion. Czy ci przeciwnicy zajmują się jednak zabijaniem, czy jeszcze pamiętają, że są czyimiś wrogami? To już nie moja rzecz. Wie pan, wynalazca Thomas Edison całe życie usiłował wykończyć Tesłę. Śledził go, wynajmował nawet agentów Pinkertona. Tesla był jego wrogiem, bo był od niego bystrzejszy, był prawdziwym geniuszem. Jednym wynalazkiem mógł wyrzucić Edisona z rynku, tak prawie się stało z prądem zmiennym. A jednak Tesla umarł sam w pokoju hotelowym. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak, chyba tak.

– Pan jest jeszcze młodziutki. Animozje, konflikty biznesowe, w pracy... z czasem to wszystko blaknie, robi się białe jak piana na fali.

Kacperski poczuł coś w rodzaju lekkiej rezygnacji. Może spowodowały to również dokuczliwy, odbierający energię wiatr, rozmowa z szefem i poranna wizyta na Wyspie Chrząszczewskiej. Nagle stracił nieco zapach tropu.

Hipoteza odwetu za krzywdę, którą wysnuł na starcie, kruszyła się.

– Dziękuję. A przy okazji... – Impulsywnie wyciągnął z kieszeni płaszcza zdjęcie. – Czy widział pan może tego człowieka?

Szostek wbił spojrzenie w fotografię, a potem w Kacperskiego.

– Nie, nie widziałem. W ogóle go nie kojarzę. Tylko że ja nie mam pamięci do twarzy. Czy to jest kolejna ofiara?

– Nie – odparł Kacperski. – Dobrze. Bardzo panu dziękuję.

– Niewiele pomogłem. Żałuję. Chciałbym pomóc, żeby wam się udało.

– Proszę na siebie uważać.

– Nie boję się osoby, która to zrobiła. Boję się, że nie zostaną pomszczeni.

Następne na mapie były Międzyzdroje. Miasto, w sezonie jedno ze słynniejszych w Polsce – zasłużenie z uwagi na piękno plaży, niezasłużenie z uwagi na klasę imprez i muzykę, którą grali pod molo – skupiło grupę

wychowanków domu dziecka w różnym wieku. Katarzyna Trupielewicz-Baćko, menedżerka z Biedronki, stocznowiec Jacek Piórkowski oraz bezrobotny, z wykształcenia malarz okrętowy, Konrad Zyglewicz byli następnymi na liście.

Zyglewicz, mężczyzna w średnim wieku o zniszczonej, chyba przepitej twarzy, miał najwięcej do powiedzenia – a przynajmniej tak uważał. Rozmawiali w parku, rozciągającym się między pustym o tej porze nadmorskim deptakiem a plażą. Hałasowały mewy, którym najwyraźniej zimno polskiego przedwiośnia wcale nie przeszkadzało. To było lekko podejrzanym, że tak tu rozmawiali – w środku tygodnia, w ciągu dnia. Zyglewicz snuł opowieść o swoim życiu. W założeniu miała być barwna, a była przede wszystkim przygnębiająca.

– Prowadziłem biznesy, potem trochę pracowałem u Niemca, następnie na frachtunku... Oni, pani Maria, pan Michał i pan Włodzimierz, nauczyli mnie, że zawsze możesz sobie poradzić. Z domu tego nie wyniosłem, ja domu nawet nie pamiętam, proszę pana. Ich zasługa. Nie było lekko. Ale żałuję, że to się już skończyło. Panie komisarzu, z perspektywy czasu to były lepsze lata mojego życia. Potem różnie mi się wiodło, ale czy winię starszeństwo? No nie! Takie mi się geny trafiły, że środek dnia, ja w parku siedzę – powiedział z uderzającą szczerością. – Że się tak ogólnie zasiedziałem.

– Uczciwie.

– Co mam panu komisarzowi kit wciskać, przecież ja już trochę żyję i wiem, że pan nie jest z prewencji. Zresztą nic złego nie robię. A może jeszcze dyszka się znajdzie za tę uczciwość?

Kacperski nie dał mu dyszki. Miał jednak Zyglewicz jaja, że chciał wyłudzić od policji.

Jadąc dalej, wciąż szukał w myślach wspólnego mianownika, który by to wszystko łączył: wychowanków, wychowawców, dom dziecka. Zbrodnie. Ale znajdował coś zupełnie innego – wyłaniający się obrazek przedstawiał krainę, w której pozostawione i osieroczone dzieci miały lepsze dzieciństwo, niż początkowo im wskazał los. Wiele sugerowało też, że – niezależnie od dziedziny – wychowawcy nauczyli ich, jak sobie dawać radę. Tak, można było darować człowiekowi wszystko, jeśli nauczył cię radzić sobie w życiu. I analogicznie: jeśli cię nie nauczył, jeśli uczynił cię kaleką, to choćby cię kochał nad życie, miałeś prawo do żalu. Wiedział z autopsji.

Zmierzchało już, kiedy opuszczał świat wybrzeża. Logistyka zdecydowała, by w ostatniej kolejności udał się na zapadłą wieś w głębi lądu. Wyspa Wolin to

nie tylko Międzyzdroje, wielkie zalewy, miasto Wolin i morze. Środek wyglądał jak środek tego kraju. Wieś o nazwie Unin mieściła się na kawałku lądu pomiędzy Kamieniem Pomorskim, Bolenią a Dziwnowem, który Kacperski wybrał sobie na kwaterę.

W Uninie mieszkała Agata Podolska, anestezjolożka, praktykująca kiedyś w Świnoujściu. Zajechał. Czerwonawy zachód słońca i sielska polska wieś. Sady – jabłonki, grusze i orzech włoski – ciągnęły się w nieskończoność. Gdzieś w oddali Kacperski dostrzegł pasące się konie. Być może przez żyźniejszą, karmioną morskim powietrzem glebę wszystko wyglądało tak, jakby powoli witało już wiosnę.

Nie zastał lekarki w stajni, jak się umawiali przez telefon – dojrzał ją jednak za budynkiem. Miała pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat i ubrana była w bryczesy. Wychowankowie domu dziecka stanowili kolorową mieszankę: od rasowego kryminalisty, znanego żeglarza, menedżerki i emerytowanego malarza alkoholika, po lekarkę, która tak naprawdę zajmowała się czymś innym, bo gabinet lekarski zamknięto parę lat temu.

W trakcie rozmowy podeszli do niej po dalsze zlecenia młody chłopak w czapce Jankesów i dwoje innych podwładnych. Kacperski zorientował się już, że stadnina to nie konie trzymane dla przyjemności, lecz dobrze prosperujący biznes.

Podolska nie prezentowała się jednak jak przedsiębiorcza wizjonerka. Przemawiała sztywno, a gdy doszli do tematu domu dziecka, jej słowa brzmiały jak kalka poprzednich opowieści.

„To było dobre miejsce”.

Miał już dosyć tego hasła, rozczarowało go. Zbyt jednostronne. Może przez zmęczenie odnosił wrażenie, że to uzgodnili. Wiedział, że to mało prawdopodobne. Wychowankowie nie kojarzyli się już nawzajem. Byli też w domu dziecka w różnych latach, specjalnie tak wybrał sobie przecież rozmówców...

Chociaż jeden szczegół rozmowy z Podolską wydał mu się dziwny.

Zadała mu pytanie:

- Czy powiedział pan „klif”?
- Tak. Zgadza się. Nie wiedziała pani o śmierci Włodzimierza Moszki?
- Nie znałam szczegółów. Od lat nie czytam gazet. Dobrze mi z tym.
- Ale wiedziała pani...

– Tak. Że nie żyją. – Zawahała się. – Ludzie przecież mówią.

– Dlaczego to pytanie o klif? To jest... – Zastanawiał się, czy wyjaśnić dalej, jednocześnie spoglądał na nią badawczo. – Dlaczego pani o to pyta?

– Nie, nie... po prostu byłam ciekawa, jak zginęli.

– Ciekawa.

– Złe słowo. Zapytałam, bo znałam pana Moszkę. Ciekawość to nie grzech, prawda?

Miał wrażenie, że chodziło jej o coś innego. Pewnie tylko wrażenie: fatamorgana zmęczonego ciała. Otrząsnął się, musiał skoncentrować się na śledztwie. Morderstwa rozlane po całej wyspie Wolin, a na niej woda, wysepki, półwyspy, miasta, wsie. Musiał o coś zahaczyć, znaleźć trop, który rozmywał się w tym wszystkim.

– Pan wybaczy, niedługo mam gości – powiedziała.

– W sensie pacjentów?

– Nie, już nie praktykuję, kupiłam starą stadninę, jak pan widzi, konie mi się rozmnożyły... Otworzyłam ośrodek hipoterapii. Oczywiście nie sama, mam specjalistów.

– Skąd?

– Dojeżdżają z różnych miejsc. W każdym razie, jeśli to wszystko... – powiedziała znaczącym tonem.

– Oczywiście. I dziękuję, że pani ze mną porozmawiała.

– Nie ma za co – odparła. Po chwili już jej nie było. Odwróciła się, odeszła i zniknęła w jednym z licznych budynków.

Ale Kacperski został jeszcze chwilę, niewidoczny dla lekarki i personelu stadniny. Nie, nie stadniny: ośrodka hipoterapii. Nikt nie nadjeżdżał. A zrobiło się późno. Zapalił. Zostawił sobie tego jednego papierosa na sam koniec dnia.

Odczuwał spokój ciepłego marcowego popołudnia. Ciemniało już. Jeśli ktoś zamierzał tu przyjechać, to chyba na jazdę nocną. Kacperski wdychał zapach trawy i końskiego łajna, aż stał się już nie do zniesienia. Skierował się do samochodu, wsiadł i bezwiednie mocno zacisnął ręce na kierownicy. W końcu poczuł, że wgniata kciukami skórzaną tapicerkę. Wtedy puścił i rozprostował palce.

– Zwykła policyjna robota – szepnął do siebie, ale czuł lekką frustrację. Cały dzień drogi i rozmów, a wciąż nie miał nic.

Spojrzał na zegarek. Był czwartek 16 marca. Musiał się czegoś uchwycić, coś złapać. Nie miał czasu do stracenia.

Nadeszła pora, żeby udać się do Boleni.

6

Nie udało się ukryć słodko-gorzkiego faktu, z przewagą gorzkiego – na oczach Niny trwały przygotowania do wesela. Kwiaty, catering, ciężarówki kursujące w kierunku Szumów i przystani. Okazja była nadzwyczajna: jej ekschłopak, z którym przez osiem lat była w związku, się żenił. Ojciec jej dziecka. Może nie powinna myśleć, że chłopak. Po pierwsze, czy czterdziestolatka może mieć jeszcze chłopaków? A po drugie, miała po rozstaniu z Tomkiem jednego – Stassberga – i namiastkę w postaci Wojtka, choć ten ostatni związek skończył się szybciej, niż się zaczął. Dokładnie: w te feralne – a dla kilku członków rodziny Koniarskich, u których gościła, ostatnie – święta.

Trudno było jej zresztą rozpoznać dawnego sympatycznego i ładno-brzydkiego okularnika w lekko wyliniałym grubasku, którym się z czasem stał. Tomek zostawił ją, nie wiedząc, że Nina jest w ciąży, a czas nie okazał się dla niego łaskawy. Nie tylko fizycznie, ale i psychicznie zdawał się przygaszony i stracił fajną energię, którą miał, oczywiście jak na komputerowca. Kiedyś, gdy spędzał dni w biurze z programistami, sam nalegał na wyjścia i sport. Był szczupły, nawet trochę umięśniony. Teraz Nina dostrzegała nadwagę i apatię. Wyglądał jak człowiek, który obejrzał wszystkie seriale na Netflixie.

Sama nie miała prawa do apatii. Mała pojawiła się na świecie i guzik ją obchodziło, w jakim stanie jest jej mama. Wysilek był oczywistością. Spacerowała z Milą po górach, a kiedy dziewczynka już nie miała sił, brała ją do nosidełka. Szwendały się po zboczach Magury Małastowskiej, dopóki jednej i drugiej starczało energii. Do porannych biegów włączyła ciężarki i na ramionach już zaczynały uwidaczniać się mięśnie. Jeszcze nie Chodakowska, ale z pewnością nie biurowa kluska, wyczekująca, kiedy na komendzie będzie można zjeść rogaliki z dżemem do kawy.

A poza tym Tomek był wyraźnie nieswój. Wiedziała, kiedy jest nieswój, nawet jeśli fizycznie tak się zmienił, że głównie rozpoznawała w nim okulary. I zdecydowanie nie był tutaj samcem alfa, nawet nie beta ani gamma.

Przywitał się z nią Paweł, ojciec Agnieszki i kuzyn Cezarego. Podał jej rękę ze słowami: „Mogielnicki”. Był bardzo podobny do właściciela Szumów, choć nie tak sympatyczny. Nie była pewna, czy zdawał sobie sprawę z tego, kim ona

jest. W każdym razie wyraźnie przejmował kontrolę nad uroczystością. Na jakimkolwiek weselu była, prawie zawsze organizował je ojciec panny młodej, jakby stanowiło to wyzwanie logistyczne godne tylko prawdziwego mężczyzny.

Może dlatego nigdy nie wzięła ślubu; Aleksander Warwiłow był ostatnią osobą, która powinna organizować wesele. Jej świętej pamięci tata poległby na pierwszym zakręcie – a literalnie na pierwszej półlitrowce. Z ogromnym prawdopodobieństwem ukradłby pieniądze. Więc przy ślubie „kredytowanym” z kopert, jak to się teraz robiło, leżałaby na deskach.

– Ależ pani myśli i myśli – usłyszała nagle.

– Kto, ja? – Obróciła się z uśmiechem.

Starsza kobieta pochylała się w jej stronę, brutalnie przekraczając granice jej prywatności. Aż się musiała uchylić, czując intensywny zapach perfum oraz porannych kanapek z pasztetem i cebulką. Kobieta miała siwe loczki i pomalowane na czerwono usta, a na sobie coś w rodzaju podomki.

– Tak.

– Przepraszam, z kim mam przyjemność...? – Nina zawiesiła głos.

– Felicja Ostapowicz. – Kobieta podała jej dłoń.

– Pani tu...

– Ja? Pracuję! Kręcę się – odparła wesoło kobieta i wskazała na swój sprzęt, odkurzacz marki Dyson. Nina marzyła o takim od dawna, ale był koszmarnie drogi. W domu w górach zalegał prastary kurz. – Od zawsze tu jestem, kochanie – powiedziała kobieta, przysiadając się zniecka do jej stolika. Bez pytania, za to z uśmiechem. – Bardzo lubię rozmawiać z ludźmi – oznajmiła beztrąsko. – Tak, tak. Jestem szczerą kobietą. A dzisiaj to chciałabym poznać panią.

– Mnie?

– Czy pani wie, jak panią tutaj nazywamy?

– Nie mam pojęcia.

– Mówimy: nasza pierwsza żona.

– Jak?

Nina wgapiała się w nią. Pani Felicja się uśmiechnęła.

– Pierwsza żona naszego młodego, naszego Tomeczka. Rozumie pani, to jest mała miejscowość, my się tu wszyscy świetnie znamy, a ja Agniesię od takiej znałam. – Pokazała ręką.

– Nie byliśmy małżeństwem – odparła Nina, przełamując upokorzenie.

Poza tym nie mogła się jeszcze zdecydować, czy kobieta była poczciwa, dobroduszna, czy też kompletnie nieczuła.

Za dobre uczynki płacisz dwa razy... Zapłaciła dwa, trzy, cztery i pięć, łykając kolejne upokorzenia. Serwowane w dodatku przez kompletnie obce osoby.

– Ale tak się przyjęło – kontynuowała kobieta – zanim pani jeszcze przyjechała.

Nina rozejrzała się dookoła. Cezary Mogielnicki stał przy barze.

– Dobrze, pani Felicjo... – zaczęła.

– Fela wystarczy.

– Pani Felu. Więc w czym mogę pani pomóc?

– W niczym, kochanie. To ja lubię sobie porozmawiać. O ludziach. Dużo widzę, kochanie. O, na przykład ci...

Wskazała na starszą parę, sączącą piwo kilka stolików dalej.

– Jacy ci?

– Hauke. Niemcy. Siedzą tu od tygodni. Nie mam pojęcia, co robią. Może nie powinnam pani tego mówić...

– Dlaczego?

– Bo przecież pani jest policjantką. To również wiemy.

– No przecież. Ale czy robią coś złego?

– Nie. Niemcy – dodała kobieta.

Nina chciała coś powiedzieć, ale się wstrzymała. Nie miała prawa osądzać – zwłaszcza dopóki nie zrozumie tego miejsca.

– Nie jest pani podejrzliwa? – Pani Felicja nie złapała ironii. – Przecież tyle się dzieje ostatnio. My tu na końcu świata, ale...

– Co pani ma na myśli?

Wyczuła, że ktoś na nie patrzy. Rozejrzała się po sali. Nie Cezary, ale jego szczupła żona, która, zdaje się, trzymała stronę finansową ich biznesów, dosyć zresztą rozległych. Szumy, przystań, sklep Oliwka – jak się ostatnio dowiedziała.

Mogielnicka nie wyglądała na zachwyconą.

– No, dobrze się rozmawia – powiedziała pani Fela – ale muszę już iść. Chciałabym niedługo skończyć i iść do domu, rozkopać ziemię w ogródku, może już się da. A pani Mogielnicka ma jeszcze wizytę u fryzjera, bo wieczorem odbędzie się tu kolacja, taka nieformalna. Pan Mogielnicki będzie chciał

zapropnować współpracę w zakresie nowej inwestycji. Ma działkę, z którą nie za bardzo wie, co zrobić...

– Chryste, skąd pani to wszystko wie?

– Przecież mówiłam, że wiem wszystko. Ludzie lubią mi się zwierzać, nawet dawać klucze do domów. Wiedzą, że mogą mi zaufać.

Wbrew rozsądkowi i folgując wrodzonej ciekawości, Nina rozejrzała się po jadalni z odpowiednio banalnymi motywami kotwicy, muszli i łodzi na ścianach. Przyjrzała się państwu Hauke.

Już przedtem ich widziała. Ale tak, jak się patrzy na innych gości w hotelu. Musieliby zrobić coś ekscentrycznego, żeby skupić na sobie więcej uwagi.

Zwykła para – wyglądali na lżejszych od papieru, choć przecież przez cały dzień tankowali piwo w tej restauracji o mało oryginalnej, ale dziwnie nęcącej nazwie Rybitwa. Widziała ich również na tarasie, opatulonych w wełniane koce.

– Bardzo miło się z panią rozmawiało. Jestem przekonana, że nie ostatni raz – powiedziała pani Fela.

– Aha...

– Bardzo się cieszę. – Kobieta nie zrozumiała przekazu i się oddaliła.

Nina wyraźnie zaczynała nawiązywać tutaj nowe znajomości. Pewne pocieszenie – ale tylko niewielkie – stanowiło to, że była tu znana jako Nina Warwiłow „pierwsza żona”, a nie Warwiłow „stara żona”.

I nie był to koniec przyjemności. Przecież od samego początku polowała na nią Jolanta Kapińska. Jej niedoszła teściowa i babcia Mili.

Nina nie wiedziała, czego Jola może od niej chcieć, kiedy usłyszała, że „byłoby świetnie znaleźć chwilę na rozmowę”. Wierna przyjaciółka intuicja podpowiadała jej, że niczego dobrego. Zajmowali się obecnie Miłą, ale w każdej chwili Kapińska mogła wpaść na pomysł, żeby zostawić małą z dziadkiem i zacząć ją nękać.

Postanowiła się przejść. Powrót do pokoju o tej porze, do starannie przygotowanych lektur, jakoś nie był w jej stylu. Wymknęła się z Szumów w momencie, gdy eksteściowa pojawiła się w sali i skierowała na nią spojrzenie niemal tak przeszywające jak zimy w Beskidzie. Jeśli to miało zachęcać do rozmowy...

Przez Boleń przejeżdżały już furgonetki i kierowały się w stronę przystani, gdzie rozstawiono ogromny biały namiot. Oczywisty sens panującego tam ruchu i zamieszania dotarł do Niny z opóźnieniem, jak na to, że była przecież

zawodową śledczą; to tam właśnie, nie w Szumach, miało się odbyć wesele. Państwo młodzi ryzykowali trochę, ale zrobiło się cieplej i z pewnością byli jakoś przygotowani. Przy tym błonia obok przystani, z malowniczym wyjściem na wodę, idealnie nadawały się na imprezę.

Jak duża będzie? Panowało wyraźne ożywienie. Boleń tańczyła, śpiewała. Brakowało tylko szarf nad ulicą z napisem „Agnieszka i Tomasz”. Przynajmniej ta ostatnia zniknęła jej z pola widzenia. Córa tej ziemi wyraźnie unikała Niny, można było pomyśleć, że naprawdę ustępowała jej pola. Już niedługo będzie macochą dla jej córki. Na podstawie obserwacji, a także doświadczenia z różnymi flamami ojca, Warwiłow nie wierzyła w tę instytucję. Chciałaby zobaczyć macochę kochającą swoich pasierbów, ale w ciągu czterdziestu lat życia nie miała tej przyjemności.

Z czystej ciekawości skręciła jednak w prawo. Dotarła do przystani, części imperium Cezarego, i owego przerośniętego namiotu. Czyżby z ogrzewaniem gazowym? Czy wzięła ze sobą jakąkolwiek narzutkę, która nie wyglądałaby jak ze szmateksu w Gorlicach albo rzeczywiście by z niego nie pochodziła?

Teren wydawał się nieco podmokły i zorganizowanie tutaj wesela stanowiło dość odważny pomysł. Doszła do takiego wniosku, kiedy schodziła niżej i niżej, bo o ile na górze wiało, o tyle tutaj potrafiła wyczuć zapach mułu z Zalewu Szczecińskiego. Przystań – marina – była nowa i głęboko wchodziła w zalew, a jednostki parkowały w szeregu przy kei. Znajdowały się tu małe venuski, tanga, ale też kilka wypasionych jachtów morskich. Poszła aż na sam koniec pomostu, wdychając rybny, lekko zgniły odór wody. To nie był rozkoszny zapach morza. Ale widok wody fascynował.

Rozejrzała się i nagle poczuła, że coś się nie zgadza, coś tu nie pasuje. Trenowany latami instynkt kazał jej szukać co.

Za szeregiem gigantów, na samym końcu pomostu, parkowała stara łódź. Zabiedzona starowinka, niziutka łódź żaglowa z ledwo widoczną nazwą na burcie: Kai. Różniła się od pozostałych.

Nie tylko litery były zamazane i podmyte. Wydawało się, jakby z łodzi zmyło też kawałek wodnej duszy. Była brudna, chyba od dawna nieużywana. Kabestany i bom już pordzewiały, zwinięte żagle również nie wyglądały na białe. Wydawała się zapomniana w erze nowych technologii, gdzie jachty można było przecież obsługiwać na odległość. Kiedyś dostarczała niezapomnianych przeżyć. Teraz, wciąż jeszcze utrzymując się na powierzchni, spoczywała już na

niewidzialnym cmentarzu, czekając, aż pewnego dnia natura zlituje się i pociągnie staruszkę na dno.

Nina dotknęła burty. Od zawsze miała słabość do starych, nieużywanych przedmiotów. Może przez opiekę nad ojcem, o którym świat i dawni koledzy policyjni zapomnieli. Poglądziła łódź po chropowatej powierzchni. Ta pozostawiła na jej palcu coś czarnego.

Nina zawróciła pod górę i zrobiła sobie kolejny spacer wzdłuż brzegu wody – w poszukiwaniu spokoju. Ekipy telewizyjnej już nie było. Boleń wydawała się nieco bardziej oswojona. Szacowna i dość stara. Fragmenty starego budownictwa i domy kryte bluszczem, który przecież nie wyrósł w rok, żywopłoty w miejsce tui porastających kraj wzdłuż i wszerz. Maleńkie pensjonaty o zadbanych podwórzach. Oswoiła się już z tym miejscem i pomyślała, że ma tu po prostu odpocząć i spędzić udany urlop.

Była gotowa na to, żeby zająć się kryminałem albo trylogią Undset, w międzyczasie zapadając w słodką drzemkę.

Wróciła do Szumów, dobrze przefiltrowana i dotleniona. Senna. Ale przed wejściem czekał na nią Cezary. Ten człowiek stale się uśmiechał; wydawał się z natury entuzjastyczny.

– Słuchaj, ktoś tu na ciebie czeka – powiedział.

– Kto?

Pokręcił głową.

– Nie wiesz?

Nie odpowiedział. Weszła. Na jej widok z krzesła podniósł się młody człowiek. Był przystojny, a może raczej ładny w chłopięcym stylu. Miał dość długie, zaczesane do tyłu włosy i zarost. Lecz w jego sztywnej postawie i spojrzeniu nie dostrzegła nic chłopięcego, bardziej już wojskowego.

Albo raczej – zrozumiała po chwili – policyjnego.

7

Czego Szymon Kacperski się spodziewał? Że żywa legenda polskiej policji okaże się drobną brunetką o spokojnym, wręcz nieśmiałym spojrzeniu zielonych oczu? Na podstawie szerzących się opowieści o Ninie Warwiłow, które z łatwością docierały nawet do Wielkopolski, wyobrażał sobie jakąś tytanke, Horpynę. Stojąca przed nim kobieta była szczupłą, niemal wątłą, chociaż nie sprawiała wrażenia słabej.

– Kiedy usłyszałem... – zaczął, bo był trochę zmieszany. – Przepraszam. Podkomisarz Szymon Kacperski.

Uklonił się, nieco wbrew sobie. Ceremonialnie, jak po japońsku. Nina nawet nie mrugnęła okiem, dalej go obserwowała.

– Och – powiedziała tylko. – Nina...

– Wiem, kim pani jest.

– Nie trzeba mówić do mnie per pani.

– Dziękuję – odparł, chociaż chwilę walczył ze sobą. Szacunek do policyjnej bohaterki sprawiał, że niełatwo było mu przyjąć tę propozycję. – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego przyszedłem. Tutaj wszystko bardzo szybko się rozchodzi. Wyspa czy nie wyspa, ale to jest taka społeczność. Swoją świat.

Cezary Mogielnicki dalej stał z boku, dobroduszenie zadowolony z tego, co się dzieje. On między innymi szerzył te wszystkie informacje. Nina wyglądała, jakby się nad czymś zastanawiała. A potem wyciągnęła dłoń i mocno uściśnęła rękę Kacperskiego.

Śledczy skierował spojrzenie na Mogielnickiego, tak znacząco, jak potrafił, żeby okazać swój policyjny autorytet.

Zadziałało. Mogielnicki wycofał się i skrył w środku.

– Przepraszam, ale przyjechałeś tutaj, bo... – zaczęła Nina.

– Tak?

– Do mnie?

– Spokojnie. Przecież to nie twój rewir.

– Z czym więc przyszedłeś?

– Nie czytasz prasy?

Wzruszyła ramionami.

– Są zabójstwa – dodał. – To znaczy, staramy się trzymać gazety... nie wszystkie informacje ujawniamy...

Milczenie. Czekąca. Wydawała się mało zainteresowana.

– Wiem. Czytałam coś – rzuciła w końcu.

– I?

– I? – Uśmiechnęła się. A potem pokręciła głową. – Nie no, chyba żartujesz.

– Na jaki temat?

Spojrzała na zegarek na ręku.

– Przepraszam, musiałam się zorientować, która godzina. Bałam się, że wpadłam w dziurę czasową, ale rzeczywiście poznaliśmy się pięć minut temu.

– Co chcesz powiedzieć?

– Oczekujesz ode mnie jakiejś hipotezy?

Nie odpowiedział i zaśmiała się. Naturalnie. Miała wdzięk. Może właśnie o to chodziło – najlepszy śledczy miał te wszystkie instrumenty w ręku. Krążyły opinie, że Warwiłow potrafi być bezwzględna. Ale nie wydawała się sztuczna. Pomyślał, że po prostu była policjantką i kiedy nadchodził właściwy czas, wykonywała swoją pracę.

– Masz mnie za jakąś cudotwórczynię?

– A za kogo? Jesteś prawdziwą legendą.

– To brzmi, jakbym była bardzo, bardzo stara.

Pokręciła głową i miał wrażenie, że wbiła w niego badawcze spojrzenie.

– Najgorsze albo najlepsze... nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić.

– To zależy.

– To zależy... Po prostu kiedy na ciebie patrzę, to o tym myślę. Bardzo przypominasz mi kogoś, kogo znam.

– To źle czy dobrze?

– To był najlepszy policjant, z jakim pracowałam.

– Aha.

– Fizycznie – dodała. – Bo przecież jeszcze nie mam pojęcia, jak pracujesz, prawda?

Zarumienił się. Każde pytanie było delikatnie sprawdzające. Badające osobowość, bystrość, pewność siebie. Jakby rzeczywiście budowała jego portret – ale na tyle subtelnie i swobodnie, że nie mógł jej na niczym przyłapać. Nie

tylko inaczej ją sobie wyobrażał, ale też nigdy nie pracował z dochodzeniowcem rozmawiającym w ten sposób.

Tak o niej jednak mówiono. Nikt nie twierdził, że jest czołgiem. Raczej że potrafi się dostosować do miejsca, zrozumieć, jak ono działa. Że skleja się z miejscem, w którym jest, a nie że je taranuje. Że stara się zrozumieć jego klimat i specyfikę.

I zadał sobie pytanie, dlaczego chciał ją spotkać. Dlaczego nie potrafił sobie tego odmówić. Wiedział, że spogląda na nią z podziwem i że Nina to widzi, ale nie potrafił inaczej. Nie pociągała go jako kobieta – zwłaszcza że mit przybrał ludzką postać dopiero przed chwilą. Jednak pragnął ją spotkać, zobaczyć, jak pracuje.

Przypuszczał, że ta adoracja jest widoczna, że Warwiłow dostrzega ją w jego oczach i gestach. No i w tym, że tu przyjechał. Nagle poczuł się jak uczeń, który operuje jakimiś topornymi, stępionymi narzędziami.

– Jasne – mruknął cicho.

Szturchnęła go lekko w ramię. Wydawała się wyluzowana.

– Słuchaj, ja...

– To oczywiste, że nic o mnie nie wiesz – wszedł jej w słowo. – Czy chcesz wiedzieć o sprawie?

– Nie jestem tu służbowo. Ale po prostu mi streść.

Zrelacjonował.

– A co miałabym ci teraz powiedzieć? – zapytała. – Rozumiem, że operujemy na całej wyspie Wolin. Że sprawca jest mobilny. Nie że ma samochód – kontynuowała, widząc wyraz jego twarzy – ale że ma świetną orientację w terenie. Z morderstwem jest cała masa roboty. On działa szeroko i prawdopodobnie tak samo dobrze czuje się mieście, jak w naturze. Optymistycznie myśląc, nie wychodzimy poza wyspę Wolin. Ile ona ma powierzchni?

– Dwieście sześćdziesiąt pięć kilometrów kwadratowych.

– Aha. Oczywiście sprawca mógł już wyjechać, prawda? Z drugiej strony... i tak szukamy igły w stogu siana. Poza tym powiem ci to, co raczej jest dla ciebie oczywiste.

– Tak?

– Morderca mógł jeszcze nie skończyć.

Zaschło mu w gardle.

– Nie ma już więcej żyjących wychowawców.

Wzruszyła ramionami.

– Ale nikt nie powiedział, że morderca zakończył swoją misję.

– No więc co o tym wszystkim sądzisz?

– Chcesz, żebym przedstawiła teorię na podstawie zdrapek? Nawet nie pytam, czy przesłuchiwałeś już byłych wychowanków...

Kiwnął głową.

– Rozmawiałem z kilkoma osobami. Brzmiały jak sekta – rzekł i nieco wbrew sobie poczerwieniał. – Nic się nie dzieje, miejsce było idyllą na tle pożogi powojennej i tak dalej. Ale wiesz co, wyciągnę od nich prawdę. Wszyscy mówią, jakie to było wspaniałe. Nie było, na pewno są jakieś luki, szpary.

– Naprawdę?

– Tak – podkreślił jeszcze raz. – Znajdę je.

Przerwał i po chwili zapytał:

– Czy masz wolną godzinę?

– Tak.

– To chodź ze mną.

– Chodź?

– To nie wymaga samochodu.

Wyszli na drogę. Może to mało elegancko z jego strony, że ją wyciągał, bo padał teraz lekki deszcz. Wyglądała jednak na dobrze przygotowaną – ubrana w kurtkę z Gore-Texu i wodoodporne buty. Wiatr napierał i utrudniał poruszanie się po Boleni. Piętnaście minut później mijali ostatnie domy.

– Prowadzisz mnie do lasu – rzuciła – żeby nie powiedzieć: w krzaki.

– Jeszcze trochę.

Przystanąła, kiedy skręcił w prawo, w polną drogę.

– Znam to miejsce – powiedziała.

– Tak?

– Widziałam budynek. Czy to...

– Tak, to jest ten budynek.

– Nigdy nie widziałam takiego domu dziecka. Czy to nie jest jakiś pałac?

– Zapewne tak, ale to kwestie dziejowe, nie? Niemieccy osadnicy pozostawili kapitalną architekturę, więc trzeba było coś z tym zrobić.

– Do kogoś jednak należała.

– To jest temat, w który nie należy wchodzić.

– Aha, dobrze. Nie rozmawiajmy o prawie własności. A do kogo teraz należy?

– Zawikłane. Do kilku różnych podmiotów. Nie tylko budynek. Są też tereny poniżej, w tym nad wodą. Miały być kiedyś przeznaczone pod budowę nowej przystani, tak przynajmniej słyszałem. Na razie nic się nie dzieje i nie wiem, co z inwestorami... Idziemy?

– Tak.

Przeskoczyli przez ogrodzenie. Za nim pleniły się chaszczki, przez które trudno było iść. Minęli podwórze i dotarli do ceglaneanego budynku. Kacperski otworzył drzwi, wydawały się wątkę, jak z dytky.

– Zapraszam – powiedział.

– Wolę za tobą. – Uśmiechnęła się. A kiedy na nią spojrział, dodała: – Wybacż, jak dla mnie nie musimy tu wchodzić. Mam dziecko, a ta podłoga jest bardzo niepewna.

– Idę na wabia.

– Tak.

– Jak zginę, przekaż innym moją historię.

Zaśmiała się.

Stapał delikatnie, przyświecając sobie latarką. Od kurzu miał ochotę kichać. Minęli obszerny mroczny hol i po schodach z ułamanymi stopniami weszli wyżej. Korytarz na piętrze prowadził do licznych pokoi. Zaskoczyło go, że znajdowały się tam jeszcze szkielety łózek, a nawet połamane szafki nocne. W innych pomieszczeniach – szczątki umywalek i ubikacji. Oznaki dawnego życia. Setki, może tysiące dzieci tu biegały, dorastały, dojrzewały.

W kącie ostatniego pokoju, niedaleko okna z resztkami szkła, leżały ubrania, jak gdyby wyprowadzano się stąd na gwałt. Warwiłow podeszła bliżej. Zbadała je dłonią w rękawiczce, którą zdążyła wydobyć z kieszeni. Łózcżko jak dla dziecka, jakieś graty zebrane niczym przez lokalnego Golluma.

– Widzisz coś?

– Nie, nie, ja tak tylko...

Wydawała się jednak zamyślona.

– Jeśli coś wiesz...

– Nie. Poczekam na ciebie na zewnątrz, bo grzyb tutaj mnie zabije.

Wyszła. Podążył za nią długimi, wysokimi korytarzami. Opuścili budynek i stanęli pod rozłożystym dębem.

– Dobrze, czy mogę ci jakoś pomóc? – Skierowała na niego spojrzenie.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– A chcesz?

– Nie wiem – powiedziała. – Jeszcze nie wiem, chociaż moje urlopowanie od dawna jest pewną fikcją.

– Rozumiem.

– Czy wracamy do Boleni?

Obróciła się w stronę bramki. Nagle zdecydowana, choć na początku wydawała się mało zainteresowana. Zdawało się, że chce szybko opuścić to miejsce. Zatrzymał ją gestem.

– Nina, poczekaj.

– Tak?

– Nie mogłem się powstrzymać, żeby do ciebie przyjechać.

Cisza.

– Wciągnąłem cię w to – dodał.

– Tak, wciągnąłeś, Szymon – powiedziała, zapinając zieloną kurtkę pod szyję, bo zrobiło się chłodniej. – A teraz musimy z tym żyć.

8

Ach, piękno współczesnego Świnoujścia. Podobno z niczym nie mogło się równać. Nina zapakowała córkę do samochodu. Chciała z nią pobyć sam na sam. Posłuchać obserwacji na temat świata, bo Mila prowadziła już stałą narrację. Liczyła samochody, wymieniała ich kolory. Uwielbiała motoryzację; mieszkała w górach i potrafiła nazwać takie pojazdy jak kombajn, ratrak, odśnieżarka, nie mówiąc o banalnych traktorach, których marki rozróżniała.

Tym razem mała dodatkowo ją zaskoczyła: okazała się doroślejsza od niej samej. Skierowały się na przystań po stronie Wolina, gdzie wbrew ostrzeżeniom o korkach było całkiem mało samochodów. A niby tak ciężko dotrzeć na Uznam. Ludzie przeważnie przesadzali w swoich opowieściach.

– Mamo, tam był jakiś znaczek – poinformowała cicho Mila.

– Jaki znaczek?

– Tam. – Dziewczynka wskazała dłonią. – Widziałam literkę A.

– Naprawdę?

Niemal w tym samym momencie, tuż przed wjazdem na prom, drogę zagroził jej mężczyzna w czapce.

– Tutaj tylko dla miejscowych – rzekł.

– Może ja jestem miejscowa, tylko samochód mam nie stąd.

– Nie, nie jest pani.

– Ale ja... – odwróciła się, wskazując na dziecko.

I tutaj Mila ją załatwiła.

– Ale ja powiedziałam, mamo – oznajmiła poważnym tonem.

Mężczyzna, młody i wesoły, roześmiał się. Ale nie dał się przekonać, tylko pokręcił głową.

– Nie da rady, proszę pani.

Porozumiewali się, jak widać, podprogowo. Jednym gestem pokazał, że „akcja dziecko” tutaj nie przejdzie. Być może dołączyła już do rodziców, którzy oczekiwali przywilejów w zamian za posiadanie „bąbelka”. Wodniak przeciął te rojenia.

– Musi pani się udać w stronę Karsiboru, na przeprawę o tej samej nazwie.

Ciut zniecierpliwionym głosem udzielił jej instrukcji i Nina z trudem wstrzymała się, żeby nie pomachać odznaką. Posunięcie głupie i bezsensowne, a nawet ryzykowne. W końcu nie przebywała w swoim rewirze. Ale mając w perspektywie kolejkę, człowiek tracił rozum.

Przynajmniej tutaj jej obawy okazały się uzasadnione: rozciągnięty korek pełzył na drodze prowadzącej do przystani Karsibór. Ustawiły się na końcu, patrząc, jak ludzie wychodzą na zewnątrz, palą i spoglądają spokojnym wzrokiem na korek, jakby nic innego w życiu nie robili. Kolejka posuwała się jednak szybciej, niż Nina przewidywała, i w końcu znalazły się w sznurze samochodów przekraczających Świnę. Tak powstawał prestiż miejsca. Było dla wybranych, a już na pewno dla cierpliwych.

Stały blisko prawej krawędzi, a ponieważ nie było zakazu, wyszła z małą na pokład. Mila ścisnęła ją za rękę – zniecka duchem przygody. Jakie to wszystko musiało być dla niej wielkie. Dzisiejsza wyprawa to jak podróż dookoła świata. Przeprawa przez Świnę – jak przez Atlantyki. Nina sama to odczuwała. Prawdę powiedział jej ktoś mądry: mając dziecko, człowiek otrzymuje powtórne dzieciństwo, przeżywa wszystkie emocje od nowa.

Rzeka, z prawej strony port, a z lewej zielony masyw Karsiboru. Nagle się zorientowała, że to tam znaleziono trzecie zwłoki – uwięzione wśród kęp trawy ciało Michała Góralskiego. Widziała stąd zachodni brzeg Karsiboru. Spoglądała od strony Świny, ale do Krzeków też nie było stąd daleko... Nagle znalazła się blisko zbrodni i przez chwilę zawładnął ją instynkt psa gończego.

Udać się w miejsce znalezienia ciała. Znaleźć to, co dla innych być może pozostawało nieuchwytnie. Nawet jeśli tym razem zadanie wydawało się karkołomne. Ale gdyby tam pojechała, może zobaczyłaby, jak morderca mógł niepostrzeżenie zostawić zwłoki. Przepłynąć, a może przejść przez karsiborski rezerwat ptaków ścieżką, widoczną przecież nawet na mapce...

– Za wysoko – sapnęła nagle mała, kiedy rzeczna fala uniosła prom nieco wyżej. Może na kilkadziesiąt centymetrów, ale to musiało znaczyć więcej dla malutkiej, mierzącej niewiele powyżej metra dziewczynki.

Nina odgarnęła kosmyk ciemnych włosów z czoła Mili i przytuliła ją.

- Mama jest z tobą.
- A tata?
- Tata też jest.

– No tak, tata też. W domu – odparła dziewczynka, nieco zaskoczona tym odkryciem, a Ninę zakłuło serce. Rodzice w jednym miejscu. Niespotykana w krótkim życiu Mili sytuacja.

Zjechały z promu i powoli sunęły przez Świnoujście. Ogromna ilość rowerzystów, przemierzających miejskie parki, i rozciągnięty na kilometry port. Przy plaży gigantyczne hotele. Same swojskie marki: Sheraton, Marriott, Westin, niczym pokraccie implantowany Manhattan. Albo Floryda. Entuzjastyczna amerykańizacja; chociaż pod hotelami, na dole, cepelia bardziej w narodowym duchu. Mała została obdarowana balonikami, a na lunch zjadły skromne świeże bułeczki z rybami. Miał ze śledziem (matjas, nie bismarck), a ona zafundowała sobie halibuta.

Z pewną ulgą opuszczała jednak piękny Uznam. Przyzwyczała się już do subtelnie prowincjonalnego klimatu Wolina – oczywiście wyłączwszy Międzyzdroje. Jechały teraz w strugach ciepłego popołudniowego deszczu. Mała spała smacznie w foteliku, w ręku dzierżąc łupy z dzisiejszego dnia: balonik, plastikowego dinozaura i syrenkę, z której już wypadła połowa niebieskich włosów.

Dochodziła czternasta, kiedy Nina odwiozła córkę na „rosołek” do teściów. To znaczy zrobiony w kuchni w Szumach, ale całkiem dobry. Sama miała wolne, bo nikt nie zaprosił jej na ten obiad rodzinny, a w zasadzie przedweselny. W tym i „teściu”, emocjonalnie wykastrowany mężczyzna, bez wpływu na cokolwiek, co mogło mieć znaczenie. „Rysiek”, tak go nazywała w myślach, choć naprawdę miał na imię inaczej, ale słabo już pamiętała jak. Być może Józef, być może Fryderyk. Mówiąc krótko, traktowała go tak, jak jego własna żona, bo tego się od niej nauczyła.

Miała czas dla siebie. W końcu ułożyła się na łóżku i przykryła włochatym kocem z szafy w przedpokoju. Było ciepło, kaloryfer pod oknem przyjemnie grzał. Wzięła jedną z powieści kryminalnych autorstwa niebywale poczytnej francuskiej autorki, ale rzecz była tak naiwna, że odłożyła po piętnastu minutach. Trudno jej było uwierzyć, że ktoś może się nabrać na tę fabułę. Wróciła myślami do wczorajszego dnia, do wycieczki z Kacperskim.

Troje zamordowanych wychowawców. Wzięła telefon do ręki i zaczęła przeglądać wiadomości. Dwie pierwsze ofiary to mocno starsza kobieta zamordowana w domu oraz mężczyzna znaleziony na plaży. Żadnych informacji o przyczynie zgonu, aż dziwne. Czy policja celowo to ukrywała? I ostatnie morderstwo, zwłoki dryfujące na wodzie. Zabójca był wszechstronny: woda,

góry, M3 należące do staruszki. Nieuchwytny i niewidoczny. A w tle tego wszystkiego – rozpadający się pałacyk na klifie. Miejsce z historią, rzucające cień większy niż sam budynek. Czym było wcześniej, kogo gościło, zanim stało się domem dla dzieci?

To, co powiedział Kacperski, nie pasowało do jej wczesnych doświadczeń zawodowych, kiedy robiła w nielatach i miała do czynienia z młodzieżą. „Dobre miejsce”, tak mówiono. A wychowankowie, o których opowiedział jej wczoraj Kacperski – czy można wychwycić tu jakiś schemat? Radzili sobie różnie, jak to ludzie. Czym była sama Boleń, pomyślała. Oczywiście częścią Niemiec. Jak długo?

Pałac – zrujnowany budynek, cegły, chaszcze i kamienie. Włożyła sweter i luźne spodnie. Wstała i wyszła z pokoju. Najpierw udała się do sklepu, gdzie kupiła wodę i trochę owoców, bo zgłodniała. Wrzuciła je do plecaka. W Szumach było o nie trudno, ale Oliwka okazała się całkiem nieźle zaopatrzona. A potem poszła dalej, znanym już sobie traktem, brzegiem lasów wolińskich. Przeszła przez połamane ogrodzenie i – ponieważ zorientowała się już w terenie – stanęła w bezpiecznym miejscu.

Po prostu obserwowała. Miała przecież czas. Nigdzie jej się tym razem nie śpieszyło.

Mijały minuty; dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć...

Usłyszała szelest, odgłosy niepewnych kroków, sapanie. Skoncentrowała się, żeby nie wydać najmniejszego dźwięku, ale chyba mogła sobie odpuścić. Bo zobaczyła idącego z trudem starego mężczyznę, starszego niż węgiel. Wyraźnie był w kryzysie bezdomności. Przedstawiciel tej najbardziej zmarginalizowanej części społeczeństwa, prawdopodobnie z ukrytymi problemami psychicznymi. Przed sobą mężczyzna pchał zupełnie pordzewiały wózek wypełniony przybrudzonymi fantami.

Z bliska Nina zobaczyła, że twarz miał pooraną zmarszczkami jak topograficzna mapa Beskidu Niskiego. Może był chory, ale przede wszystkim bardzo stary. Nie zataczał się, po prostu uporczywie szedł, nawet jeśli sprawiało mu to trudność. Wózek hałasował na drodze, jak gdyby składał się z setek grzechotek.

Szedł jak do swojego domu, zgarbiony i szczupły. Minął ją, może o trzy, cztery metry. A potem, z pewnym trudem, pchnął drzwi opuszczonego budynku i zniknął w jego wnętrzu.

9

Kacperski otworzył okno swojego poddasza w Dziwnowie i wrzucił do ust kawałek gorzkiej czekolady. Nie rozumiał, czemu inni tak nie robią, nie było nic lepszego niż cukier i kakao o poranku. Miał stąd kilkanaście kilometrów do pracy, ale nawet nie wyobrażał sobie, żeby nie mieszkać nad morzem. Pustka w ogóle mu nie przeszkadzała. Kiedy przyjechał tu jesienią na rekonesans, przesiadywał przy marinie nad Zatoką Wrzosowską. Z perwersyjną przyjemnością obserwował, jak koło wypasionych apartamentowców po drugiej stronie zatoki zamiera imponujący letni ruch, a po niezliczonych zawodach młodzików i popisach bogatych żeglarzy ze Szczecina nie ma śladu. Miasto szarzało i wchodziło w okres hibernacji aż do kolejnego sezonu.

Zjadł całą tabliczkę, wyrzucił papierek. Zebrał się w sobie i naciągnął ciasno przylegającą piankę (5,4 milimetra o tej porze roku), jeszcze wilgotną po wczorajszym pływaniu. Chwycił pomarańczową bojkę („Pamelę”) i wyszedł ze swojego poddasza. Szybko dobiegły go zapachy gotowania. Ósma rano, a gospodyni na dole już pichciła. Ostatnio bardzo uprzejmie zaoferowała mu gołąbki na śniadanie, parę tygodni wcześniej – krupnik.

Dwukrotnie odmówił, choć przypuszczalnie powinien zmienić dietę na tym północnym biegunie zimna. Może planowała go dokarmiać, by zyskać jego przychyłność, co mogło się wiązać z przyjazdami córki. Stale go zagadywały, przesiadując w ogródku. Odrzucał myśl, że córka, rozwódka z dwójką dzieci, zaczęła tu częściej bywać, od kiedy pan „podkomisarz” stał się lokatorem. Poza tym gdyby jego czarny scenariusz się zrealizował i rzeczywiście na niego polowała, powinna zabierać swoje berbecie.

Kobieta nie miała pojęcia, że Kacperski nienawidził, kiedy się zostawia dzieci.

Potrzebował ruchu. Kiedyś biegał i mógł do tego wrócić, ale odkrył, że nic tak nie rozgrzewa głowy jak czekolada i zimna woda z rana. A w dobrej piance można było pływać już od marca.

Miał do pokonania fragment ulicy, park i wydmy. Centrum miasta w duchu nieco wschodnioeuropejskim i błękitne domki w budowie, wyglądające jak z kartonu. O tej porze roku Dziwnów był bardziej apatyczny niż Kamień

Pomorski. Trochę zrezygnowany, trochę śniący na jawie, z nieśmiałą nadzieją, że niebawem nadejdzie maj i do sanatoriów zaczną się zjeżdżać goście.

Kacperski był prawdopodobnie jedyną osobą w Dziwnowie, która myślała zupełnie odwrotnie. Zszedł na puściutką plażę. Była idealnie wygładzona przez morze, jakby nie stanął tu nigdy żaden parawan z piratami. Lubił sobie wyobrazić, że przybywa na nieznaną wyspę i jako pierwszy człowiek chodzi po dziewiczym piasku. Niedoceniane szerokie plaże Bałtyku, na wielu żywej duszy.

Wszedł do morza. Zimna woda wdarła się do środka przez plecy i zaczęła pracować pod pianką, nagrzewając resztę ciała. Po chwili nogi i tułów były już zupełnie w porządku – choć dłonie wciąż miał lodowate. Musiał się szybko ruszać. W tych pierwszych momentach zawsze się zastanawiał, czemu to sobie robi, zamiast uprawiać pocziwy jogging na wydmach. Czemu zawsze musi iść krok dalej.

Słabo zasolona woda wpadała mu do ust. Przebijał się przez łagodne fale. Sprawdzał godzinę na nixonie, żeby wyrobić regulaminowe trzydzieści minut. Czasem nie liczył czasu, dzisiaj było mu jednak ciężko i wołał zachować siły na resztę dnia. Pływał trzydzieści minut. Potem należało założyć ręcznik z kapturem na piankę oraz wrócić w szybkim tempie, budząc zdziwienie, choć może już nie tak wielkie, rzadkich kuracjuszy i rybaków z Dziwnowa, dopiero powracających z połowu śledzia.

Następnie prysznic, gdzie zmywał z siebie resztki wody morskiej, a potem druga już kawa oraz owsianka. Jadł ją na mleku. Na stojaka, choć jak na babciny domek apartament na poddaszu prezentował się całkiem dobrze. Został urządzony z myślą o turystach i choć nie można było stąd dostrzec morza, miał świetny widok na zatokę. Była tu kanapa z Black Red White, niewielki telewizor, klimatyzacja – wszystko utrzymane w stylu dwu-, trzygwiazdkowego hotelu. Kacperski zawdzięczał to wciąż rosnącym standardom. Turyści musieli w końcu przedłożyć Bałtyk nad opcje egipskie albo tureckie.

Jeden pokój był sypialnią – akurat ten pomalowany w szpetne różowe i pomarańczowe barwy. Na łóżko z białej sklejki Kacperski narzucił swój własny koc z Poznania. W zasadzie mógłby nawet mieszkać w tym różu i pomarańcu, ale chciał mieć coś, cokolwiek, swojego. Kupił też grube zasłony w Ikei. Bynajmniej nie na okno.

Odsłonił jedną z nich. Do ściany przyczepiona była szeroka biała płachta z kartonu. Różnymi kolorami zaznaczał na niej ważne punkty. Była to wyspa

Wolin, z barami, tawernami, większymi lub mniejszymi marinami. Teraz jednak zastanawiał się, czy to właściwy kierunek. Powiat kamieński, a nawet Międzyzdroje i teren aż do Świnoujścia wypełniły się kolorami, ale w środku ziała ogromna czarna dziura. Woliński las. Zakrył to wszystko z powrotem zasłoną, chociaż był przekonany, że staruszka zagląda tu pod jego nieobecność. Żeby się upewnić, już w pierwszym tygodniu skorzystał ze staroświeckiego włosa przyklejonego do ramy drzwi. Nie było go, kiedy wrócił.

Wyszedł z budynku, ścigany spojrzeniami wyzywającej brunetki. Szkoda, że nie miał odwagi powiedzieć jej o dzieciach. Fajnie byłoby pograć w piłkę w ogródku z jakimiś berbeciami.

Tak jak ostatnio musiał odpuścić sobie rower na rzecz kilkuletniego fiata. Przed sobą miał piętnaście kilometrów wzdłuż Zatoki Wrzosowskiej i Zalewu Kamieńskiego. Skierował się do pracy. Na komendę prowadzono jakiegoś chłopaczka. Średnio raz na miesiąc zdarzały się tu kryminalne wygłupy; przypuszczalnie młodzi powinni wyruszyć w świat. Mijająca go funkcjonariuszka posłała mu uśmiech, który Kacperski odwzajemnił.

Z początku budził tutaj pewną sensację swoim transferem z wielkiego Poznania. Tam to musiały być sprawy. Ale nie dzielił się opowieściami, milczał i w końcu trochę zrezygnowali. Nie otaczała go wrogość, raczej pewna obojętność, którą czuł, kiedy zamawiał zapiekankę z frytkami w barze naprzeciwko. Siadał razem z nimi, jadł, pił kawę i odchodził.

Od razu kiedy wszedł, wyczuł panujące w komendzie napięcie. Była zbyt mała, żeby dało się to ukryć. Trzy powiązane ze sobą zbrodnie na wyspie Wolin i on, w teorii przynajmniej, najbardziej kompetentny, żeby to rozwiązać. Troje ludzi w podeszłym wieku. Plaża pod Międzyzdrojami, miasto i Wielki Krzek... Kto zadał sobie trud, żeby ich zamordować, i to w tak absurdalnie spektakularny sposób? Przypomniał sobie twarz topielca o siódmej rano. Sitowia jak trawiaste kajdany. Słabe, blade ciało kołyszące się w szarych wodach.

Szybko przeszedł do swojego pokoju, uświadamiając sobie jednocześnie, że zaczął się ukrywać. Zabrnął w śledztwo, którego nici nie umiał powiązać. Ukrywał się, ale komenda w Kamieniu była za mała. A już na pewno dla Zembrzuskiego.

Szef wszedł bez pukania i usiadł ciężko. Z uśmiechem potarł czoło, spocone niezależnie od pogody; jak karczmarz, który właśnie upichcił obiad dla niezapowiadanej gromady gości.

– Jak śledztwo? – zapytał.

Kacperski nie odpowiedział, zbierając myśli.

– Na odprawie cię nie było – ciągnął inspektor.

– Nie – odparł. – Pracowałem.

Nie było to całkowite kłamstwo. Mógłby powiedzieć przecież, że ten konkretny czas spędził nad swoją mapą – choć tak naprawdę jechał wtedy, spóźniony, samochodem do Kamienia.

– Jesteś niezależny – powiedział Zembrzuski. – I ponoć miałeś kilka sukcesów.

Kacperski milczał, bo to nie zaczęło się dobrze.

– I myślisz, że nie musisz się tłumaczyć – ciągnął szef. – Sam nie wiem, czemu się tu pchałeś, no ale przysłali cię, to jesteś. Na początku się dziwiłem, że chcesz. Potem, kiedy zaczęły się zbrodnie, pomyślałem, że los tak chciał i że mamy farta. A teraz? Teraz to już, kurwa, nie wiem, co myśleć. Tyle ci mogę powiedzieć...

Odnosił wrażenie, że Zembrzuski jeszcze nie skończył, ale przyjmował to trochę jak pokutę. Milczał. Jako strategia na załagodzenie – nie zadziałało.

– Ale swoją niezależność możesz sobie wsadzić w dupę. Masz być na odprawie, bo dajesz zły przykład, i nawet nie wiesz, jaki popełniasz błąd... Za następną nieobecność załatwię ci naganę wpisaną do akt.

– Dobra. Będę – odparł.

Zembrzuski pokręcił głową. Uśmiech greckiego karczmarza zaczynał schodzić mu z twarzy.

– Taki jesteś pewny siebie? Co wiesz? Ja ci powiem. Gównno wiesz.

Kacperski odchylił się na krześle. Bynajmniej nie z powodu tych słów, przecież był policjantem z Poznania. Tylko że od Zembrzuskiego buchnęło czymś jak kaszanka z cebulką na śniadanie, opcjonalnie z musztardą. Szef opanował wybuch. Może to była jakaś gra, bo jak większość szefów miał talent do manipulacji.

– Za dużo zbrodni – powiedział cicho. – Musisz coś z tym zrobić.

– Rozmawiałem z wychowankami...

– Jacy wychowankowie! Wszedłeś tutaj z gotową tezą, a to nie jest prawda! Masz jakiegokolwiek argumenty czy może rzeźbisz w gównie? Śledczy musi być obiektywny. Nie tendencyjny, tylko elastyczny, prawda? Nawet my, wieśniacy, to wiemy.

Inspektor pokręcił głową.

– Nie radzisz sobie, i ja na pewno nie będę za to płacił. Będzie z tobą pracować Ela Paidaki. I – Zembrzuski podniósł głos, nie czekając na jego odpowiedź – nie pytaj, kto to jest, bo powinieneś już wiedzieć.

– Wiem.

– Włącz ją. To jest młoda dziewczyna, ale dobra śledcza. Dałbym jej tę sprawę, gdyby cię nie było. A tak postawiłeś mnie w sytuacji bez wyjścia, choć w gruncie rzeczy ułatwiłeś mi decyzję. Zacznijmy od tego, że zaczniecie badać inne hipotezy. Znamy *modus operandi* sprawcy. Co z motywem?

– Szefie – Kacperski wziął się w garść – nie jestem zielony w temacie domów dziecka. Tego i owego już się w pracy nawidziałem. Trzy morderstwa w krótkim czasie to podręcznikowy odwet, jestem tego pewien...

Przerwał, żeby się nie zagalopować. Zembrzuski to wykorzystał.

– Nawidziałem! Ty żeś się, kurwa, nawidział. Dlaczego nie rozważyłeś opcji, że to jest zabójstwo pozorowane!

Wpatrywał się w Kacperskiego intensywnie, coraz bardziej czerwony na twarzy.

– Że ktoś sprzątnął dwoje pozostałych, ale tak naprawdę zabójcę interesowało tylko jedno z nich. Właśnie po to, żeby jakiś pożyteczny idiota w policji dał się złapać na wabik. Bo może jeden ma kasę, a sprawca naczytał się powieści kryminalnych. Bo skoro mógł zabić krewnego, to co za problem usunąć pozostałą dwójkę mocno starszych ludzi.

– Nie w ten sposób, nie wierzę w to...

– Każdy jest dobry, jeśli można się z tego wywinąć. Czy w ogóle o tym pomyślałeś? Czy zbadałeś każdego z osobna, czy tylko jeździłeś po wyspie, uzyskując od każdego taką samą odpowiedź? Nie wiem, co widziałeś, ale dom dziecka w Boleni cieszył się świetną opinią.

– To dlaczego go zamknęli? – wtrącił.

– Polityka. Nie będziesz tym, który rzuca na to cień, kiedy prawdziwy morderca grasuje na wolności.

Kacperski obrócił się w stronę okna. Targały nim emocje. Wiedział, że ma je wypisane na twarzy. Inspektor chyba też to dostrzegł. Może wyglądał jak karczmarz z wyspy Kos i jadł kaszankę z cebulą na śniadanie, ale nie był tępy. Pokręcił głową, a potem wstał, poprawił koszulę i spojrzał na Kacperskiego z góry.

Przeniósł wzrok na okno, w które wpatrywał się tamten.

– Nie wiem, co tam widzisz, ale spróbuj zobaczyć więcej.

10

Girlandy, scena udekorowana kwiatami z wyjątkowo krótkim okresem ważności z uwagi na pogodę – inscenizacja niczym z pokazu mody w Londynie. Do tego bramka z wyjściem na przystań oraz wodę i widok na Krzeki, nad którymi zachodziło słońce. Stąd zalew wyglądał jak niewielka, podpełzająca pod brzeg zatoka, a nie gigantyczne jezioro, którym stawał się, kiedy biegała porankami po klifie.

Nina musiała przyznać, że wesele było wspaniałe. Nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego, gdyby to ona występowała jako panna młoda. Może w jakiś sposób była jego częścią – jako matka dziecka pana młodego, z którym przedtem była w długoletnim związku, i nawet mieli kredyt na mieszkanie... Uff, już się zmęczyła wymienianiem w głowie kolejnych elementów składających się na obraz jej osoby tu, w Boleni. Była sobą, Niną Warwiłow, na dobre i na złe.

Zerknęła na swoje odbicie w przezroczystej ścianie namiotu. Było mgliste, ale podświetlona od środka powierzchnia odbijała jej krótkie włosy, krótsze niż zazwyczaj, oraz sukienkę z kołnierzem. Dobry wybór, biorąc pod uwagę aurę. Sukienka była z sieciówki i prezentowała się chyba najskromniej na całym weselu. Wręcz perwersyjnie skromnie, więc siłą rzeczy musiała zwracać na siebie uwagę.

Nina wiedziała, że mimo to prezentuje się korzystnie, ale może to był tylko miraż, jaki powstał na powierzchni pleksiglasu. Bo tak naprawdę miała już czterdzieści lat i uważała, że nie wygląda na wiele mniej. Paradoksalnie postarzało ją to, co miała najpiękniejszego. Oczy, które widziały więcej okropności niż zwykły śmiertelnik.

Zerknęła na Milę, która bawiła się z animatorką dla dzieci. Świetnie, że ją wynajęto. W altanie rozstawiono nawet plastikową zjeżdżalnię, choć zdawało jej się, że Miła jest na to odrobinę za duża. Nina podreptała w tym kierunku – stanowiło to właściwe określenie, ponieważ brodziła w grząskiej ziemi. Można było postawić elegancki namiot, ozdobić girlandami i kwiatami, ale natura nic sobie z tego nie robiła. Rąbek sukienki Niny już ubrudził się błotem. Już była nieczysta...

– Milusia, czy dobrze się bawisz?

W pantofelkach zapadała się w podmokłej trawie. Mogła założyć ukochane traperki. Co za różnica, była tylko „pierwszą żoną” i nie szukała tutaj „drugiego męża”. Zawodowa śledcza nie może zmienić się jednej nocy w Cinderellę.

– Tak – powiedziała mała.

– Czy chcesz stąd pójść?

– Nie, nie, mamo.

– Na pewno?

– Tak.

Dostrzegła chwilę zawahania, ale zaraz wyczytała w oczach małej decyzję: „zostaję”. Znała dobrze jej upór, widziała go w zawziętym spojrzeniu i wysuniętym podbródku. Mila, nawet jeśli nie potrafiła się do końca zsocjalizować, chciała uczestniczyć w zabawach innych i zamierzała o to walczyć.

„Czekałam na ciebie” – tak było w przedszkolu, ale może pod wpływem ostatnich dni Mila zorientowała się, że lepiej być częścią grupy. Miała inaczej: rodziców osobno – choć to akurat nie rzadkość w tych czasach, nawet w Gorlicach. Przeprowadziła się z matką w góry. Już w wieku czterech lat intuicyjnie rozumiała, że niedobrze być z boku.

Był czas po urodzeniu Mili, z którego Nina nie była zbyt dumna, ale którym sama siebie od czasu do czasu zadreczęła, kiedy widziała w małej wady. A może chciała je zobaczyć. Że jest zbyt podobna do Tomka, że ma za duże uszy, że zbyt często płacze. Ale któregoś dnia spojrziała na nią i to wszystko po prostu puściło. Tama pękła. Wyimaginowane wady jej dziecka zniknęły, Nina poczuła bezwarunkową miłość.

Od tego momentu widziała ją po prostu doskonałą.

– Przyjdę po ciebie niedługo.

Z niechęcią pomyślała o powrocie do swojego stolika, gdzie zbierała upokarzające zainteresowane spojrzenia żonatych i nieżonatych mężczyzn, prezentując się jak łatwy łup weselny. Nie za młoda, żeby nie powiedzieć „jeszcze nie za stara”... Pożałowała, że nie wzięła papierosów, które mogłyby jej teraz towarzyszyć w tej swoistej żałobie po Tomku.

– Pani się nudzi?

Obejrzała się. Wysoki i barczysty facet, z długimi włosami i efektowną, zadbaną brodą ze srebrnymi nitkami. Już za nią chodzili. Ale niemal w tej samej sekundzie z ciemności obok wyłoniła się drobna kobieta. Wzięła go pod rękę.

– Nie, nie nudzę się... Przepraszam, skoro jesteśmy na jednym weselu... jestem Nina – powiedziała.

– Tak, tak, wiemy.

– Wiecie?

– No, wszyscy tu wiemy, kim jesteś. Nie ukryjesz tego faktu w Boleni. Przepraszam, Barbara Dombrowicz, a to mój mąż Piotr – oznajmiła kobieta.

– Piotrek.

Piotrek Piotr uściśnął jej dłoń tak mocno, że niewiele brakowało, a by ją zmiażdżył. Teraz, z bliska, wydał jej się wyraźnie starszy niż żona. W brodzie wplecione miał warkoczyki. W uchu umościł się kompletnie odjechany kolczyk. Przypominał wikinga, fizycznie był wikingiem, tak bardzo, jak można nim było być w dwudziestym pierwszym wieku. Barbara, drobna, rozgadana, sprawiała wrażenie, jakby mieściła się pod łokciem męża.

– Rany, pewnie teraz pomyślisz, że cię śledziliśmy...

– Tak?

– Trochę nie mieliśmy śmiałości. Ale chętnie byśmy cię zaprosili.

– Gdzie, przepraszam? – Nina czuła się trochę skołowana.

– Do nas, po weselu. Na kawę, herbatkę...

– Miód, whisky, co tam pijesz, mamy wszystko. – Mąż się uśmiechnął. – Nalewki też już się robią.

– Dobrze. – Tak naprawdę czuła się trochę przerażona. Alkohol w zasadzie opuścił jej dietę. – Może potem wymienimy numery...

– Co ty, wiemy, gdzie cię znaleźć.

– Och.

– Nie przejmuj się, naprawdę. – Zrozumieli opacznie.

A Piotrek dodał:

– Zadzwoń do Szumów.

Położył jej dłoń na ramieniu. Normalnie byłby to nieco władczy gest, ale nie tylko jego żona nie miała nic przeciwko – ona sama też nie. Facet wydał się jej zwyczajnie gościnny i przyjazny.

– Jasne.

Dalej była skołowana.

– Przyjdę – powiedziała impulsywnie.

– Świetnie.

Odeszli trochę za szybko, uświadomiła sobie po chwili. Chciała, żeby zostali chwilę dłużej. A nawet żeby przegadali całą noc (kto niby powiedział, że trójki weselne nie działają?) i nie musiała wracać do śliniących się na jej widok facetów, których nie zniechęcała, a może nawet zachęcała jej sukienka za 79,90.

„Wracajcie” – szepnęła w myślach.

Za wolno zareagowała. Będzie musiała znaleźć tych uprzejmych ludzi i zmienić stolik. Zgrabnie się przysiąść i, niby przypadkiem, zostać już na całe wesele. Gdzie mogli być? Zaczęła się przechadzać po namiocie. Didżej był niezły. Wodecki i Macio Moretti, najpiękniejsza piosenka weselna. Pablopavo, a potem nieśmiertelna *Meluzyna* Małgorzaty Ostrowskiej. Tomek zawsze miał wycucie muzyczne; a może to didżeja dobrał jak należy. Na jedno wychodzi. Noga sama zaczęła się ruszać...

– Pani wygląda, jakby miała ochotę zatańczyć.

Nina obejrzała się za siebie. Znowu starzec. Mężczyzna miał siwe, gęste włosy. Był ubrany w grafitową, zdaje się, lnianą marynarkę bez krawata. Zapraszał ją na parkiet, a odmowa byłaby po prostu niegrzeczna.

– Tak – powiedziała.

– Czy mogę prosić?

– Oczywiście, zatańczmy – odparła, ukrywając rezygnację.

Zaczęli tańczyć, a gdy ujął ją w talii, wyczuła, że jest bardzo silny. Sylwetkę miał jak struna; dotykając jego pleców, poczuła mięśnie.

Zaczęli się bujać w takt muzyki Wodeckiego.

Tańczył bardzo dobrze. Pewnie sporo zawdzięczał krępej sylwetce i doświadczeniu, pomyślała złośliwie. A poza tym wspaniałe było to, że milczał. Po prostu znakomicie tańczył i choć to sztampowe określenie, odnosiła wrażenie, że płynie.

Piosenka się skończyła, ale Nina wcale nie chciała schodzić z parkietu. W milczeniu tańczyli dalej, do trochę szybszej muzyki. Widziała Tomka, który niezgrabnie przesunął się gdzieś w pobliżu, spoglądając na nią zdziwiony. Wciąż wysyłał jej dużo spojrzeń, za dużo, żeby to było w pełni komfortowe. A przy tym ten kontrast między tańczącym jak rozkraczona żaba Tomkiem a pełnym gracji bezimiennym mężczyzną był na swój sposób komiczny.

Miała wrażenie, że jej partner taktownie zwolnił i wyczekał chwilę, kiedy piosenka się kończyła.

– Muszę usiąść – powiedziała.

Lekko się uklonił.

– Może przyniosę nam wody? – zaproponował.

Woda. Jakie to uprzejme, że nie zamierzał jej upijać.

– Oczywiście. Poproszę.

– Gdzie pani siedzi?

Wyraz jej twarzy musiał być wymowny. Mężczyzna błysnął zębami. W sumie nie był taki stary. Sześćdziesiąt pięć lat miał na pewno, ale ile więcej? Po prostu był całkiem siwy, lecz zarost i włosy miał gęste, a skórę ogorzałą, chyba od słońca. Lniany garnitur i biała koszula leżały na nim jak ulał. Znacznie lepiej niż świecące smokingi na młodszych facetach, u których już uwydatniały się brzuszki.

– Niech zgadnę. Nie chce tam pani wracać albo ma towarzysza...

– To pierwsze – powiedziała cicho.

– Nikt pani nie powiedział, że można zmieniać stoliki? Nie chcę się narzucać, ale mój – wskazał na stolik w kącie – zupełnie się wyludnił, a tu... – chwycił karafkę ze stołu obok – jest świeża woda. Myślę, że nikt się nie obrazi, jak zabierzemy.

– Dobrze – roześmiała się.

Poprowadził ją, a potem odsunął krzesło. Nalał wody i spojrzał na nią zyczliwie. Nie powinni zwracać się do siebie per pan, pani tylko dlatego, że był starszy. Na jednym weselu to byłoby wręcz nieuprzejme. I nie zamierzała na niego czekać.

– Nina Warwiłow. – Wyciągnęła rękę.

Jeśli ją rozpoznał, w ogóle tego nie pokazał. Poczwała ulgę. W końcu ktoś jej nie kojarzył.

– Rafał Szostek.

To nazwisko coś jej mówiło.

– Mam taką propozycję: mówmy sobie po imieniu – dodał. – Nie próbuję cię podrywać, zwyczajnie nie lubię formalizacji.

– Ja również. Nina. Więc jak tu się znalazłeś, Rafale?

– Cezary to mój stary przyjaciel, prowadziliśmy również interesy.

– Rozumiem.

– Małejkiej za bardzo nie znam. – Rozłożył ręce. – Wyjechała dawno...

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Jestem byłą jej męża.

– Och.

Roześmiała się.

– Przepraszam, to za dużo. Może wpadłam w taki nastrój... ale dalej będzie jeszcze lepiej. Jestem tu dlatego, że mamy wspólne dziecko.

– Aha – dostrzegła błysk zrozumienia – przecież to ty.

– Czyli jednak słyszałeś?

– Może coś. Ale tylko od Cezarego. – Pokiwał głową. – No proszę, Nina. Przyznam, że wyobrażałem sobie ciebie inaczej. Cezary nie wspomniał...

– O czym takim?

– O niczym. Po prostu świetnie tańczysz.

– Ty też. Mówię serio.

– Jak na takiego staruszka.

Przełknęła nasuwające się pytanie o wiek. Poczwała się z tego dumna. Lepiej było milczeć.

– Jak na każdego – powiedziała. – Dawno nie czułam się tak komfortowo w tańcu.

– Nie mam wielkiej praktyki, można powiedzieć, że improwizuję.

– Boże, tak lekko się poruszasz. Jak ty to robisz?

– Lata doświadczeń, droga pani. – Zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu.

– Jako tancerz?

– Nie, choć można by tak powiedzieć. Jeśli większość życia spędzasz na kilkunastu metrach desek pływających po falach wyższych niż ten namiot, po prostu stajesz się piórkiem, jesteś nie cięższy niż piórko, tańczysz...

– Nie rozumiem, chwila, gdzie...

– Na morzu. Oceanach. Gdziekolwiek mnie woda poniesie. Jestem zawodowym żeglarzem. Nie mylić z marynarzem.

– Czyli?

– Regaty, rejsy.

– Aha...

Nagle do niej dotarło. Ta sama twarz. Bardzo męska, choć trochę młodsza. Widziała przecież w gazecie, może nawet w telewizji u ojca... Miała to.

– Już wiem. Czytałam o tobie.

– To było pewnie wieki temu.

– Ty jesteś ten Rafał Szostek.

Sięgnęła do samego dna twardego dysku swojej pamięci. Samotny rejs dookoła świata, regaty Admiral's Cup... No i ten The Race na przełomie wieków, którym ekscytowała się cała Polska, nie tylko ta żeglarska.

– Nie tak dawno. Dokonywałeś wielkich rzeczy.

– Wielkich rzeczy to dokonał James Cook albo Leonid Teliga.

– Mówię o współczesnych.

– Miałem swoje trzy minuty.

– Skoro osoba, która w życiu nie stanęła na żaglówce, o tobie słyszała, musiały być wielkie.

– Serio?

– No przecież czytałam w gazecie...

– Nie. Serio, że nigdy nie byłeś na łajbie?

– Ale wstyd, co?

Wstydziła się bardziej tego, że Aleksandrowi Siergiejewiczowi nie chciało się nawet zabrać jej nad Zegrze. Wakacje spędzała u babci od strony mamy. Ale głównie – wałęsając się po Pradze-Północ. Lato w mieście, jak to teraz zgrabnie nazywano.

– Zapraszam – rzekł.

– Wiesz, muszę chyba chwilę odsapnąć.

– Nie, nie do tańca. Na moją łódkę.

– Teraz?

– Co ty, piłem i jest noc. – Uśmiechnął się. – Kiedy tylko będziesz chciała. Zostają jeszcze parę dni.

Spoglądała na niego – starszego gościa z parkietu, który okazał się legendarnym żeglarzem. A teraz planowali coś, co niepokojąco przypominało randkę.

– Nie musisz się bać. Jestem kulturalnym człowiekiem. Po prostu to byłby dla mnie zaszczyt, gdybym był tym, który pozna cię z wodą. Choć jeśli nie chcesz, to...

– Chcę! – odparła ze śmiechem.

– Świetnie. – Uśmiechnął się. – Możemy wypłynąć na morze albo zaspokoić się laguną przybrzeżną.

– Czym?

– Tym właśnie jest zalew. To może niedziela?

– Tak. Dobrze – odparła po chwili.

Czuła się skołowana. Godzina wesela i umówiła się już na dwa spotkania.

– Świetnie. Przyjdę po ciebie.

A potem znowu taktownie poczekał, aż ona wstanie.

– Pójdę znaleźć córkę. Bo mam córkę – dodała, nie wiadomo dlaczego.

– Wiem, mówiłaś.

– Aha, jasne.

Uśmiechnęła się. Najdziwniejsze, że wstała, uciekła – ale dalej miała ochotę gawędzić z Szostkiem.

Nie tylko dlatego, że był ucieczką od wszystkich gorszych opcji.

Po prostu wydawał jej się ciekawym człowiekiem.

– No to do niedzieli? – Uśmiechnął się.

Pokiwała głową, odwzajemniając uśmiech. Rozstali się, a potem niemal od razu do niego zatęskniła, bo wpadła na swoją byłą teściową.

– Ty i ja powinniśmy napić się wina – powiedziała Jola Kapińska. – Od dawna.

Nina zabrała pierwszy lepszy kieliszek ze stołu. Podniosła go i powiedziała:

– Wszystkiego dobrego z okazji szczęścia twojego syna.

Stuknęła kieliszek o szklanę świekry.

Następnie odwróciła się i wyszła na zewnątrz, bo zapragnęła powietrza. Oczami wyobraźni dostrzegała zdziwiony wyraz twarzy Joli.

Skierowała się na przystań. Miłą rozmowę weselną miała już zaliczoną; nie chciała sobie psuć wrażenia. Wołała naturę.

Jak tu było pięknie, wody zalewu – albo laguny przybrzeżnej, jak je nazwał Szostek – wydawały się takie łagodne. Szła pomostem, a odgłosy wesela kojąco cichły i cichły.

Tutaj, na końcu długiej przystani, stanowiły szmer, który mieszał się z szumem wody i wiatru. Rozglądała się. Jej zmysły delikatnie się wyostrzyły. Może bez powodu, ale tak właśnie się stało. Zawodowy, niedający się wyłączyć instynkt podpowiadał, że coś tutaj, na samym czubku pomostu, wygląda inaczej.

Że czegoś brakuje.

Po sekundzie dotarło do niej czego. Brakowało małej, lichej łódki z pordzewiałą burzą, o nazwie Kai.

Łódź po prostu zniknęła, jakby w końcu zapadła się pod wodę, a nikt tego nawet nie zauważył.

11

W sobotę rano Kacperski obudził się wkurzony. Zamiast iść pływać (a pogoda była dość zachęcająca, słoneczna), skierował się w samych bokserkach do biurka. Otworzył teczki i wyłożył na wierzch portrety Góralskiego, Moszki oraz Pilaszewskiej. Góralskiego widział, choć w stężeniu pośmiertnym. Moszko miał szacowną łysinę, szeroką twarz, a spojrzenie – jeśli dało się to stwierdzić na fotografii – inteligentne. I Maria Pilaszewska: wąska głowa, okulary i ciemne włosy mocno związane z tyłu. Troje ludzi, o których jeszcze niedawno Kacperski nie miał pojęcia. Teraz ich śmierć zaciążyła nad całą wyspą oraz nad jego dobrze się zapowiadającą – do niedawna – karierą.

Patrzył intensywnie, z pięściami opartymi o stół. Potem zdecydowanym ruchem podszedł do swojej płachty. Zaczął zdejmować ją ze ściany. Z początku składał dość porządnie, ale potem coraz bardziej niedbale. Na końcu jeszcze zgniół wydrukowane z komputera zdjęcie. Pusty gest, bo przecież miał kilka kopii, a poza tym wiedział, że nie odpuści poszukiwań.

Zamknął oczy. Góralski, Moszko i Pilaszewska. To było jedyne, co się liczyło. Trzeba pogrzebać w ich życiorysach, bo rzeczywiście za szybko przyjął tezę i nie rozpracował tego należycie...

Moszko dwa tygodnie temu spadł z klifu na górze Gosań. Wcześniej został kilkukrotnie pchnięty nożem. Dlaczego ktoś ryzykował takie posunięcie... Przeciąganie ciała w ciemności w pobliżu schodów i punktu widokowego. Tam, gdzie mógł się trafić turysta lub amator nocnych spacerów, którego zaciekał klif. Nawet po sezonie. Przecież to były pieprzone Międzyzdroje i zawsze ktoś mógł się szwendać po najwyższym, jednym z dwóch najsłynniejszych klifów w Polsce... Skąd takie ryzyko u seryjnego mordercy, który – zdaje się – podjął się misji wymordowania połowy emerytów Wolina?

Kacperski odłożył materiały. Zembrzuski miał rację. Zeszmacił się. Zamiast brylować w ośmiotysięcznym mieście na słabo zaludnionej wyspie i deptać mordercy po piętach, zachowywał się jak posterunkowy z Dziwnowa.

Samokrytyka i – przynajmniej powierzchownie – zdecydowane posunięcia poprawiły mu humor. Zerknął na zewnątrz. Cisza. Wichury, które miały nadejść,

jeszcze się nie ujawniły. Zrobił sobie kawę z tureckiego ekspresu, wypił tak gorącą, że aż parzyła, i wyszedł, żeby potrenować.

Źle mu się dzisiaj pływało. Mimo że była sobota, czuł, że nie zasłużył, że tak naprawdę powinien wrócić do roboty. Nałykał się lodowatej wody, zaczęło go drapać w gardle, a wysokie jak na Bałtyk fale lepiej się dzisiaj nadawały na surfing. I rzeczywiście, jakiś szalony amator dryfował kilkaset metrów dalej na desce. W sumie nieźle sobie radził. Łapał fale, płynął na nich po kilkanaście metrów. Kacperski słyszał, że popularność surfingu na Bałtyku rośnie; dla niego wszystkie sporty wymagające takiego ekwipunku oddalały człowieka od wody. Kiedy przepływał obok surfera, ten spojrzął na niego tak, jakby fala była jego własnością, i coś krzyknął.

Co za głupota. Dwóch facetów w lodowatej wodzie kłóci się o falę, która i tak już zniknęła. Zdenerwował się i może przez to z opóźnieniem dostrzegł ruch na plaży. Teraz wyraźnie widział już poruszenie, grupka – zapewne ekipa emerytów z uzdrowiska w Dziwnowie – coś do niego krzyczała. Pewnie z kimś go mylili. Odwrócił głowę i przepłynął kilka metrów. Kiedy znowu spojrzął, tamci dalej machali w jego stronę.

I tak nadszedł już czas na wyjście z morza. Zaczął płynąć w kierunku brzegu. Z bliska dostrzegł, że to wcale nie są emeryci. Dwie istoty były niewielkie, jak hobbity, trzecia nieznacznie wyższa.

Wyszedł, ocierając twarz ze słonej wody i czujnie ich obserwując. Już nie był sam. Najpierw ten surfer, a teraz ludzie, którzy go zaczepiali. Rozbili sobie małe obozowisko: parawan, skrzynka z jedzeniem, niewielki przenośny grill.

To była kobieta i dwójka dzieci.

Po chwili ją poznał.

Aspirantka Ela Paidaki.

Zatrzymał się w pół kroku, tak ze trzydzieści metrów od nich, a Paidaki wybuchnęła śmiechem.

– Czy to twoje...? – zapytał.

– A czyje?

Nie odpowiedział.

– Oczywiście, że moje – powiedziała. – Nie jestem głupia, nie zabierałabym cudzych dzieci nad zbiornik wodny.

Przybliżyła się do niego z uśmiechem. Nie wiedział, jak się zachować. Narzucił ręcznik na piankę, bo czuł się dziwnie obnażony, a poza tym wiatr

zaczął mu się już dobierać do skóry.

– Przepraszam, po prostu...

– Nie wyglądam na matkę takich dużych dzieci?

Nie odpowiedział. Ze swoją chłopięcą sylwetką i nieco prowokującą stylówką: ramoneska, tatuaże, krótkie włosy z zadziorną grzywką, wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Dzieci przyglądały mu się z wielką ciekawością.

– To jest Emilka, a to jest Jacek – przedstawiła je.

Dwójka ładnych dzieciaków grzecznie powiedziała „dzień dobry” – całkiem nieźle w tych czasach.

– Z takiej odległości mnie poznałaś... – rzucił Kacperski.

Roześmiała się. Była inna niż na komendzie, znacznie swobodniejsza.

– Zaryzykowałam. Przecież powiedziałaś kiedyś, jak tylko przyjechałeś, że przychodzisz tu pływać, nie?

– Tak. Pamięć dochodzeniowca – rzekł.

– Może dlatego, że potem niewiele więcej od ciebie usłyszałam. No i jestem. Wiesz, inni nie za bardzo są teraz w wodzie. Więc...

– Jest jeden człowiek. – Wskazał na surfera.

– Miałam pięćdziesiąt procent. Swoją drogą, podziwiam was. Ja tu w kurtce, a ty... Trenujesz do triathlonu czy karzesz się za coś?

– A to teraz trzeba od razu biegać iron runy? – odpowiedział pytaniem. – Nie można po prostu pływać?

– Nie, ale mężczyźni, na przykład mój mąż... – Urwała.

– Pływam tylko dla siebie. Więc zaryzykowałam, tak?

Zapadła cisza.

– Wiesz co, Kacperski, chętnie bym z tobą jeszcze pogadała – oświadczyła. – Ale boję się, że się przeziębisz... My jesteśmy dobrze ubrani.

– Aha.

– A gdybyś tak poszedł do tej norki, w której gdzieś tam żyjesz, a potem wrócił do nas? Co ty na to?

Wbrew pozorom miał wrażenie, że ona nie mówi pewnie. Że coś ją blokuje od środka, ale stara się to przezwyciężyć.

– Jasne – odparł.

Zebrał się szybko. W domu włożył jasny wełniany sweter i świeżo wyprane dżinsy. Na to narzucił granatową kurtkę z kapturem. Wrócił po nich i zaproponował spacer, a trzydzieści minut później zaprowadził ich do jedynej czynnej obecnie smażalni w Dziwnowie. Całe szczęście, że odgrzewane filety jeszcze nie wróciły nad Bałtyk, tak samo jak gofry z chemiczną bitą śmietaną. Ryba była świeża, a frytki chrupiące.

Wpatrywał się w dzieci. Paidaki stuknęła go dłonią w ramię.

– Jak chcesz, to pytaj – powiedziała, kiedy zniknęły w kąciku dla młodszych.

– Dlaczego?

– Bo możesz. A poza tym mamy pracować razem. Wydaje mi się, że niewiele o mnie wiesz.

– A jak coś palnę?

– Dzisiaj dzień dobroci.

– Dobra. Paidaki to nazwisko...

– Okej, tego się nie spodziewałam. – Uśmiechnęła się. – Nazwisko akurat po mężu. To znaczy byłym.

– Rozumiem.

– Czyli wiesz już, że jestem rozwódką. Ale czego nie wiesz?

– No?

– Że paidaki to jest taka potrawa.

– Serio?

– Grecka. Jakieś żeberka.

Roześmiała się.

– Dobrze, wyjaśnię ci, bo jakoś dziwnie na mnie patrzysz. Osobiście, jak rozumiesz, nic nie mam wspólnego z Grekami. Ale mój mąż jest stąd, dokładnie stąd, z Dziwnowa. Słyszałeś kiedyś o Grekach z Dziwnowa?

– Nie.

– To taki okruch historii. W Helladzie pod koniec lat czterdziestych wybuchła wojna domowa, a PRL przyjęła do siebie rannych jednej ze stron, oczywiście komunistów. Nie tylko że komuniści, to jeszcze przegrani.

– I przyjechali tutaj?

– Tak, Luftwaffe pozostawiło po sobie dobre zaplecze medyczne w bazie w zachodnim Dziwnowie, pewnie jeszcze tam nie byłeś... Przetransportowano tych Greków statkami, zdaje się, że w czterdziestym dziewiątym roku.

– Wtedy przyjechałaś?

Szturchnęła go w ramię.

– To, że pomyliłeś się co do mnie, nie znaczy, że mam sto lat. Możesz sobie odpuścić takie sucharki.

– Wtedy dopiero się rozwiodłaś?

– Kacperski...

Dała mu znać, że dzieci słuchają. Przeprosił gestem.

– Jak mówiłam, skoro komuniści przegrali wojnę... część Greków została w Polsce, niektórzy się rozjechali, ale inni zostali, jak w życiu. Jeszcze trochę tu pożyjesz, załapiesz się na Dzień Grecki w lecie. Chodziliśmy z Grześkiem, tańczyliśmy zorbę, nie żartuję... A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: dwa lata – powiedziała ciszej. – Dwa lata temu się rozwiodłam. Nazywałam się Kołaszewska. A teraz nazywam się jak żeberka.

– Nie masz mu za złe?

– A myślisz, że Grzesiek lubi się nazywać jak żeberka?

– Możesz zmienić nazwisko.

– Moje dzieci też się tak nazywają, a one są dla mnie wszystkim. Już trudno. Do każdego losu człowiek może się przyzwyczaić.

Pokiwał głową.

– Wygląda, jakby Zembrzuski specjalnie nas sparował.

– Chyba żartujesz.

– Tak trochę. Może. Sama nie wiem. Jacek, nie bij jej! – krzyknęła nagle na całą salę. – Oczy dookoła głowy – zwróciła się do Kacperskiego, a potem znów do syna: – I daj jej to. Wiesz, że nienawidzi, kiedy jej coś zabierasz.

Uśmiechnęła się.

– Może jej przejść po głowie, ale niech spróbuje zabrać kawałek klocka. Płacz słyhać w Warszawie – powiedziała.

– No dobra, teraz trochę już rozumiem. Z początku byłem zagubiony. Wiesz, te wszystkie zabawki, termosiki. Nie wiedziałem, o co chodzi.

– Teraz już wiesz, także o moim rozwodzie.

– Paidaki, może będziesz zdziwiona tym, co powiem, ale nie jestem specjalistą od związków. W końcu jestem samotnym gościem, mieszkającym na poddaszu u babci, w dupie świata...

Pokiwała głową.

– Dobra, to mamy już za sobą. Cieszę się, że będziemy pracować razem. Myślę, że jesteś bardzo dobrym policjantem. Wszyscy to wiedzą. Tylko...

– Tylko co?

– Przestań jeździć z tym zdjęciem po wyspie. Mówię serio. To dla ciebie nic dobrego.

Wpatrywał się w nią, szukając słów.

– Wiesz...

– Wszyscy wiedzą.

– A Zembrzuski?

– To on mi powiedział. Więc po prostu przestań to robić.

Milczał.

– O co chodzi? – powiedziała. – Nie pytam dlatego, że jestem wścibska. Tylko chcę ci pomóc. Nie sprzedam dalej tego, co mi powiesz, i nie ocenię.

Pomoc. Ciekawa idea. Jedyne, co o niej wiedział, to że ludzie bardziej miłują tych, którym pomogli, niż na odwrót.

Pokręcił głową.

– Nie chcesz mi wyjaśnić?

Milczał. Nie chciał czy nie mógł? Po prostu nie zamierzał teraz o tym myśleć; wchodzić w czerń. Przez tych parę chwil dobrze mu się siedziało z Paidaki. Dobrze mu się przyglądało jej berbeciom – radosnym, mimo że wszystko wskazywało na to, że świat wokół nich wcale taki nie był.

Nagle zadzwoniła jego służbowa komórka. Spojrzał na ekran, prawie zdziwiony sygnałem ze świata w wolną sobotę. Tak, dobrze się czuł w tej opustoszałej knajpie, w swetrze z golfem, nad stygnącymi frytkami.

Paidaki podążyła za jego spojrzeniem. Zembrzuski. Szef pierwszy raz dzwonił do niego po godzinach. Kacperski przełknął ślinę i odebrał. A potem zaczął słuchać tego, co inspektor miał mu do powiedzenia. Nawet nie zauważył, że widelec wypadł mu z ręki, ale Paidaki, matka małych dzieci, zręcznie go złapała, nie przestając wgapiać się w swojego partnera.

12

Nina obudziła się – oczywiście sama – w pensjonacie. Z tym dniem już od rana coś było nie tak... Znowu śmierdziało rybami. Nie wypła na weselu aż tyle, ale nie czuła się zbyt dobrze. Mała spała obok jak zabita – prostopadle względem ramy łóżka i spychając Ninę nogami na brzeg. Głośno pochrapywała, tak jakby to ona się napiła i wytańczyła. Zasnęła wczoraj na krzeselku, jak doświadczony życiem imprezowicz, i Nina przeniosła ją całą drogę do pensjonatu. Było już po torcie weselnym, więc uznała, że mogą wrócić do domu.

Spojrzała na zegarek. Siódma rano, najlepsza pora dnia. Wstała i w samej koszulce nocnej wyjrzała przez okno. Samotny żagiel na bezkresie przybrzeżnej „laguny”. Samotny jeździec – jedyny, który wypłynął o tej porze. Wiedziała, że i rybacy gdzieś tam są, ale może czają się na żakach albo łowią w sobie tylko znanych, skrzętnie ukrywanych miejscach...

Stanie stanowiło jednak za duży wysiłek. Usiadła z twarzą w dłoniach, bo wolała zapach własnego ciała. Dlaczego o siódmej już pachnie rybami? Zebrała się w sobie, ubrała, a potem wyszła, cicho zamykając drzwi. Była szansa, że mała obudzi się, dopiero kiedy Nina zdąży zaliczyć już lodowaty prysznic. Na zewnątrz odetchnęła głęboko i zaczęła truchtać.

Boleń spała, jakby cała odsypiała imprezę. I może tak było, pomyślała Nina, wspominając, ilu było gości. Ciekawe, których zaprosił pan młody. Dobiegła na sam koniec wsi, do domu graniczącego z ruiną pałacu. Nacisnęła dzwonek. Nie zadziało. Chwilę się wahała, a potem zrobiła coś, czego nie planowała. Tknięta zawodowym niepokojem weszła do środka.

– Co pani tutaj robi? – Strażniczka leśna Renata Rowicka opierała się na łopacie, spoglądając na nią bez większej sympatii, może nawet wrogo.

– Przyszłam porozmawiać.

– To dlatego wchodzi pani bez pytania?

Na to zagadnienie komisarz Warwiłow nie znalazła odpowiedzi. Wszystko zaczęło się od śmierdzących ryb z rana. Chyba to właśnie wprowadziło ją w nastrój oburzenia na świat.

– O czym takim chce pani porozmawiać?

Znienacka leśniczka brzmiała trochę bardziej miękko.

– O pewnym człowieku, który mieszka w sąsiadujących z panią ruinach – powiedziała Warwiłow.

Wrażenie łagodności było tylko pułapką. Leśniczka prychnęła.

– Przyjeżdża z wielkiego miasta i od razu chce wszystko rozwiązywać – powiedziała.

To dość zabawne, pomyślała Nina, przypominając sobie swój domek w dolinie Brzennej, ale stwierdziła, że lepiej przemilczeć.

– Pani się nim opiekuje? – zapytała zamiast tego.

– Dlaczego pani pyta?

– Tak myślałam. On może chorować, przecież jest zimno.

– Więc lepiej mu będzie w DPS-ie, gdzie jego życiem pokierują inni? Proszę się schować z taką troską na pokaz.

– Po to jest państwo, żeby się zajmować...

– No chyba pani żartuje.

Ostra kobieta, taka męska, o ile w tych czasach mogła tak powiedzieć. Rowicka trzymała się pod boki, miała wysuniętą szczękę i uniesione barki – jakby szykowała się już do walki. Dawno niemyte włosy opadały na szerokie ramiona. Jak wyglądała w młodości? Trudno było ją sobie wyobrazić.

– Nie żartuję.

– Ja jestem z systemu, więc to pani powiem – powiedziała Rowicka. – A jemu zawdzięczam więcej niż państwu.

– Jakiemu jemu? Jak on ma na imię?

Cisza.

– Wyjaśni pani?

– Nie.

– Czy pracował w tym domu dziecka?

Leśniczka milczała, ale to było wymowne.

– Jest pani świadoma...

– Jestem. Czy pani mnie zostawi w spokoju, jeśli wyjaśnię? Tak, tutaj się wychowałam. Wychowawcy stawali na rzęsach, żeby dom dziecka działał. Tak samo jak ja przechodzili przez braki wszystkiego. Więc nie jestem nic winna państwu. Ma i miało gdzieś domy dziecka, to wiadoma sprawa. Ale ten człowiek kiedyś mi pomógł.

– Jeśli był wychowawcą...

– Nie, proszę pani. Nie był wychowawcą. Niech pani zostawi te sprawy. Po prostu mi pomógł. I proszę zapomnieć, że on tam mieszka.

– Umrze.

– Pewnego dnia wszyscy umrzemy i pani też umrze, i na nic pani będzie ta elegancka kurteczka i te drogie buciki do biegania. I tak pani nie będzie. Niech pani już o nim zapomni, zwłaszcza że za tydzień będzie panią interesował tyle co zeszłoroczny śnieg.

Odeszła, pozostawiając Ninę na swoim własnym podwórzu.

W jednej rzeczy leśniczka miała rację, stwierdziła Warwiłow po powrocie: ubrała się elegancko, może zbyt elegancko jak na te dziwne warunki. Nie jej wina, że jedyne, co rano znalazła, to narzutka z wesela, którą i tak trzeba było wyprać po zapachach imprezy.

Wybierały się z Milą z wizytą. Musiała zrealizować zobowiązania, które tak wspaniałomyślnie wczoraj poczyniła. Było już po jedenastej, kiedy dotarły do domu Dombrowiczów. Mieszkali w jednej z bocznych uliczek prowadzących w górę, ku lasom i leśnemu jeziorku, słynnemu z koloru wody i kredowego podłoża. Zajmowali zwykły, otynkowany na biało dom z czerwonym ceramicznym dachem.

Dombrowiczowie przyjęli ją prawie na galowo. Była tu kimś w rodzaju VIP-a. Ucieszyli się, że przyprowadziła córkę. Basia Dombrowicz początkowo wydawała się zaskoczona, ale w szybkim tempie wydobyła zabawki „z poddasza”: kilka resoraków, lalkę z odgryzionymi palcami oraz zestaw majsterkowicza z młotkiem.

– To może zabiorę – powiedziała Nina, odkładając zestaw na stół.

– Nasze dzieci już są za stare. Ale jeszcze nie wyrzuciłam, bo żal.

– Rozumiem cię.

Mila, wdzięczne dziecko, od razu zajęła się zabawkami. Oczywiście najbardziej resorakami. Jej radosne oszołomienie i zaangażowanie Nina oceniała na jakieś pięćdziesiąt minut, może godzinę – i to był zarazem uczciwy i bezpieczny czas na wizytę. Obserwowała, jak córka metodycznie urządza sobie stanowisko, stawia garaże.

A potem usiadła przy stole kilka metrów dalej.

Jak na stan „po weselu”, Dombrowiczowie świetnie wyglądali. Ona w sukience w kwiaty, on w wełnianej kamizeli, z zaczesanymi do tyłu włosami.

Poczęstunek na stole prezentował się po polsku: cerata, a na niej kubki herbaty i talerze pełne herbatników z cukrem, kokosanek i owoców.

– Bardzo tu przyjemnie – powiedziała.

– Dziękuję.

– U was i tu, na klifie.

– Trochę nudno – zaśmiała się Basia.

Nina miała inną definicję nudy, ale może to nie był czas i miejsce na dyskusję.

– Wiesz, że nie zawsze tak było? – wtrącił jej mąż.

– Jak?

– Nudno. Spokojnie. Wiesz, do kogo należały te ziemie?

– Niemców?

– A wcześniej?

Zaskoczył ją. Ale oczy mu błyszczały, więc zapytała:

– Czyje były?

– Należały do jomswikingów.

– Kogo takiego?

– Jak nazwa wskazuje, wikingów z Jomsborga. Wyjątkowa drużyna wojów. Idąc pod topór, jomswikingowie śmiali się i szydzili ze swoich katów. Spierali się o to, czy po utracie głowy człowiek coś jeszcze czuje...

– Przepraszam, ale czy nie wszyscy wikingowie byli tak buńczuczni?

Prawdę mówiąc, sięgała teraz w głowie do jakiegoś prastarego filmu z Kirkiem Douglasem.

– Oni byli niezwykli, Nino. To państwo było taką Spartą, choć nawet to porównanie tego nie oddaje. Doskonale zorganizowane miasto, wytrenowani wojownicy, porządek i reżim. W walce toporem wojennym nie mieli sobie w ówczesnym świecie równych.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim jak Jomsborg.

– Bo to na poły państwo, na poły armia najemna, wykorzystywana przez królów. Śmiem twierdzić, że nie byli zainteresowani państwowością. Gdyby legendarny Wagn Akeson chciał, mógłby zdobyć tron. Ale nie chciał. W każdej epoce są tacy wojownicy.

– No i co się z nimi stało?

– Ano właśnie. Pozwól, że opowiem, jak opisują Jomsborg. Był otoczony obwałowaniami, posiadał też bramę morską zamykaną wrotami i żelaznymi

łańcuchami. Do twierdzy prowadził kamienny most, całość stanowiła niezdobytą warownię u ujścia rzeki. Coś ci to mówi?

Był tak podekscytowany, że i jej zaczęło się to udzielać. Chociaż wiedzę o wikingach czerpała tylko ze wspomnianego wyżej filmu, a także wspaniałej powieści *Rudy Orm*, którą czytała lata temu.

– Nie mów takimi zagadkami. – Basia szturchnęła go w ramię. – Nie każdy dzieli twoją pasję, Piotrek.

– Co się stało z Jomsborgiem? – kontynuował. – Oto pytanie, prawda?

– Tak.

– Historia lubi takie zagadki. A co, jeśli powiem, że dalej istnieje?

– Jak to?

– Niczym w dwunastym wieku dalej jest tym miastem łączącym wyspę ze światem.

– Masz na myśli...

Spoglądał na nią, podekscytowany. Patrząc na Piotrka z bliska, upewniła się, że jest znacznie starszy od żony. Zmarszczki wędrowały promieniście od oczu, zwłaszcza kiedy się uśmiechał.

Proszę, jak dobrze im się wiodło. I dzieci też mieli fajne. Dwoje nastolatków przyniosło poczęstunek, a potem zniknęło w swoich pokojach.

– Odpowiedź jest tylko jedna. Na gruzach wielkiego Jomsborga nagle pojawia się nowy twór. Nowe miasto. Skąd się bierze?

– Tak?

– Jomsborg Sigvaldiego i Wagna Aksona wcale nie zniknął z mapy świata. Jak wiele innych rzeczy po prostu przybrał inne barwy. Jak każdy organizm, czy to naturalny, czy społeczny, zaadaptował się, żeby przeżyć.

Zrobił pauzę.

– Znasz to miasto. Przejeżdżałaś przez nie, ono wciąż jest bramą wyspy.

I nagle rzeczywiście przypomniała sobie te czerwone dachy u ujścia rzeki...

– Tak. Usuniesz nazwę Jomsborg, a zobaczysz Wolin – zakończył triumfalnie i z uśmiechem.

– To interesujące.

– W pełni się zgadzam. Wyjaśnienie zagadki satysfakcjonuje słynną śledczą?

– Potrzebowałabym dowodów.

– A myślisz, że dlaczego archeolodzy wciąż i wciąż przekopują Wolin?

- Przypuszczam, że z różnych przyczyn.
- Spodziewają się tam skarbów, w tym również pozostawionych przez wikingów króla Olafa Tryggvasona.
- Jakiego rodzaju?
- Monety, zdobione sztucce, cenna ceramika. Co można było w tamtych czasach złupić. – Nie wiadomo czemu puścił do niej oko. – A kto wie, mogą być też jakieś złote bransolety czy nawet klejnoty. Czy to nie jest fascynujące?
- Być może – odparła. – Tak. Ale tylko, jeśli to wikingowie zamordowali opiekunów z domu dziecka.

Zapadła przesywająca cisza. Rozmowa została przerwana nagle, jak cięciem topora. Wojennego. Wiking Dombrowicz wstał i – z nieco zbyt szerokim uśmiechem – zaproponował wszystkim dolewkę herbaty. Nie uzyskał odpowiedzi, ale i tak zniknął z czajniczką, w którym, tego była pewna, coś jeszcze pływało.

Jak tylko wyszedł, Basia przesiadła się bliżej Niny.

– Przepraszam cię. Słuchaj, on to bardzo przeżywa.

– Rozumiem.

Spojrzała na Ninę, jakby ta jednak nie rozumiała. I miała rację.

– Wychował się z nimi – dodała po chwili.

– Więc on...

– Również jest wychowankiem.

– Och.

– Jednym z późniejszych. I on tak się bawi w te opowieści przez całe życie. Sama nie chcę wiedzieć, co tam jest pod spodem.

– To brzmi całkiem wiarygodnie.

– Ale masz rację, dobrze mu powiedziałaś. Co to ma wspólnego z rzeczywistością? – odparła jej kobieta. – Z naszym tu i teraz?

– A rozmawiałaś z nim o tym, co się dzieje? O morderstwach? – zapytała Nina.

Basia Dombrowicz wyraźnie się zawahała i przypuszczalnie to był kluczowy moment. W drzwiach, obramowanych łukiem, który ponoć wracał do wnętrzarskich łask, pojawił się Piotrek z imbrykiem. Na talerz wyłożył również absurdalnie dużo nowych ciastek. Fartuszka mu jedynie brakowało, w młoty Thora.

– Może jeszcze jeden? – zapytał.

– Podziękuję.

– A córeczka? – zwrócił się do Mili.

– Oj nie, nie. – Nina zręcznie przechwyciła tacę i odłożyła ją na stół, bo mała nagle stała się czujna. – Już wystarczy.

Jeszcze jeden, pomyślała po wyjściu od Dombrowiczów; bezwiednie sam siebie określił. Jeszcze jeden wychowanek. Nie wyjechali daleko. Cezary Mogielnicki, lokalny ksiądz Wielarski, który co prawda nie udzielał ślubu, ale był wśród gości wesela, Renata Rowicka... Byli na miejscu, ale – zdaje się – nie chcieli o tym rozmawiać.

Na czternastą umówiła się na przekazanie Mili dziadkom. Były spóźnione, wbrew sobie prowadziła je szybkim krokiem przez Boleń. Potem wzięła córkę na rękę, bo mała trochę narzekała; przypuszczalnie zjadła o jedno ciastko za dużo i miała zjazd cukrowy.

Spóźniły się, ale Nina i tak nie spodziewała się takiego przywitania.

– Miałyście być wcześniej – powiedziała bez ogródek Kapińska.

– Przepraszam – odparła.

Ale tylko w myślach.

W rzeczywistości milczała. Czego niby miałyby się spodziewać po wczorajszym, na weselu? Sama również nie była zbyt uprzejma.

– Nic nie jadłyśmy – uprzedziła Nina, decydując się zapomnieć o ciastkach. – I muszę już iść. Jeszcze chcę się pożegnać z Tomkiem.

– No tak.

We wzroku Kapińskiej dostrzegła jawną ocenę swojego zachowania. Jola wydawała na nią wyrok jak jednoosobowy sąd kapturowy, jakby Nina tym jednym zdaniem sprowokowała rozprawę. Nie miała prawa używać świętego imienia „Tomek”. Co byłoby lepsze? „Chcę porozmawiać z ojcem mojego dziecka”, „Muszę porozmawiać z byłym partnerem”, „Chcę porozmawiać z twoim synem”?

To Tomek nie przeciął pępowiny. Zarzucał jej niezdrowy stosunek do ojca, tymczasem to on nigdy nie przeciął pępowiny. Kazał jej do nich jeździć, jeść te obiady, wysiadywać, w zasadzie odsiadywać na niewygodnych krzesłach.

Nie tłumacz się, dyskutowała ze sobą, spoglądając na Jolę. Po prostu się nie tłumacz, nie musisz. I zwyczajnie odeszła, kierując się do drugiego skrzydła

budynku. Zapukała do drzwi Tomka, gdzie, jak wiedziała, znajdował się apartament nowożeńców.

Otworzył, wpuścił ją. Rozejrzała się, Agnieszki nie było. Tomek, w koszuli poplamionej winem, ciężko usiadł na fotelu.

– Jesteś – rzekł ospale, ale życzliwie.

– Jestem. Nie zabijcie się na tym morzu, dobra? – poprosiła.

– Dobrze.

– A jakbyś planował pozbyć się żony, daj znać, żebyś głupio nie wpadł. Najlepsze są wiesz, te wielkie rejsy wycieczkowe...

Uśmiechnął się.

– Dziękuję za propozycję. I że przyszałaś. Wczoraj i dzisiaj.

Pokiwała głową. Przyjrzała mu się. Był blady. I wydawało się, że jeszcze chce coś powiedzieć.

– Przepraszam, może nie powinienem wyjeżdżać w takim momencie...

– Ale jakim momencie?

– To jeszcze nie słyszałaś?

– Czego?

Zdawało jej się, że dostrzega na twarzy Tomka, sto lat temu kochanej, teraz dość obojętnej, cień dziwnie triumfującego uśmiechu.

– Jest kolejna zbrodnia – powiedział.

13

Kacperski nie sądził, że tak szybko wróci do posiadłości na wsi... Rozejrzał się po okolicy. Wydawało mu się, że woda w Dziwnie przybrała i rzeka podchodzi teraz prawie pod budynki. Znajdowali się tu i techniczni, i ekipa dochodzeniowo-śledcza. Gdzieś tam, za jego plecami, krążyła Paidaki, która musiała w międzyczasie zostawić dzieciaki pod opieką. Jeden z członków ekipy poprowadził go do starej stajni.

Już tutaj był. Kiedy zbliżali się do siódmego boksu, usłyszał szelest siana. Stopniowo, jak przez mgłę, dochodziła do niego też woń koni, której nie lubił. A po chwili wydało mu się, że czuje jeszcze jeden – znany mu – zapach. Choć to nie mogła być prawda, było jeszcze za wcześnie. To musiało być złudzenie jednego zmysłu po tym, co ujawnił mu drugi – wzrok.

W białych bryczesach, ze spuszczoną głową, w swoim ukochanym miejscu spoczywała martwa kobieta. Nie wyprowadzono stąd koni, pewnie nie było dokąd. Rżały cicho. Świadkowie zbrodni, której ktoś dokonał na ich opiekunce. Teraz wyczuwał już i pozostałe zapachy: siana, łąjna, starych desek i – teraz wiedział już na pewno – krwi. W ciemności wydawały się mocniejsze.

Agata Podolska. Pochylił się nad nią. Siedziała z głową zwisającą na klatkę piersiową. Krótkie siwoblond włosy opadały jej na zabrudzone krwią ramię. Dotknął palcem w rękawiczce – krew była zaschnięta. Kobiecie poderżnięto gardło: dość czysto, jednym mocnym, powiedziałby, humanitarnym cięciem. Profesjonalnie. Krótka, precyzyjna, chirurgiczna operacja pozbawienia kogoś życia.

Wiedział, podobnie jak pozostali, że mają przed sobą czwartą ofiarę zbrodni „boleńskiej”.

Technik, doświadczony, zażywny mężczyzna o spokojnych, mądrych oczach, chyba przeczytał mu w myślach.

– Tylko dla zapisania, jasności...

– Tak?

– Nie zrobiła tego sama. Ustawienie dłoni wyklucza. I długość cięcia.

– Dziękuję.

– Gdyby to był tułów... – Technik się zamyślił. – Ale tutaj to się nie da. Straciłaby przytomność, nim ostrze minęłoby grdykę. A rana jest na całej szerokości szyi.

– Dziękuję – powtórzył Kacperski.

Technik kiwnął głową. Kacperski wciąż się nie ruszał. Chciał to zapamiętać. Wszystkie szczegóły, bo owszem, oglądając zdjęcia, będzie można wiele odtworzyć, ale to nie będzie już ten pierwszy, czysty obraz w głowie. No i mógł istnieć jakiś szczegół widoczny tylko na żywo.

Zbliżył się, patrząc na czerwone ślady na bluzie lekarki.

Spojrzał na Paidaki, która stała metr dalej.

– Być może – zaczął Kacperski – zabójca zaszedł ją od tyłu. Poderżnął gardło, a potem, o tak...

Zademonstrował, jak delikatnie podtrzymuje jej głowę.

– Zrobił to pewnie nie z uprzejmości, ale żeby uniknąć hałasu. Morderstwo musiało być ciche. I myślę, że było, zwłaszcza jeśli zrobił to z zaskoczenia. A potem zwyczajnie posadził ją na ziemi – zakończył i spojrzał pytająco na technika.

– Jeśli pan o to pyta, zapewne była już wtedy martwa. Tyle mogę powiedzieć.

To była czwarta zbrodnia, kolejna dokonana białą bronią. Z jednej strony, patrząc optymistycznie, wykluczało to tych, którzy dysponowali bronią palną, bo przecież nią byłoby im łatwiej zabić. Z drugiej – zostałby ślad po kulce, kaliber...

Zamknął oczy, wyobrażając sobie tę scenę. Przez stajnię przechodzi zamaskowana postać w ciemnym stroju. Jak się tu dostała? A może to jeden z pracowników?

Następnie sprawca sadza kobietę na ziemi. Czy ktoś mógł coś usłyszeć, tak daleko od pozostałych zabudowań? Na przykład rzenie zaniepokojonych koni?

Zapytał o to.

– Na razie nic nie wiemy – odparła Paidaki i odbiła piłeczkę: – Czy zginęła od razu?

– Tak myślę.

Paidaki przesunęła się do przodu. Kątem oka Kacperski zauważył, że założyła już „służbowe” bojówki.

– Myślisz, że to ślady mordercy? – Wskazała na koszulę.

– Na to wygląda. Ale byłbym zdziwiony, gdyby sprawca nie używał rękawiczek.

Przerwał na chwilę.

– Zbadamy to – dodał. – Tylko że na poprzednich ciałach nic nie znaleźliśmy.

– W końcu zawsze pojawia się błąd. Myślisz, że to ten sam sprawca?

– Nie wiem.

– To by oznaczało, że...

– Co?

– No wiesz. Zabójca wziął się teraz do wychowanków.

– Ilu ich jest łącznie?

– Wystarczająco wielu, żeby spowodować histerię na całym Wolinie. Z pewnością więcej niż wychowawców.

Milczał.

– Więc myślisz, że tak to działa? Że teraz będzie usuwana kolejna grupa? W imię czego? – Głos Paidaki drżał.

Odwrócił się i podniósł na nią wzrok.

– A co mam ci powiedzieć? Co byś chciała usłyszeć? Że to nie ten sam człowiek? Nie mam pojęcia. – Po czym dodał: – I tak, zbadaj te ślady na bluzie. Nie sądzę, żeby zachowały się odciski, ale choćby na wypadek, gdyby Zembrzuski pytał.

Paidaki kiwnęła głową, a potem oddaliła się, przywołana przez młodszego funkcjonariusza. Po chwili wróciła.

– Jest dobrze.

– Co dobrze?

– Chłopaki mówią, że jednak mamy świadka.

– Zbrodni?

– Tak, może... znaczy coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju? Dlaczego nawijasz do mnie zagadkami... przyprowadź tę osobę.

– Już jest.

Stanął przed nimi na oko szesnastoletni chłopiec. Na głowie miał czapkę z daszkiem NY Yankees, która biel zgubiła parę lat wcześniej. Nie stanowiło wielkiej tajemnicy, dlaczego tak się stało – miętolił ją w średnio czystych dłoniach.

Kacperski widział go już wcześniej. Wtedy, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy. „Stajenny” to śmieszne słowo, ale ono właśnie przyszło mu do głowy, gdy patrzył na chłopca, i chyba taka właśnie była jego funkcja. Miał rude włosy i intensywnie niebieskie oczy; był wyrosnięty, ale jeszcze nie dorosły.

– No to opowiadaj, jak to było. Śmiało.

Chłopiec stał nieruchomo i milczał.

– Już mnie widziałeś – dodał Kacperski. – Przyjechałem tutaj i rozmawiałem z panią Podolską. – Przerwał. – Nic ci nie zrobimy.

Chłopak rozejrzał się i zerknął na Paidaki. Jak widać, miał do niej większe zaufanie. Kobieta. I matka. Kacperski odniósł wrażenie, że kiwnęła głową dla dodania otuchy.

– Kręciłem się tutaj, chciałem coś jeszcze sprawdzić – zaczął chłopak i od razu przerwał.

– Spokojnie – podjął Kacperski. – Interesuje mnie tylko to, co widziałeś albo słyszałeś.

– No dobrze, więc pani Podolska weszła do stajni, no i...

– I? Wtedy się schowałeś?

– Tak. Nie wolno wchodzić do koni już po zamknięciu. Ale było zimno i chciałem... rozumie pan.

Chłopcu wyraźnie brakło fantazji, żeby coś zmyślić. W gruncie rzeczy dobry znak.

– Jeszcze raz – powiedział Kacperski. – Nie interesuje mnie, co chciałeś i co tu robiłeś, więc nie musisz mnie okłamywać. Co widziałeś?

– Pani Podolska weszła tutaj i chyba dawała paszę. A potem... skryłem się w pustym boksie. Otworzyły się drzwi. Słyszałem rozmowę.

– Czyli najpierw słyszałeś otwieranie drzwi?

– Tak.

– A kroki?

– No chyba tak. Schowałem się. Jak mówię, nie powinienem tu być. Mógłbym wylecieć, pani doktor już miała mnie na oku...

Tu stajenny nagle przerwał, bo zrozumiał, że – niechcący – ujawnił właśnie możliwy motyw. Kacperski zobaczył przerażenie w jego oczach, ale to zignorował.

– Kto wszedł do stajni: kobieta czy mężczyzna? – ponowił.

– Nie widziałem. Słyszałem tylko szmer, wiedziałem, że rozmawiają. A potem ona krzyknęła i wypowiedziała takie dziwne słowa.

– Jakie?

– Jak... – zawahał się. – Może jak „kaj”.

– „Kaj”?

– Tak?

– A może „keja”?

– Nie, to było „kaj”. I potem kilka razy powtórzyła, podniesionym głosem.

Chłopiec zbladł.

– Chwilę potem zrobiła się cisza i wydawało mi się, że słyszę jakiś taki jęk, jak...

– Jak co?

Zdawało mu się, że młody zwymiotuje.

– Jak krojenie mięsa.

Cisza.

– Ale może tak mi się tylko wydawało, może byłem trochę zjarany, czasem sobie wkręcąm. – Chłopak wyznał oczywistą i mało tajemniczą prawdę.

– I co potem zrobiłeś?

Milczenie.

– Normalnie wyszedłeś ze stajni, tak? – zapytał spokojnie Kacperski.

– Zgadza się – odparł chłopiec – ale chwilę później, bocznym wyjściem. Bo stajnia jest zamykana na noc, ale wtedy się wprowadza ogiery i nie było zamknięte.

– Nie interesowało cię, żeby sprawdzić, co zaszło?

– Nie wiedziałem, że coś się stało. Było tak cicho.

Zamilkł. A jednak przyszedł i się przyznał. Kacperski przeszywał go spojrzeniem. Nie zrobił tego, to wszystko nie trzymało się kupy. Nie wymyśliłby tego w tej młodej, przejaranej głowie, to bez sensu. To było dzieło kogoś zupełnie innego. Inaczej skonstruowanego...

– Więc nie widziałeś tej osoby?

– Nie.

– Nie rozpoznałeś płci?

– Nie. Już mówiłem.

– Ani samochodu.

– Nie widziałem samochodu. Chyba nikt nie widział. Wróciłem do siebie. A potem... – zawahał się, ale Kacperski kiwnął głową, żeby kontynuował. – No potem to już przyjechaliście i przyznałem się, że coś wiem.

Zapadła cisza. Opowieść została domknięta.

– Możesz już iść, przynajmniej na razie – powiedział Kacperski.

A kiedy chłopak zniknął, Kacperski skierował spojrzenie na Paidaki, swoją świeżo upieczoną partnerkę. Chyba żadne z nich nie przypuszczało, że tak szybko będą mieli okazję naprawdę razem pracować. Ich spotkanie na plaży nagle jawiło się zaś jako coś koniecznego, coś, co musiało się wydarzyć – dlatego że tutaj, u brzegu Dziwny, czekała na nich śmierć.

Ela Paidaki nie powiedziała ani słowa, ale w jej oczach Kacperski widział napięcie. I taką samą niewiedzę jak u siebie.

14

Boleń wydawała się następnego dnia innym miejscem. Nina przypuszczała, że to przez śmierć lekarki kilkanaście kilometrów stąd. Pod smukłym ceglany kościołem na skarpie zgromadzili się ludzie. Byli zbici w kupkę, jakby chcieli schronić się przed zimnem, choć może tak naprawdę przed niebezpieczeństwem. Śmierć starszych ludzi – co było okrutne – wzbudzała mniejsze emocje, ale teraz zginęła lekarka, pracodawczyni, no i dawna wychowanka. Których było tu trochę.

Nina aż przystanęła, żeby zerknąć na tę grupkę. Z kościoła wyszedł ksiądz Wielarski. Wydawał się nieco bezradny, jakby nie wiedział, jak dotrzeć do wiernych.

Wyspa Wolin przeżywała dzisiaj kryzys. Położona na skrawku lądu Boleń, wystawiona na zmienne prądy pogodowe i historyczne, była papierkiem lakmusowym tego stanu ducha.

Jednak Nina miała na ten dzień konkretne plany. Wspięła się jedną z uliczek prowadzących w górę miejscowości. Szła w stronę parku narodowego, bliżej Jeziorek Szmaragdowych, których nazwę już poznała. Od rana bolała ją głowa, ale miała jeszcze jedno spotkanie. Jak zwykle nie potrafiła odmówić i przyjęła zaproszenie parę dni temu w pensjonacie.

– Witam – powiedział Marek Gargała, który czekał na nią już w furtce.

Tym razem była sama, nie chciała wyciągać małej z Szumów.

Wnętrze wydawało jej się w jakiś sposób anglosaskie. Półki pięły się aż do sufitu. Stały na nich zakurzone pudła pełne zdjęć i stary adapter na płyty. Unosił się zapach herbaty, jabłek i psa.

Przyjęła propozycję Gargały, kiedy zdradził, że jego pasją jest lokalna historia.

– Nie jestem historykiem – powiedział. – Pracowałem w stoczni. Ale tym żyję.

Był przyjacielem Cezarego. Czują, że spłaca dług zaciągnięty u Mogielnickiego za jego gościnność, choć również potrzebowała informacji.

– Przede wszystkim musi pani sobie uzmysłwić – rzekł Gargała, już w środku – że to nie są do końca polskie ziemie. Przez pół tysiąca lat, bardziej

lub mniej niezależnie, władał nimi ród Gryfitów. Potem, od siedemnastego wieku, nasi zachodni sąsiedzi i kolejne twory państwowe, które tam powstawały. Aż do Trzeciej Rzeszy. Boleń przed wojną wyglądała lepiej niż teraz, a z pewnością okazała: hotel, dom handlowy i sklep kolonialny z palarnią kawy. Kasyno z własną sceną, park z alejkami, pomnikami, ławeczkami i specjalnie zaprojektowanym jeziorkiem. Dom zdrojowy.

– To wszystko...

– Nie ma już śladów, prawda? W rzeczywistości są, ale trzeba naprawdę dobrze patrzeć. Ale kiedy po wojnie pojawili się tu polscy osadnicy, przemysłu już nie było. A przecież trzeba było z czegoś żyć. Rozwinęło się rybołówstwo, nawet ci, którzy tym się przedtem nie parali, chwycili za sieć. Przed wojną tu był inny świat, niech pani sobie wyobrazi niemieckich robotników ze śniadaniami i obiadami od żon, żeby mogli wytrzymać długie zmiany. Codziennie kursujących do fabryki cementu, zarządzanej przez rodzinę von Hornów...

– Kto to?

– Niech pani poczeka.

Podszedł do półek, a następnie wyciągnął jakieś zdjęcie. Ustrzelone jakby z lotu ptaka, z odległości. Po chwili zorientowała się, że przedstawia widok na Boleń. Poznała charakterystyczną wieżę kościoła na wzgórzu, bo cała reszta wyglądała inaczej. A zwłaszcza ogromne, jak na owe zapisane poźółkłą fotografią czasy, zabudowania u brzegu Zalewu Szczecińskiego.

– To jest...

– Cementownia. Wszystko było znakomicie przemyślane. Nazwa Wapnica nieopodal też nie jest przypadkowa. Stamtąd dowożono budulec. Nawet kolejka była.

– Do Boleni?

– Tak. Kapitalna organizacja.

– Ale daleko od świata.

– Nie, nie, woda przybliżyła. Tu, jak pani widzi – wskazał na punkt na fotografii – jest port, żeby transportować cement do Szczecina, przepraszam, Stettina, a także innych wielkich miast.

– Kim byli ci von Hornowie?

– Mieszczanie, pewnie dorobili się kilka pokoleń wcześniej albo nawet w swoich własnych czasach, tak też bywało. Niestety brakuje dokładnych źródeł. Poza tym, że wiemy, gdzie mieszkali...

– Gdzie?

– Przecież pani już zna to miejsce, prawda, pani komisarz?

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Wydawało jej się, że dostrzeża u niego pewne rozczarowanie.

– W pałacyku na klifie. Tam mieli swoją siedzibę ci pseudoszlachcice. Przedtem pewnie nazywali się Horn albo jeszcze inaczej. W każdym czasie są snoby.

– Ma pan dowody? – zaśmiała się.

– To moje przypuszczenie.

– Przypuszczenie... Ciekawe, że pan o tym mówi. Trochę rozumiem, ale też mam wrażenie, że każdy sobie tworzy własną wersję historii. Jest wersja oficjalna, że Wolin należał do Polski, choć tak jak pan mówi, raczej nie należał. Jest też wersja marzycieli. Nasłuchałam się o jomswikingach tyle, że powinnam już chyba zapuścić warkocze i wystawać na przystani w oczekiwaniu na nadejście drakkarów.

– Śmieszne – rzekł Gargała.

Uraziła ją trochę ta ironia.

– Śmieszne, że ludzie mówią o Jomsborgu – ciągnął jednak. – O wojownikach, których istnienie nigdzie nie zostało udowodnione. Jest tylko saga nieznanego autorstwa. Ludzie ekscytują się tym od lat. Śmieszne, że o tym rozmawiają, kiedy tu są prawdziwe skarby, zakopane pod ziemią. Być może cały czas siedzimy na górze złota.

– To znaczy...

– Boleń była bogata i znacznie gęściej zaludniona niż dziś. Zakłady von Hornów były motorem, a za tym, jak często bywa, rósł sektor usług i lokalne majątki. A przecież część Niemców uciekała w popłochu, kiedy szła Armia Czerwona. Dlatego zakopywali cenne przedmioty albo to, co było dla nich cenne.

– Czyli?

– A różne rzeczy. Kto co miał, wolał zakopać, niż zabierać ze sobą. Złoto i srebro w różnej formie. Od sztućców po biżuterię. Część rzeczy bez wartości, a część o ogromnej. Dlatego to wciąż budzi takie emocje.

– Czyli poszukiwacze po wojnie jeszcze wszystkiego nie wywączali?

– Nawet teraz, z użyciem technologii, to jest ciężka sprawa. Po pierwsze, to było zakopywane bardzo głęboko. No i gdzie? W rodzinach niemieckich takie informacje i nawet mapy były ponoć przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Niczym w bajkach. Sto stóp na południe od topoli przy kościele, następnie udaj się na północ aż do rozstaju dróg...

Zachichotał, ukazując pozółkłe zęby.

– Ale też chowano zwyczajnie pod podłogą, prawda? No dobrze, tylko gdzie pod podłogą? W którym budynku? Dewastować domy, bo a nuż się coś znajdzie? Nawet w starych studniach potrafili... Część zresztą została pewnie wydobyta, ale o tym nie wiemy. Ludzie się nie przyznają, po co oddawać państwu. A część... no, przyjeżdżają Niemcy i kopią.

– Skarby pod kostką Bauma.

– Nawet tego nie można wykluczyć. Bywało, że nowy właściciel zastawał tego dawnego, jak kopał w ziemi. Proszę mi wierzyć, zdarzył się niejeden taki przypadek. Ale bywa też tak, że instrukcje przepadły, a właściciele nie wrócili.

– Być może część się bała.

– Tak, ziemia należała już do Polski, władzę przejęli komuniści. Stosunki polsko-niemieckie nie należały po wojnie do lukrowanych, wiele rzeczy było ryzykownych. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że był okres tuż po wojnie, kiedy Niemców można było zabijać... Summa summarum, ludzie żyją tu już nawet od dwóch, trzech pokoleń i nawet nie wiedzą, choć mogą podejrzewać, że siedzą na jakimś bogactwie. Tak też się nie da żyć na zawsze, szukać czegoś, co równie dobrze może nie istnieć. W końcu zapominasz, odpuszczasz... Coś pani jeszcze pokażę. – Wstał, a potem bardzo długo go nie było.

Wreszcie wrócił, przynosząc stare zdjęcia, tym razem Świnoujścia, Kamienia Pomorskiego, Stettina... Skąd tyle ich wygrzebał? Nina rozpoznawała jakieś budynki, ale to był odległy świat. Historia interesowała ją, tylko o ile pomagała zrozumieć miejsce, w którym doszło do zbrodni.

Wszyscy romantyzowali tę przestrzeń. Bo chcieli żyć w bajce, przynajmniej na jakimś poziomie. To się wydawało takie ludzkie. Jeden człowiek uciekał w fantastykę i seriale, ktoś inny w powieści, realistyczne gry komputerowe, sztuczny blichtr amerykańskiej pseudorzeczywistości. Ale potrzeba bajek była niezmienna i stała, a próba ich racjonalizacji – śmieszna. Gargała z Dombrowiczem – albo Historyk z Wikingiem, bo tak ich sobie nazwała – niewiele się od siebie w gruncie rzeczy różnili.

Wieczorem, kiedy nad Bolenią i zalewem zapadał już zmierzch, Nina spoglądała na siebie w lustrze łazienki. Przywołała w pamięci spojrzenie, które rzuciła jej ostatnio świekra. Powiedzieć, że było ostre, to w tym przypadku nic

nie powiedzieć. Przynajmniej nie umalowała się jeszcze, kiedy szła z Milą do pokoju Kapińskich, ale i tak świekra ją przejrzała.

Nina planowała tylko powiedzieć, że wraca później i że najlepiej byłoby, gdyby Mila tę noc spędziła z nimi. Jednak kobieta zawsze przejrzy tę drugą – i tak się właśnie stało. Mogła równie dobrze pojawić się w burym, poszarpanym dresie – Joli wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zorientować się, że Nina wybiera się na randkę.

Trudno, nie miała się czego wstydzić. Teraz musiała wymyślić, jak powinna się ubrać na spotkanie z człowiekiem starszym o całe pokolenie. Co się nosiło w jego czasach? Halki? Nie, to nie była randka, zdecydowała, tylko wieczorny rejs pod gwiazdami, z nadzieją, że nie skończy się chorobą zatok na resztę „urlopu”.

Po długich wahaniach zdecydowała się w końcu na dzinsy i rudy sweter z Zary, który sama sobie dała kiedyś na Gwiazdkę. I oczywiście prastarą, ale wciąż dobrą kurtkę z goretexu. Czyli wybierała się na tę nierandkę, jakby szła na wycieczkę w Beskidzie.

Zeszła do holu i choć nie umawiali się na konkretną godzinę, Szostek już na nią czekał. Przyszedł do Szumów i po prostu stał przy barze. Ujmujące, nie zwracał jej głowy, nie wydzwaniał. Umówili się, więc czekał. To nie randka, upewniła sama siebie po raz trzeci. Zadowolona, że ubrała się rozsądnie, teraz była już spokojna, a nawet – wbrew sobie – podekscytowana.

Przeszli opustoszałymi ulicami na przystań. Poprowadził ją do łodzi przycumowanej w połowie pomostu.

Było ciemno, a światła przystani słabe, ale i tak zaparło jej dech.

Łajba wyglądała niewiarygodnie. Nienowa, ale nadzwyczajnie zgrabna. Pomalowana na niebiesko, z wyraźnie już przetartą burtą, teraz była bladobłękitna. Miała biały i dokładnie wyszorowany pokład, dwa maszty oraz granatowy brezentowy daszek nad sterem.

Brenna, jak przeczytała na burcie, był piękna, nie pięknnością nowej rzeczy, tylko starej, świetnie zaprojektowanej, która wiele już w swoim życiu przeszła. Smukła, o wąskim dziobie, sprawiała wrażenie szybkiej jak chart.

– Przepiękna – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Naprawdę? – rzekł Szostek dość niedbale, choć idealna czystość na łodzi nie współgrała z tym tonem. – To już prawie emerytka.

– Co to znaczy?

– Że wycofałem się z regat i trochę ją przerobiłem. Na moje obecne potrzeby.
– Łodzie też się starzeją? – zapytała głupio, zanim ugryzła się w język.
– A nie? Wszystko zaczyna odpadać, maszty, wanty, kadłub rdzewieje... ale największym wrogiem są technologie.

– Na żaglach?
– Oczywiście. Łodzie są naszpikowane elektroniką.
– A przypadkiem nie tym się zajmujesz?
– Tak. To nie znaczy, że to lubię. Godzę się na to, żeby móc robić dalej to, co chcę.

– Czyli co?
– Żyć na morzu. – Uśmiechnął się, a potem podał jej rękę. – Zapraszam.

Wprowadził ją do kabiny. Wnętrze było niewielkie, ale dobrze urządzone. Drewno lśniło przełamany brązem w nastrojowym świetle bocznych lamp. Kabina była zadbana i nie pachniało tu starą działką, jak na wielu innych łodziach, lecz drewnem, lakierem, morzem.

– Wszystko zrobione na zamówienie. – Chyba czytał jej w myślach. – Mam mieszkanie w Świnoujściu, ale... Prawdę mówiąc, znajomi nocują tam częściej niż ja. Słowo daję, nawet nie wiem, gdzie jest dodatkowa pościel. Ludzie wymieniają się kluczami pod moją nieobecność.

Roześmiał się.

– To jest twój dom – powiedziała.

– Tak.

– Żona, dzieci? – zapytała i poczuła się trochę głupio.

Pokręcił tylko głową.

Różnica wieku powoli przestawała być odczuwalna. Wyszli na pokład i Szostek zaproponował jej miejsce na obitej niebieską skórą ławie. W świetle księżyca widziała jego bujne siwe włosy i nieprzystrzyżoną brodę. Miał orli nos i zdecydowaną twarz. Początkowa trema minęła. Widziała, gdzie mieszka, odkrywał się przed nią i niczego nie wstydził.

– Była żona. Jest też syn – objaśnił.

Przerwał na chwilę.

– Nie ma między nami wrogości, ale nie mamy też wielkiego kontaktu. Żyję po swojemu.

– Przepraszam, powiedziałaś „żyję” czy „żyje”?

– Obie opcje, obaj żyjemy, jak chcemy.

Mówiąc to, oszczędnymi ruchami wyprowadzał łódkę na wodę. Wcale nie kłamał, opowiadając, że to jego przestrzeń. Poruszał się w niej jak tancerz.

– Jak to wszystko się u ciebie zaczęło? – Wypływali już na wody zalewu i mimowolnie zadrżała.

– Zimno ci? Zaraz ustawię nas lepiej do wiatru.

Rozmawiał z nią, a jednocześnie dalej manewrował łodzią. Pociągał za szoty, ustawiał Brennę. Nie używał silnika, nawet w porcie. Nina poczuła drgnięcie, jak delikatne kopnięcie prądu, i widziała, że płyną. Wystarczyło spojrzeć na szybko przesuwające się światła Boleni, żeby wiedzieć, że staruszka była wciąż bardzo szybka.

– Sporo pływałem kiedyś, wtedy jeszcze na statkach handlowych. Kiedy wróciłem, okazało się, że moja żona widzi swoje życie trochę inaczej.

– Czyli jak?

– Beze mnie.

– Przykro mi.

– Znam gorsze historie.

– A skąd się wzięło żeglarstwo? – zapytała.

– Pewnie jak u każdego. Młodzieńcza fascynacja. Wychowywałem się tutaj, w Boleni. Przy domu dziecka powstała szkółka żeglarska, zaczęliśmy pływać. Niektórzy złapali wtedy bakcyła...

Wyobraziła sobie te czasy. Który to był rok? Czemu nie sprawdziła w Wikipedii?

Musiał być wtedy niezmiernie przystojny. Ale od razu poprawiła samą siebie: teraz był przystojny.

– Szkółka to oczywiście dużo powiedziane. Pan Moszko wyciągał te łajby, skąd się dało. Sam nie był wielkim żeglarzem. Przypuszczam, że nauczył się dopiero na Wolinie i robił to dla nas.

– Jak on tu trafił?

– Chyba nikt nie wie. Słyszałem, że był jakimś działaczem w centrum kraju. Ale to takie legendy krążyły, bez mocniejszych dowodów. Tutaj wszyscy zaczynali od nowa. Nie sądzę, żeby pan Michał, pani Maria i pan Włodek wypytywali się wzajemnie o swoją przeszłość. Grunt, że łączyła ich idea domu dziecka, udało im się zdobyć na to pieniądze, no i oczywiście budynek. Nie jestem pewien, kto wpadł na pomysł ze szkołą żeglarską, ale w pewnym sensie

wybór był oczywisty, mieliśmy przecież wodę, nie? I niewiele więcej. Z początku były tylko stare omegi, kilka kabinówek, podarowanych z łaski. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to była frajda nocować pierwszy raz na otwartej wodzie. Wychowawcy robili co mogli i to była niesamowita sprawa, że w ogóle zaczęliśmy pływać. Ale jak to na starych krypach, co chwila jakaś dziura, jakiś grzybek. Znaczy wywrotka – dodał, bo zauważył, że nie zrozumiała. – Ale wiesz co?

– No?

– To tylko dodawało nam siły. Nie ma dobrego kierowcy bez znajomości auta, bez wiedzy, jak działa jego silnik, a przekładając to na żagle: bez kretyńskich błędów, które powodują, że maszt wali ci się na głowę. Oczywiście trochę żartuję... Choć może teraz to się zmieniło, są gwiazdy trenowane od urodzenia na zawodników. Podobnie w motoryzacji, tacy mistrzowie jak Lauda, a nawet trochę nasz Kubica, oni po prostu doskonale rozumieli, jak działa samochód i silnik. A z żeglarstwem jest tak, że jeśli nigdy nie łątałeś łajby, nie zszywałeś żagla, to nie wiesz, co ją boli. Nie wiesz, jak pojedyncze pęknięcia mogą wpływać na szybkość. I być może nie będziesz wybitnym żeglarzem.

– Wtedy, kiedy przyjdiesz na gotowe.

– Być może. Bo tak jak mówię, teraz pompują pieniądze w cyborgów, perfekcyjnych zawodników.

Zapadła krótka cisza. Przerwała ją, mówiąc:

– Oni z tej twojej szkółki, opiekunowie... nie żyją.

– Wiem.

– Nie boisz się?

– Czemu? Byłem tylko wychowankiem.

– Teraz nie jesteś.

– Wtedy byłem jednym z wielu. Nawet nie byłem najbardziej utalentowany.

– Ale osiągnąłeś sukces.

– Może miałem więcej wytrwałości i uporu.

– Dzisiaj ta kobieta, Agata Podolska...

– Nie wiem, o co chodzi w tej historii, ale nauczyłem się żyć, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje... Dużo zawdzięczam opiekunom. Nie tylko prowadzili dom dziecka, po prostu zrobili mi młodość sportem. Owszem, była bieda, ale mieliśmy współzawodnictwo, przyjaźnie, kontakt z naturą, wszystko wtedy kręciło się wokół żagli, a ostatecznie okazało się, że to był pomysł na życie. To

znaczy moje życie. Myślę, że to minęło później, to zachłyśnięcie się szkołą żeglarską. Wychowawcy starzeli się, a wciąż trzymali dom dziecka żelazną ręką, i podobno nowym pracownikom było dość trudno. Mały dopływ świeżej krwi, może nikt nie chciał tutaj zamieszkać. Przypuszczalnie była też ustawiczna walka o pieniądze z resortem, finansowo raz lepiej, raz gorzej... Miałem szczęście, że byłem wcześniej, dla nas wszystkich to było coś niesamowicie nowego i świeżego.

Zapatrzył się w zalew.

– Dlatego kocham te wody. To jedna wielka kałuża, ale to jest moja kałuża i cieszę się, że mogę tu wracać. A teraz, pozwolisz, zamienię się w kucharza okrętowego.

Siedziała, spoglądając na ciemną wodę, na światełka w oddali. Byli zwrócenii w kierunku jakiejś miejscowości, może na Karsiborze. Szostek wyczarował stolik, serwetki i wino. Pan wiatru i wody: ustawił Brennę tak, że niemal nie czuć było zimna. Nina oddychała zapachem wody, łagodnie kołysząc się na falach zalewu, będąc obsługiwaną i czując się – zwyczajnie – dobrze.

Przyrządził spaghetti wegetariańskie i sałatkę. Do tego podał argentyńskie wino.

Gawędzili i nie orientowała się, kiedy upływał czas. Opowiadał o szkwałach koło Wyspy Wielkanocnej, prądach morskich przy odległej Tristan da Cunha, a także manewrach wokół skalistych wysepek wybrzeża Patagonii.

Czuła się naprawdę dobrze.

Szostek przechylił się ku niej, podała mu usta. Całowali się dłuższą chwilę.

W okolicach brzucha poczuła jego dłoń. Drgnęła. Obróciła twarz w stronę wody.

– Nie. Przepraszam – powiedziała.

Jeszcze przez sekundę trzymał rękę na jej ciele, a potem przesunął i położył sobie na kolanie.

– Bo jestem dla ciebie za stary – rzekł dość lekkim tonem.

– Nie. Chyba jestem typem samotnej wilczycy – dodała po chwili. – I nie jesteś za stary, ale w górach ktoś jest. I nie wiem, czy coś z tego będzie, ale nie chcę tego przekreślać.

Cisza.

– Rozumiesz? Jestem raczej monogamiczna, więc w mojej głowie to byłoby przekreślenie. A jakoś nie jestem na to gotowa.

Pokiwał głową i – może żeby odwrócić uwagę, żeby nie było niezręcznie – zrobił delikatny skręt łodzią.

Żagiel załopotał.

Miała kilka cennych sekund dla siebie. Dlaczego tak powiedziała? Chciała go, podobał jej się. Dlaczego nie przeszła do porządku nad zerwanym związkiem i nie zdecydowała się na coś, na co miała ochotę? Być może dlatego, że intuicja, jej wierna i sprawdzona w bojach przyjaciółka, mówiła jej, żeby tego nie robiła.

Płynęli z powrotem, gawędząc lekko, ale nie wrogo. Dopłynęli do przystani. Po namiocie weselnym nie było już prawie śladu. Kapitalna organizacja. Mogła sobie wyobrazić, że ten ślub w ogóle się nie odbył.

Szostek odprowadził ją pod Szumy. Uparł się na to. Pensjonat już spał, może jedno okno się świeciło, kiedy podawał jej dłoń.

– To była duża przyjemność, Nina.

– Dla mnie również.

Kiedy wchodziła do środka, obróciła się jeszcze raz. Spojrzała, jak mężczyzna się oddala, a jego zgrabna sylwetka znika w nocy.

15

Kradzież cennej monety z domu starca. To była ta druga pilna sprawa, którą Kacperski miał obecnie na tapecie w poniedziałek. Kradzież monety, cennej Britanii, będącej w posiadaniu staruszka, który prawie zapomniał, co posiada. Pierwszą zaś sprawą była zagadka czterech morderstw.

Stał w swoim gabinecie, patrząc przez okno na bar szybkiej obsługi Duduś. Wychodził stamtąd młody chłopak w czapeczce. Zdążył wyjechać z dostawą, wrócić i z powrotem wyjechał. Codzienne dostawy świeżego kotleta dla potrzebujących. Pogoda była przyjemna, a odpowiedzialność – niewielka. Kacperski zamieniłby się dzisiaj z tym chłopakiem. W głowie wciąż miał obraz Agaty Podolskiej, której brutalnie poderżnięto gardło. Mordercę z pewnością cechowała zuchwałość. Poruszał się po całym Wolinie, a nikt go nie widział. Był cieniem.

Ela Paidaki, która bezszelestnie pojawiła się w jego gabinecie, chyba wyczuła ten nastrój.

– Więc co tutaj mamy?

– Co mamy? – powtórzył.

Pokręcił głową. Usiadła.

– Jesteś zmęczony – stwierdziła, ale to nie miało brzmieć obraźliwie. Zwyczajne, suche stwierdzenie faktu.

– Nie zaprzeczę – rzekł.

– Zmęczony policjant to nie jest nic dobrego.

– Co ty nie powiesz.

– Jeszcze kogoś zastrzelisz.

– Jestem pacyfistą.

– Serio?

– A co, nie mogę być?

Wzruszyła ramionami.

– W życiu nie wyciągnąłem broni poza strzelnicą.

– I nigdy, nawet w Poznaniu...

– Pracuję głową, zapomniałaś? Choć ona nie bardzo ostatnio. Mamy trzy ciała, a teraz czwarte, wychowanki. Wszystko, co do tej pory wydedukowałem, okazało się błędne. Może jakieś pomysły?

– Kaj.

– Trzy litery. Nasza nadzieja, zgadza się? Chłopak był chociaż przytomny? Przecież jeszcze po paru godzinach wydawał się pod wpływem.

Nie odpowiedziała.

– Więc nasza jedyna nadzieja na schwytanie seryjnego mordercy to nastukany chłopiec stajenny – dodał Kacperski.

– Chyba nie ma już takich profesji, musisz go jakoś inaczej nazwać – zaśmiała się. – Kaj, może Kai – przeliterowała. – Może to jakiś stary Niemiec. Jest przecież takie niemieckie imię.

– Nie tylko niemieckie. Ale dobrze, tego się trzymajmy przez chwilę. Jest taki znany polityk... nie pamiętam, jak ma na nazwisko.

– Myślisz, że on morduje ludzi na Wolinie?

– Myślę, że nie mamy innych tropów.

– Jeśli przyjmiemy, że to prawdziwe... – powiedziała po chwili – Kai łączy Podolską i jej mordercę. A innych?

– Musi – rzekł Kacperski. – Podolska była wychowanką. Te morderstwa są powiązane. Ona, wiesz, zadała mi takie dziwne pytanie.

– O co?

– O klif. Jak zginął Włodzimierz Moszko. Ale to dlatego, że nie wiedziała, że zginął na górze. Próbowала udawać, że to nic takiego, ale zapamiętałem.

– Czyli zadała pytanie, a następnie usiłowała ukryć powód, dla którego zapytała.

– Tak.

– Czy ktoś się przysłuchiwał tej rozmowie?

– Nie sądzę. Choć staliśmy na dworze... Sprawdź. Sprawdź – powtórzył – gdzie możesz. Gdziekolwiek występuje czy występował jakikolwiek Kaj.

– A zawężając?

– Coś związanego z Wolinem.

– Dobra, Kacperski. Poradzę sobie.

– Nie musisz sobie radzić. Tylko go znajdź. – Obrócił się.

Zanim będzie kolejne morderstwo, chciał dodać. Jednak tego nie zrobił. A Paidaki jeszcze nie wyszła. Stała, odwrócona do niego plecami. Głowa ostrzyżona jak u chłopca, krótko z boku, czuprynka z góry. Wyglądała, jakby się namyślała. Czyli jeszcze z nim nie skończyła.

– Wtedy w smażalni – zaczęła.

– Tak?

– Zacząłeś mi mówić o zdjęciu.

Zapatrzył się na nią. Po chwili odparł:

– Szukam pewnego mężczyzny.

– Kim jest?

– Moim ojcem.

Zapadło krótkie milczenie.

– Wyjechał pewnego dnia, zwyczajnie nas opuścił. Wyszedł z domu. To były lata osiemdziesiąte. Nigdy go już nie zobaczyłem.

– Skąd wiesz, że...

– Że on tutaj? – Chwilę się nad tym zastanawiał. – Tęsknił za morzem i za wolnością. Wiesz, ja go nawet z tego pamiętam. Że stał w oknie i się gapił. Potrafił tak całymi godzinami. Mamę to wkurzało i słusznie, jak się okazało. Może nie nadawał się do życia w Poznaniu, był z jakiejś zapadłej wiochy nad morzem... Tam się poznali z matką. Ale życie w komunizmie, w mieście po prostu nie było dla niego. Męczył się. Były też jakieś listy. Adresowane stąd. Mama nie pozwalała mi ich czytać, zamykała je na klucz.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale obrosły u nas legendą. Siostrze udało się ukraść kopertę, była wysłana z Międzyzdrojów. Kiedy indziej dorwaliśmy kolejną, również stąd.

– Rozumiem.

– Więc po prostu wyszedł. Poszedł po bułki, może rogałe, nie wiem. Zniknął.

– Nie szukaliście go?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może z powodu tej korespondencji, którą wysłał mamie, a może było coś jeszcze. Mama nie chciała opowiadać.

Zapadło milczenie.

– Znasz historię Steve’a Jobsa? – przerwała ciszę Paidaki.

– Nie rozumiem. Tego od jabłek?

– Tak. Adoptowano go, w rzeczywistości był w połowie Irańczykiem. Chadzał do baru w Kalifornii prowadzonego przez swojego prawdziwego ojca. Żaden z nich o tym nie wiedział.

– Naprawdę?

– Wiesz, co ten ojciec opowiadał później ludziom?

– Nie mam pojęcia.

– Chwalił się, że do jego baru zachodzi sam Steve Jobs.

Kacperski pokręcił głową.

– Chcę powiedzieć, że mogłeś go już spotkać, a nawet tego nie wiesz – dodała Paidaki.

– Wątpię – rzekł po dłuższej przerwie. – A na twoje pytanie... To nie były moje decyzje, byłem wtedy chłopcem. I po prostu nie szukaliśmy.

– Przykro mi.

Pokiwał głową. Zapadło milczenie. Ku swojemu zaskoczeniu dostrzegł w oczach Paidaki łzy. Wydawała się przez to jeszcze ładniejsza; nie widział już w niej szczupłego chłopca, tylko że ma piękną figurę i jest bardzo wrażliwa. Skurwysyn z tego jej eksmęża, ciekawe, dlaczego się rozstali. Grzegorz Paidaki, kimkolwiek był, nie wiedział, co traci.

– Hej...

Zdawało mu się, że chce do niego podejść. Odsunął się pół kroku. Nie mógł na to pozwolić.

– Wiesz, chyba nie chcę już o tym rozmawiać – powiedział.

I pomyślał, że powinna już pójść. Zrobił, co zrobił, ale teraz chciał zostać sam. Obrócił twarz w stronę okna, tak żeby nie mogła zobaczyć jego oczu. Zdradzały go.

Kierowca z baru Duduś znowu wyjechał. Za nim bar opuściło kilkoro roześmianych funkcjonariuszy.

Co z tego, że mieszkali w mieście wielkości jednego osiedla na Jeźycach. Byli zadowoleni z życia, a on przywłókł tutaj swój smutek, problemy i gniew.

– Jasne, ale jeśli kiedykolwiek będziesz jeszcze chciał, to wiesz... – usłyszał za plecami.

– Tak?

– Wiesz, gdzie mnie szukać. Byłam i będę w sąsiednim pokoju.

W tych słowach usłyszał tyle bezinteresowności, że aż przymknął oczy.

Kiwnął głową. Obrócił się – ale dopiero kiedy za plecami usłyszał dźwięk zamykanych drzwi. Spojrzał na miejsce, w którym przed chwilą stała aspirantka Paidaki.

Zastanawiał się, czy na pewno dobrze zrobił, że ją okłamał.

16

Wiatr, jak oddech zalewu, smagał Ninę po twarzy. Biegła skarpą, żeby pozbyć się kaca. Bo jednak miała kaca, mimo sporej ilości wypitej przed snem wody i niezależnie od tego, że wino było naprawdę dobre.

Czuła się nieswojo po wczorajszym spotkaniu. Czy nie popełniła błędu, odrzucając Szostka? Mógł skończyć nawet i siedemdziesiątkę, ale miał w sobie tyle swobody i uroku, takie płynne ruchy, gdy kierował łodzią, że wiek nie miał znaczenia. Co jej zresztą przyszło z relacji z równolatkami...

Szumiało. Wiatry ciągnące znad Bałtyku i szalejące również na zalewie zmieniły tę gładką taflę w rozhuśtany zbiornik. Las też reagował, jęczał, gałęzie łamały się z trzaskiem. Gdyby tylko mogła wybrać inną trasę – rzecz w tym, że takiej nie było. Albo stary las, albo woda. Pośrodku: klif.

Zwolniła koło domu Rowickiej. Leśniczka stała na zewnątrz, rozmawiając z kimś odwróconym tyłem do drogi. Nina zwolniła do truchtu. Fascynowała ją ta mieszkająca na uboczu kobieta. Była twarda, ale nie wyczuwało się w niej niechęci do ludzi – po prostu nie potrzebowała ich do szczęścia. Lepiej jej było w towarzystwie lasu, być może zwierząt i ogrodu.

Zobaczywszy Ninę, Rowicka zdecydowanym ruchem skierowała mężczyznę w głąb gospodarstwa. Ale policjantka już wiedziała, kto to. Domyśliła się, widząc pochyloną, znajomą sylwetkę.

Wróciła do pensjonatu. Było tak rześko i wietrznie, że nawet się nie spociła. Usiadła, żeby napić się herbaty. Ostatnio stale miała ochotę na herbatę, i to najlepiej z szerokiego kubka ogrzewającego dłonie. W miejsce czarnej kawy, lury, którą tankowała hektolitrami całe policyjne życie...

– A pani tylko biega i biega.

Spojrzała w górę. To była oczywiście pani Fela Ostapowicz. Kto inny mógł ją tu zaczepiać, zupełnie nieproszony.

– Słucham?

– Gdzie pani tak biega? Ucieka pani komuś?

– To dla zdrowia i samopoczucia.

– Kiedyś ludzie wszędzie na nogach chodzili i zdrowsi byli...

– I właśnie dlatego umierali w wieku pięćdziesięciu lat?
– A bo szpitali nie było. Ja wolę w ogródku pracować niż biegać.
Niespodziewanie wyjęła telefon i podsunęła Ninie zdjęcie:

– Proszę spojrzeć. Moje własne.

Biały domek, kawałek płotu, rabatki. I pani Fela, zdaje się, parę lat temu.

Kobieta znowu naruszała jej prywatność. I nie można jej było przegadać. Tak więc ciętą ripostę, w której byłoby coś o zdrowiu i o znachorach, Nina zachowała dla siebie.

– Moja córka również biega – podjęła pani Fela. – Tylko że na bieżni. Ale ona, wie pani, to jest kobietka. Za co się nie weźmie, świetnie jej wychodzi. Na każdym polu. I moja wnuczka również.

– Ile ma lat?

– Szesnaście. Ale już się za nią oglądają mężczyźni. No, nie wytrzymają, jeden ostatnio...

– Pani Felu... – zaczęła Nina, trochę zmęczona.

– Jeden z mężczyzn stąd. Ja nawet wiem który, przecież u niego pracowałam.

– I? – nie wytrzymała Nina. Siła plotki: tak trudno się było jej oprzeć.

– Obiecał, że już nie będzie.

– I to pani wystarczyło?

– Tak. Przecież ja jestem skryta kobieta i potrafię trzymać w tajemnicy, kiedy trzeba.

– A kiedy trzeba?

– Czasem trzeba.

– Kiedy to jest czyjaś tajemnica, taka, której nie powinno się ujawniać? – zapytała Nina, a po chwili milczenia pierwszy raz poczuła, że narracja pani Feli wykoleja się delikatnie. Ale zaraz potem dotarło do niej, że to nie zasługa jej słów. Kobieta przerwała, bo zobaczyła coś na sali. Co?

Nina rozejrzała się. Taka pora, że wokół kręciło się dość dużo gości. Krążyli wokół stołów z podgrzewaczami z jajecznicą, parówkami oraz kiełbaskami. I kolejnych, z wyborem lokalnych sałatek, wędlin i ryb.

– Ale on starszy, żonę miał młodszą, a jeszcze się oglądał – powiedziała w końcu pani Fela bez poprzedniej energii. – W każdym razie już wyjechali, to było dawno temu.

Nina odniosła wrażenie, że rozmawiały o dwóch zupełnie różnych sprawach. Że wcale nie chodziło o mężczyznę, który interesował się jej wnuczką, tylko o dochowanie sekretu.

Dwa stoły dalej Cezary witał się z jakimiś gośćmi. Wyglądał dzisiaj na zafrasowanego. Zniknęły swobodne żarty, a rano, kiedy schodziła, wielkimi pięściami opierał się o kantorek. Nie zaczął jeszcze swojego zwykłego festiwalu grymasów, poklepywania po plecach, zaraźliwego śmiechu. Nina widziała w Mogielnickim twardego przedsiębiorcę, który na tym swoim cypelku świata – kilkadziesiąt lat temu bezpańskim – założył imperium i będzie go bronił do końca. Seria zabójstw była dla niego naprawdę niefortunna...

Zdawało się, że schudł w ciągu tych paru dni. Jego twarz poszarzała, pod oczami miał głębokie cienie.

– Wie pani, że Mogielnicki ze wszystkiego ma tutaj zysk – kontynuowała pani Fela, wyraźnie czytając jej w myślach. – Ze sklepu spożywczego, pensjonatu, przystani.

– Z przystani również?

– Tak. Połowa łodzi do niego należy, nie wiedziała pani?

– Nie.

– Dlatego tak często tam jest. Wynajmuje je w lecie. Ludzie z prywatnymi łodziami też muszą płacić. Nawet Niemcy tu trzymają swoje. Tamci – wskazała dłonią – przypłynęli wczoraj z Kamminke. Była tam pani?

– Nie.

– To na samym dole Uznamu. Taka miejscowość jak nasza, wcale nie większa, tylko że niemiecka. Niech pani tam pojedzie, nie pożałuje pani. Żeby z Berlina – zaśmiała się ochryple – tobym rozumiała. Ale z Kamminke? Łódź stoi w porcie. Pewnie zostaną tu parę tygodni. Mówią do mnie po niemiecku, choć rozumiem trzy po trzy.

Niemcy byli uprzejmi, ale rzeczywiście zwracali się do okolicznych mieszkańców po niemiecku, jakby w ogóle nie zakładali, że ktoś ich nie rozumie. „Niemców można było wtedy zabijać” – powiedział Gargała. Dziwne słowa, Nina nie miała danych, żeby zweryfikować, jak bardzo były prawdziwe. Przypuszczalnie Niemcy przyjeżdżali tutaj, bo było taniej. A może również czegoś szukali?

Jeśli tak – czy tylko korzeni?

A potem musiały przerwać rozmowę, bo Cezary jednak podszedł, żeby – a jakże – pogawędzić.

Pani Fela nie miała tyle tupetu, żeby dalej rozmawiać z Niną. Wstała i mamrocząc pod nosem, zniknęła na schodach. Chwilę później Nina także opuściła jadalnię. Udała się do swojego pokoju. Długo brała prysznic. Puściła sobie wodę zimną jak lód, tak jakby chciała się zahartować na ten dzień.

Dobrze zrobiła, bo jak tylko zeszła na dół, zobaczyła Jolę Kapińską. Świekra wpatrywała się w nią świdrującymi oczami, jak gdyby już uznała, że Nina jest kobietą upadłą, i szukała potwierdzenia. Jeszcze mniej spodobała się jej reakcja Mili. Na nic było mocne trzymanie za rękę. Milla urwała się, sprintem pobiegła w stronę matki i błyskawicznie się do niej przytuliła.

Nina pocałowała córkę w głowę, odnotowując, że mała pachnie jakimiś dziwnymi kosmetykami, pewnie szalenie drogimi, ale trącącymi naftaliną.

– Jak się bawiłaś? – zapytała.

– Dobrze.

Jednak trochę za szybko przybiegła, pomyślała Nina, walcząc z uczuciem satysfakcji. Milla spędziła z dziadkami ostatnią Gwiazdkę. Czy czuła się przy nich komfortowo? Dlaczego miałyby, skoro ona, jej matka, czuła się paskudnie. I wtedy, za czasów związku z Tomkiem, i teraz.

– Fajnie – dodała mała.

– A co robiłaś?

– Jadłam.

– Aha. Coś jeszcze?

– Czekałam na ciebie.

Poczuła w gardle gulę.

– Muszę do ubikacji – powiedziała Milla, zupełnie nieświadoma wrażenia, jakie jej słowa zrobiły na matce. Choć Nina już je znała, za każdym razem brzmiały równie mocno.

– No to biegnij. Poradzisz sobie?

– Tak.

Kiedy ucichł tupot małych nóg, przez chwilę spoglądały na siebie z Jolą.

– Jak się bawiłyście? – zapytała uprzejmie Nina.

– Dobrze, choć...

– Tak?

- Mała chyba niezbyt często przebywa z innymi dziećmi?
- Chodzi do przedszkola w Gorlicach.
- Czy teraz...
- Teraz nie chodzi – ucieła Nina. – Ale ostatnio codziennie.
- Co planujesz?
- Teraz?
- W ogóle. W życiu.

Interesujący zestaw pytań, pomyślała Nina.

- Pomyślę i dam ci znać – powiedziała.

I zamierzała odejść, ale nagle Jola wykonała ruch do przodu i mocno złapała ją za rękę.

Nina nie spodziewała się po niej takiej siły, może za siłą psychiczną zawsze szła fizyczna. Jak u Nemecka z Placu Broni...

– Nina, posłuchaj mnie teraz, starszej kobiety – powiedziała Kapińska. – Może mnie nie szanujesz i rozumiem to.

– Jola...

– Po prostu wydaje mi się, że uciekasz teraz w góry. Przypuszczam, że niezbyt dobrze wychowałam Tomka. Ale ty uciekasz, a to nie będzie miało końca. Pozwól nam uczestniczyć w życiu Mili. Przecież wiem, że możesz jeszcze wrócić, zawsze byłaś związana z Warszawą. W końcu nie będziesz już miała gdzie uciekać. Co ci zostanie?

– Słuchaj...

– Możesz zaprzeczać, ale zobacz. Od związku z Tomkiem uciekałaś w opiekę nad tatą. Potem uciekałaś w góry przed kłopotami w pracy.

– To nieprawda.

– A tutaj... od niczego i od nikogo nie uciekasz?

Nina zadrżała. Ale może to tylko przypadkowy strzał, który jednak okazał się celny.

– Pamiętaj, że jak wyjeżdżasz, to swoje kłopoty zabierasz ze sobą, nie pozbywasz się ich.

Chciała się oburzyć, ale powstrzymała ją nagła reminiscencja rozmowy w Bukowcach dwa miesiące wcześniej.

Jola pokiwała głową. Po chwili wróciła Milla.

– Chodź na śniadanko – powiedziała Nina, odwracając wzrok od matki Tomka.

Odeszły, a zaraz potem patrzyła, jak mała wcina zupę mleczną z makaronem, a później hotelowo rozgotowaną owsiankę.

Jadła dokładnie tak jak Tomek, z nisko pochyloną głową, trochę jak piesek. Geny: brały wszystko, co tylko chciały. Może nie charakter w tym przypadku, ale sposób jedzenia na pewno. Nina miała w związku z tym mieszane uczucia.

– Mamo? – Córka oderwała się na chwilę od chleptania.

– Tak?

– Widziałam coś u dziadków w telewizji.

– Oglądaliście bajki?

– Nie, telewizję... to znaczy, dziadek oglądał.

Nina się spięła.

– I?

– Mówili, że zabili...

– Nikogo nie zabili, kochanie – powiedziała szybko.

Zadrzała, a w głowie poczuła mętlik. Złość, wzburzenie, ale trochę i wstyd. Na kogo była zła? Na Kapińskich? Na siebie?

– Nikogo nie zabili – powtórzyła.

– To tak jak wtedy w Pyrowej?

Nina spojrzała na córkę, mimo wszystko zdumiona. Od czasu kiedy poległa na tym uprzedniego lata, udawał jej się ten fortel. Podział pomiędzy życiem osobistym i zawodowym. Utknęła w Gnieździe w zimie, oczywiście bez Mili, a po powrocie postarała się, żeby to wszystko ukryć.

Po tym, co zaszło w Pyrowej...

Mila samodzielnie udała się wówczas do nowo poznanej koleżanki. Wspomagając tym samym niechęć matkę w rozwiązaniu sprawy.

„Ona zawsze wymyśla”, tak wtedy powiedziała.

Co rozumiała przez hasło „śmierć”? Miała już prawie cztery lata, a jej słownik wydawał się rozbudowany. Jadła już „z apetytem”, „częstowała znajomych”, tata do niej „dołączał”, a mama była „policjantką”, choć jeszcze pracowała w „dowodzeniu”. Opowiadała dzieciom w przedszkolu w Gorlicach, że mama pracuje w policji, a w domu mają „pikolek”. Panie, lekko zażenowane, a trochę pod wrażeniem sławy Niny, wezwały ją wtedy na dywanik.

– Chodźmy poukładać puzzle – zasugerowała. A potem długo szukała w stosie wybrakowanych puzzli tych najbardziej łagodnych, z najbardziej pokojowym przekazem. Ale kiedy zmęczyły się już układaniem i czytała małej książki, przypomniała sobie o jeszcze jednej rzeczy, którą przywołało wspomnienie Pyrowej.

W Beskidzie mówiono o niej, że przynosi śmierć. Naiwne ludowe słowa, ale dziwnie trudne do usunięcia z pamięci.

17

Kacperski odebrał telefon i pojechał tam, gdzie mu wskazano. Za miasto, w plątaninę uliczek przed wjazdem na Wyspę Chrzęszczewską. Ta okolica ciągnęła go jak magnes. Właściciel baru tuż pod Kamieniem Pomorskim miał go przywitać na miejscu.

Na parkingu nie było żadnych samochodów. Kto tu gościł? Wszedł do budynku. W środku pachniało smażonym kotлетem i kapustą. Poczuł głód. Od przyjazdu jadł po swojemu, czyli prawie nic. W pracy głównie zupki chińskie; matka powiedziała mu ostatnio, że „szcerniał i wyszlachetniał” nad morzem.

Zawsze była bardzo elegancką kobietą, lubiła się wyróżniać i nie chciała mu mówić, że schudł. Dzwonili do siebie coraz rzadziej. Być może dlatego, że wiedział, że od dawna coraz bardziej zamyka się w sobie. Trwała w samotności i smutku, poddając się swoim najgorszym wrogom.

Wydawało mu się, że poznaje właściciela baru, że to jest człowiek, który prowadzi kantinę w więzieniu. Czy te zapachy pochodziły z „cateringów” dla zakładu? Pomyślał, że mężczyzna pewnie też go poznaje, ale nie komentuje tego w żaden sposób.

– No więc widziałem pańskiego człowieka ze zdjęcia – rzekł.

I czekał.

Kacperski nie miał wyjścia. Wyjął banknoty. Przemknęło mu przez głowę, że to przypomina hazard. Miękką łapa zgarniająca część jego policyjnej pensji.

– Kiedy to było? – zapytał.

– Lata temu. Szukał u mnie pracy. – Właściciel baru spojrzał badawczo na Kacperskiego. – Chciał być kierowcą.

– I?

– Nie dałem. Nie miał papierów, a musiałbym je przedstawić w zakładzie zamkniętym. – Mężczyzna nie krył się ze swoją pracą. – To jest trudna sprawa, rozumie pan.

Zamilkł znowu. Kacperski nie zamierzał jednak wydawać kolejnych pieniędzy.

– Co było dalej? – zapytał.

– Poradziłem mu, żeby pojechał do Świnoujścia. Załapał się do portu. Tam, wiadomo, lepiej.

– Dlaczego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Dużo się dzieje, jest sporo łatwo dostępnej pracy. Można iść na marynarza albo portowego.

– Skąd taka myśl?

– Nie przedstawił specjalnych kwalifikacji. Więc pewnie nie miał wyjścia.

– Widział go pan jeszcze?

– Nie. Nie widziałem. Ale dziwna sprawa z nim była. No zupełnie żadnych dokumentów... Jakby był poszukiwany! Ale może mam bujną wyobraźnię... To było tak dawno. Nie miałem jeszcze żony, a teraz jestem dziadkiem. No to po co podkomisarzowi ta cała wiedza? – zapytał bezczelnie.

– Dziękuję – odparł Kacperski i wyszedł, w drodze powrotnej zahaczając o hot doga z Żabki za 3,99.

Wracał jednak do Dziwnowa z przeświadczeniem, że coś ugrał. Więc człowiek, którego szukał, był jednak widziany w tych stronach. Może faktycznie powinien udać się dalej. Na zachód, w stronę Świnoujścia – ale ile tam się opcji otwierało. Świnoujście z gazoportami, flotą handlową i wojenną, manewrami wojsk NATO stanowiło polską furtkę na świat. Trudno mu będzie znaleźć zwykłego człowieka „bez kwalifikacji”...

Nawet nie zauważył, kiedy dojechał do Dziwnowa. Był wieczór. Kacperski zatrzymał samochód przy ulicy i nie wstępując do mieszkania, przeszedł parkiem na plażę. Wiatry hulały nad pirsem. Dobrze mu się tutaj myślało. Po niewielkim weekendowym zamieszaniu nie było śladu. Nikt nie będzie interesował się Dziwnowem aż do długiego weekendu majowego, no chyba że na Wielkanoc ktoś zjedzie, ale wątpił. Apartamentowce po drugiej stronie zatoki stały puste, w marinie panował spokój.

Był sam na plaży. Wzrokiem mógł objąć całą przestrzeń od Heringsdorfu po Pobierowo.

Nie, nie był sam, nie mógł być w większym błędzie.

Nie wierzył, że – prawie w tym samym miejscu co ostatnio – dostrzegł Elę Paidaki. Tylko że bez dzieci. Siedziała całkiem niedaleko, ale tym razem nie machała do niego. Przez moment wydawało mu się, że policjantka nie chce, by ją zauważył.

- To już drugi raz. Uznam, że mnie prześladowasz – rzekł, podchodząc bliżej.
- Chciałam zobaczyć morze.
- Wiedziałaś, że tu będę?
- Mężczyźni z jakichś powodów uważają, że świat się kręci wokół nich.

Wyjaśnij mi to?

- Być może tak jest.
- Nie bądź bezczelny.

Czekał jednak, czując, że nastąpi dalszy ciąg.

- Lubię tu przyjeżdżać, wiesz? Morze jest dla wszystkich.
- Myślałem, że o tej porze tylko dla mnie. Dlatego się tu przeniosłem.
- Biedaku. Co zrobisz latem?
- Jeszcze nie wiem. Co z twoimi dziećmi?
- Grzesiek ma dzisiaj wolne.
- Serio, w poniedziałek?

Skinęła głową.

- Gdzie pracuje?
- W policji.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie rób takiej miny. W drogówce. Tak się poznaliśmy.
- Czyli jednak łamałaś prawo.
- Nie, nie na drodze. W pracy – zaśmiała się. – Ech, chłopaki z drogówek.

Zawsze w ruchu, jeśli wiesz, co mam na myśli. A nie mam nic dobrego.

- Rozumiem.

Wciąż nie wiedział, dlaczego tu przyjechała.

– Dobra, chciałam zobaczyć morze, a nie Szymona Kacperskiego. Poza tym jesteś bardzo naiwny jak na dochodzeniowca.

- Dlaczego?

– Mam sprawę. Byłam u ciebie, ale twoja pani powiedziała, że poszedłeś na plażę.

- Moja pani?

– Taka wymalowana.

– To jest...

- Kacperski, nie stresuj się. Chociaż mówiłeś „babcia”, a to nie jest babcia.

W oczach miała jednak rozbawienie, więc nie kontynuował. Z kieszeni płaszcza wyjęła i wręczyła mu jakiś wydruk.

– Oto jest. Wygrzebałam ze wszystkich dostępnych archiwów. Spis Kajów, którzy tu kiedykolwiek żyli. Jest dla ciebie.

– Dzięki. A coś konstruktywnego z tego wynika?

Przelatywał wzrokiem tekst. Niemieckie nazwiska. Czuł się tak, jakby nagle znalazł się na cmentarzu. Jak niby miał coś z tego wyczytać?

Paidaki chyba zorientowała się w jego myślach. Pokręciła głową.

– Możesz się z tym bawić. Możemy się razem pobawić jutro, ale po tych wszystkich śmierdzących starością aktach musiałam się przewietrzyć. Siedziałam tam i karmiłam swoją alergię na kurz, żebyś ty miał tę czyściutką listę nazwisk. Jak to mówiłeś, że jest z tymi mężczyznami?

– Czy to nasz jedyny trop?

Spojrzał na gęsto zapisaną listę nieboszczyków.

– Zgadza się.

Poczuł rezygnację.

– Dziś i tak nic z tym nie zrobię. Mogłaś poczekać do jutra.

– Chciałam dziś.

Zapadła cisza. Paidaki uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Chryste, Kacperski, ty naprawdę myślisz, że przyjechałam się z tobą przespać. To, że jestem samotną matką, nie oznacza, że zaraz będę się rozbierać.

– Oszalałaś?

– Nie jesteś aż tak przystojny. No, może jesteś, ale nie w moim typie, że tak powiem, społecznie.

– Że z Poznania? – podjął grę, trochę wbrew sobie. – Nowy? Za głupi?

– Nie. Jesteś policjantem. – Przerwała. – I obiecałam, że nigdy tego nie zrobię.

– Komu obiecałaś?

– Sobie. Po prostu sobie obiecałam, to najważniejsza obietnica, jaką znam.

Zaśmiała się. Dopiero teraz dostrzegł małą, którą najwyraźniej usiłowała przed nim ukryć. Zaskoczyło go to. Przecież przyjechała samochodem. Przez chwilę wgąbiał się w zdradzieckie wieczko wystające z piasku.

Kobiety piły trochę inaczej niż mężczyźni. Dyskretnie. W samotności. Chociaż – coś o tym wiedział – równie destrukcyjnie dla rodziny.

Siedzieli blisko siebie, ale nie wyczuwał od Paidaki zapachu alkoholu. Przypuszczalnie nie powinna jednak jechać.

– Przepraszam – powiedziała. – Za ten tekst o rozbieraniu. Za łatwo dałam się kiedyś poderwać Grześkowi.

Kacperski wyciągnął rękę i wyjął butelkę z piasku. Była zakręcona, nieodpieczętowana.

– A jednak ktoś tu bywa – rzekł.

Nie odpowiedziała.

– Weź, bo ja nie piję alkoholu – kontynuował. – Napijesz się w domu.

Czuł, że porozumiewają się bez słów. Nie ruszyła flaszki.

– To może jednak się napiję – powiedział. – Skoro nieotwarta.

Spróbował: niedobre. Wstrętny cytrynowy wynalazek.

– Jak wygląda ten twój były? – zapytał. – Żebyśmy wiedział, komu dać w zęby, jak trafię na niego na komendzie.

– Nawet tak nie żartuj. Wysoki, przystojny. Jak mój synek. Jacuś pewnie będzie taki sam.

– Dlaczego się rozstaliście? To znaczy, przepraszam...

– Tak?

– Wybacz mi, ale to może przez tę śliwę, którą masz przysłoniętą włosami?

Spojrzała na niego, a potem sama podniosła grzywkę w górę. Zdawało mu się, że poczuł kokosowy zapach włosów.

– A jednak coś zauważasz, Szymon. Ale jesteś w błędzie, przecież jestem po rozwodzie. Dziecko mnie kopnęło przez sen – powiedziała. – Grzesiek mnie nie bił. Ale były inne rzeczy. Przede wszystkim rozwód to jest paskudna sprawa. Może w wielkim mieście ludzie się cieszą, nie wiem. Organizują się w nowe parki, te patchworkowe rodziny. Sprawiają, że to wszystko działa. W wielkich miastach może jakoś lepiej to sobie organizujecie. Ja bardzo, bardzo tego nie chciałam.

– Czego?

– Rozvodu, a czego.

Pokręciła głową, chyba na podkreślenie tych słów, i przez chwilę milczeli. Nie pił więcej. Nie miał ochoty. W ustach został mu wstrętny chemiczny smak cytrynowki i mieszał się z cudownym morskim powietrzem. Co za paskudztwo. Może jednak był lepszym człowiekiem, niż myślał, wlewając to w siebie.

– Posłuchaj, Kacperski, może to jest jakiś pseudonim – powiedziała nagle Paidaki.

– Co?

– No, Kaj. Gdzie jesteś, podkomisarzu?

Wolał nie odpowiadać.

– Naczytałaś się Folletta? – zapytał. – Chłopiec był pod wpływem, mógł wymyślić wszystko...

– Innego śladu nie mamy. Nie śmieję się ze mnie, próbuję myśleć – powiedziała i po chwili podjęła: – Mam jeszcze jedną uwagę, może nie do końca związaną ze śledztwem, ale też trochę...

– Tak?

– Może zadzwoń do niej.

– Do kogo znowu?

Ponownie patrzyła na morze i już nie miał pojęcia, o czym myśli. O pracy czy o swoim zrujnowanym małżeństwie? A może o tej małpce cytrynowki, która teraz spoczywała między nimi jak ich wspólne wyrodne dziecko.

– Do tej policjantki, która jest w Boleni – powiedziała. – Może coś wie.

18

Następnego dnia Nina wybrała się z Milą na wycieczkę, żeby obejrzeć żubry. Zagroda, gdzie je trzymano razem z kilkoma innymi gatunkami zwierząt, znajdowała się nieco powyżej Międzyzdrojów. Poza obsługą były tu z Milą tylko we dwie. Nawet zwierzęta: sowy i puchacze w wolierach, żubry, sarny oraz dziki, zdawały się zdziwione, oglądając ludzi o tej porze roku. Snuły się pomiędzy poidłem a ogrodzeniem, niezainteresowane turystami. Mila jakby trochę podłapała ten stan.

– Mamo, chcesz już jechać? – zapytała znienacka.

Jej czterolatka. Stawała się podobna do niej: smukła, ciemnowłosa, ale również ciekawska i niespokojna.

Jechały potem przez sam środek Parku Wolińskiego, w dół morenowych wzgórz. Dotarły do Międzyzdrojów, które zupełnie nie przypominały letniego festiwalu kiczu, z dyskoteką pod pomostem, grającą wyłącznie radosne disco polo. Zrozumienie fenomenu disco polo było jak zrozumienie drugiej połowy Polski i Nina sądziła, że od tego powinno się zaczynać.

O tej porze roku widziała głównie smutek miejsca czekającego na lepsze czasy.

Pomorze jeszcze nie obudziło się z zimowego letargu. Do pełni życia potrzebowało nie tylko pieniędzy, ale również energii dostarczanej przez tysiące spacerowiczów i letników. Wille na głównym deptaku, w lecie majestatyczne, w tym świetle wydawały się opuszczone i smutne. Budki i knajpy – stare i zaniedbane. To wszystko potrzebowało tłumy, nawet jeśli ten poruszał się głównie między lodami w pasażu przed molo, doner kebabem i figurą piéścjarza na złotówki.

Znalazły jednak coś otwartego – coś, co było stylizowane na stary bar mleczny. Nie przy głównej promenadzie, tylko kilkaset metrów dalej, bliżej centrum handlowego z Biedronką i Rossmannem. Wciąż słyszała tu głównie niemiecki. Mila bawiła się plastikowym widelcem, grzebiąc w mielonym z buraczkami, aż w końcu wydziobała wielką dziurę w papierowym talerzu.

– Chcesz jeszcze pojechać na wycieczkę? – zapytała Nina.

– Tak.

Zapłaciły za parking u smutnego strażnika (bo nawet o tej porze roku kasowano za parkowanie) i ruszyły na południe. Nawigacja skierowała je na szosę do Karsiboru. Nina musiała przeciąć drogę na prom, ale ciągnący się w dal sznur samochodów dzisiaj nie był jej problemem. Znudzona młoda policjantka, pilnująca ruchu na skrzyżowaniu, spojrzała na nie bez większego zainteresowania. Skierowały się prosto ku wyspie.

Na Karsibór jakimś sposobem można było przetrzucić most na przesłach i odsłonił im się widok na nabrzeże. Wyspa była wielką kępą traw; było to widać już z daleka. Kępą traw goszczoną przez Świnę na spółkę z Zalewem Szczecińskim. Po prawej stronie dostrzegły opuszczoną przystań, w której Niemcy ponoć cumowali okręty podwodne. A chwilę później Mila krzyknęła, bo na drogę wytoczyły się masywne i futrzaste zwierzęta o dziwnych pyskach. Nina dała po hamulcach i chwilę zajęło jej zrozumienie tego, co widzi.

– To dziki, maleńka. Nie denerwuj się.

Maciora i warchlaczki w ogóle się nie przejęły.

– Zobacz, one nie są niebezpieczne.

Mila milczała. Być może już stosowała zasadę ograniczonego zaufania względem nie tyle rzeczywistości i natury, ile swojej matki. Zwierzęta szły dalej poboczem, wydawało się, że wyszły z gospodarstwa na górcie, być może tam mieszkały. Nina spokojnie ruszyła dalej drogą zbudowaną z betonowych płyt, spomiędzy których usiłowały się wydostać zielone kępki.

Miała tylko informację z gazety, że tutaj, na Karsiborze, znaleziono zwłoki, i niezbyt precyzyjne dane od Kacperskiego... Podobno było to niedaleko rezerwatu ptaków. Nina podjechała na placyk i wysiadła. Po prawej stronie dostrzegła wypożyczalnię kajaków, tak przynajmniej głosił napis. A na dowód, że to nie ściema, o drewniany filar oparto trzy przegniłe, brudnożółte jedyńki, do których nie wsiadłaby nawet na Jeziorku Czerniakowskim.

Dalej, w głębi, stał jakiś budynek, nad wejściem wisiał szyld. Weszły. W środku zamówiła mętą herbatę, budząc chyba zdziwienie swoją obecnością. Mila wpatrywała się w poroża wystające ze ściany, zupełnie w stylu Hitchcocka. Wydawała się zaciekawiona, ale mocno trzymała matkę za rękę.

Przez średnio czyste okna Nina widziała stąd szare wody zatoki.

Zwłoki Michała Góralskiego znaleziono aż przy Wielkim Krzeku. To, zgodnie z mapką, kilka kilometrów dalej.

Trzecie ciało. Nie ostatnie, to już wiedzieli. Z gazet wiele można było wyczytać. Starszy mężczyzna przyniósł plastikową tackę z chybotającymi się naczyniami.

– Przepraszam, mam pytanie – podjęła.

Nie zareagował, jakby nie usłyszał. Zdejmował parujące kubki, dłonie lekko mu drżały. Komisarz Warwiłow nie dała za wygraną.

– To pan znalazł zwłoki?

Postawił kubki, a następnie przetarł twarz ogromną żyłastą ręką, jakby się zmęczył. Chyba naprawdę się zmęczył. Wysoka dziewczyna – zdaje się córka, miała podobne rysy twarzy, oczy i nos – która siedziała w kącie, zerknęła z pewnym zainteresowaniem. Po chwili wróciła do swojego telefonu, jakby pomoc ojcu nie była jej zdaniem potrzebna.

– Być może – odparł cicho.

Nie zapytał, skąd wiem, pomyślała Nina. Przyglądała mu się. Wrażenie, że się zmęczył, było spowodowane opadającymi powiekami, jakby działała tu jakaś nadzwyczajna siła grawitacji. Ramiona mężczyzny również opadały, jak przytłoczone życiem.

– Po co pani ta informacja?

– Tak tylko.

– Jest pani z prasy?

– Nie.

– Ale...

Przesunęła pieniądze na stole.

– Skąd pan wiedział, żeby tu szukać?

– Ta informacja nie jest na sprzedaż. – Przesunął pieniądze z powrotem.

– Czyli że jest informacja? – pochwyciła.

Zwitek pieniędzy leżał teraz między nimi. Kątem oka zauważyła, że córka trochę się ożywiła. Warwiłow mogłaby wyjąć szmatę, pomachać mu przed nosem stopniem komisarza. Patrzyła jednak na tę zmęczoną twarz, na tę „tawernę” wymagającą pilnego remontu, i nie potrafiła. Zwłaszcza po tym, co dodał po chwili.

– Jak pani chce, pożyczę pani kajak – rzekł, jakby to było najwięcej, na co go stać.

– Podziękuję.

– Czterdzieści złotych za dzień. Teraz jest promocja, poza sezonem.

W zamian można zginać w dziurawej jedynce, pomyślała. Mężczyzna, zrezygnowany, kiwnął głową, zdaje się – na znak zrozumienia. Też by nie popłynął. Promocja interesu się skończyła.

– To będzie dwadzieścia cztery złote, za herbatę.

– Już płacę.

Dopiła herbatę, wyjmując przedtem szczura. Kapał teraz z talerzyka na stół. Mila zaczęła się nim bawić, a Nina nie miała siły jej zabierać.

Wstała i spojrzała na mapę wiszącą przy oknie. Właściciel, wedle gazet Adam Rogosza, gdzieś zniknął. Bar opustoszał, a szare światło na zewnątrz przydawało mu atmosfery smutku, a zarazem pewnej przytulności. Choć było to blisko, latem nie dało się dotrzeć na miejsce zbrodni łądem. Cała jego przylegająca do wody część była rezerwatem ptaków. Morderca nie mógł przeciągnąć zwłok przez trawy, no chyba że namówił na spacer swoją ofiarę. Ofiara mogła oczywiście nie wiedzieć, że będzie ofiarą... wówczas potrzebny byłby pretekst...

Nagle poczuła się lekko senna.

– Miluś, chodź.

Mała zajęła się składaniem puzzli, które zabrała z samochodu. Połowa zostanie w tawernie, ale to nic. Do tego człowiek musiał się przyzwyczać. Najważniejsze, że dziecko potrafiło się sobą zająć; przydatna sprawa w przypadku samotnej matki pracującej w dochodzeniach.

Podeszła do niej. Pozostały trzy puzzle. Dwa, na ogonie zebry z zoo, zgubiły się bezpowrotnie.

– Jesteś w tym coraz lepsza – powiedziała.

Wyszły. Ale kiedy znalazły się koło samochodu i zaczęła wkładać małą do fotelika, usłyszała:

– Niech pani poczeka!

Wysoka dziewczyna wyszła za nimi, naciągając na siebie w pośpiechu polar.

– To, o co pani pytała... – zaczęła.

– Tak?

– Dlaczego to panią interesuje?

Nina nie odpowiedziała.

– Skąd pani jest? – dodała dziewczyna.

– Z Beskidu Niskiego – odparła. Sama się zdziwiła tą odpowiedzią. – Interesuję się sprawami kryminalnymi – dodała dla wyjaśnienia.

– Aha.

Chyba wystarczyło. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, tak? Zwłaszcza że już się pojawiły na stole. Ten sam zwitek Nina wciąż trzymała w kieszeni płaszcza. Wyjęła. Poznała po wzroku dziewczyny, że nie był imponujący.

Ale chyba tu nie chodziło tylko o pieniądze. Dziewczyna chciała porozmawiać. Chciała mówić, a nikt jej nie pytał.

– Jak zmarły znalazł się na wodzie? – zapytała Nina.

– Wypożyczył od nas łódkę.

– Rozumiem.

Tego nie wyczytała w gazecie. Czy milkliwy właściciel tawerny w ogóle powiedział o tym policji? Nina nie miała pewności. Od początku trzeba było rozmawiać z siedzącą w kącie córką...

– Kajak? – podjęła.

– Nie, motorówkę.

– Czy był tam z kimś?

– Nie.

– A czego szukał?

– On tu nie był pierwszy raz, proszę pani. Rozstawiał swoje żaki.

– Co takiego?

– O, te słupy, widzi pani. – Dziewczyna wskazała na wystające paliki. – Żaki. Ryby tutaj spływają. On kochał to, co robi, tak mówił... i powiedziałam „pożyczył”, ale w zasadzie to była jego motorówka.

– Co się z nią stało?

– Wróciła do przystani. Mówię „wróciła”, bo jestem prawie pewna, że przedtem ją brał. Ale, no, nie prowadziliśmy rejestru.

– Dlaczego?

– Od lat płacił za jej utrzymanie, za konserwację silnika, nowe części...

– Czyli jego plan dnia był znany?

– Pan Michał był bardzo regularny. Ci, co go znali, wiedzieli, gdzie jest... Tak było, jak pamiętam, w zasadzie od mojego urodzenia.

– To wyjaśnia... – mruknęła Nina, bardziej do siebie.

- Słucham?
- Przychodził sam? – Nie odpowiedziała na tamto pytanie.
- Zgadza się.
- Jak tam pływał, czy można go było zobaczyć od strony lądu?
- Nie, z tej strony jest rezerwat – odparła dziewczyna.
- Widziałam na mapce.
- Jest ścieżka, ale naprawdę trzeba wiedzieć, którądy iść. Zarośla ciągną się na kilometry.
- Czyli nie da rady?
- Wydaje mi się, że trzeba by znać teren. Nie wiem, czy ktoś jeszcze wie, jak tamędy iść. Można się zgubić. I jest bardzo dużo ptaków.
- A więc tylko woda... Z Karsiboru.
- Albo z Przytoni, proszę pani.
- Gdzie to?
- Po tamtej stronie zalewu. – Dziewczyna wskazała ręką na punkt od strony morza. – To nawet szybciej.
- Czy tu nie ma stałej straży? Jak na wielkich jeziorach, żeby kontrolować, kto tu pływa...

Nagle usłyszały dźwięk rozrywanego metalu. Nina rozejrzała się za małą. Mila wyszła z samochodu, przeszła przez podwórze i – zdaje się, już nieco znudzona – huśtała się na huśtawce. Ta skrzypiała niemiłosiernie, jakby miała skapitulować nawet pod tym niewielkim ciężarem.

Kiedy Nina z powrotem się odwróciła, zobaczyła już tylko tył głowy dziewczyny z baru.

Zawahała się. Powinna ją gonić? Dziewczyna przecież powiedziała, że wie, ile wie. I tak było już chyba za późno.

Wyjęła małą z huśtawki i z powrotem wsadziła do fotelika.

Telefon zawibrował, dopiero kiedy zamykała drzwi samochodu. Karsibór, mniej więcej tak samo jak Boleń, tylko sprawiał wrażenie położonego niedaleko świata. Może przez bliskość ze Świnoujściem. Tak naprawdę znajdował się na jego końcu.

Nina zabezpieczyła fotelik pasami. Spojrzała na telefon. Jedno nieodebrane połączenie: Szymon Kacperski. Chwilę się zastanawiała, czy próbować oddzwonić.

– Jak kocha, to poczeka – oznajmiła zniecierpliwiona Mila.

Przez chwilę Nina wpatrywała się w swoją córkę, całą zadowoloną w dziecięcym foteliku.

– Co powiedziałaś? – zaśmiała się.

– Babcia tak mówi.

– A, okej.

Lekkie rozczarowanie inspiracją, ale i tak poczochnęła Milę po głowie.

Jak kocha, to poczeka, mała ma rację, pomyślała Nina, odpalając maszynę i wycofując się z przystani. A zdaje się, że kochał miłością na wieki.

19

Zalew Kamieński skrzył się błękitem. Kilka łodzi już pływało w pobliżu Wyspy Chrząszczewskiej. Na oko niebezpiecznie blisko więzienia, jakby ktoś zamierzał przeprowadzić tu brawurową akcję w stylu Najmro. Kacperski wspomniał jeszcze raz rozmowę z Malewiczem pod dachem różowego budynku. Wiele osób próbuje zrzucić na innych swoje problemy. Ale on nie. Malewicz jasno i wyraźnie powiedział, że dom dziecka nie był winny jego kryminalnej drogi... a przecież każdy, zwłaszcza przestępca, lubi się tłumaczyć.

Więc przypuszczalnie rzeczywiście od początku błędził.

Chyba nie jest zbyt dobrym śledczym, stwierdził, przemierzając rynek w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Zaszedł w końcu do knajpy rybnej, licząc na świeżą flądę. Kelnerka spoglądała na niego z zainteresowaniem. W całym lokalu był jedyną osobą; teraz dziewczyna nie będzie miała nikogo przez następne trzy godziny. Przestrzeń, woda i perspektywa podbijały tylko tęsknotę za wielkim światem.

Kacperski otrzymał swoje danie, z frytkami i surówką, którą od razu odłożył na bok. Nie cierpiał warzyw i na szczęście nie musiał się nikomu z tego tłumaczyć. Zjadł połowę twardawej i bardzo słonej ryby, popił herbatą, a żując karbowane frytki, znowu zaczął główkować – jakby to żucie pobudzało szare komórki do działania.

Zapłacił, zostawił zbyt duży napiwek i zrobił sobie spacer. Przeszedł obok katedry z obrazem Cranacha, do której zaplatała się dziś grupka turystów. Kiedyś ją zwiedzi – tak samo jak ponoć kapitalne muzeum kamienia w Baszcie – powtarzał sobie od paru miesięcy.

Skierował się do roboty, ale skromny budynek komendy zaczynał go już drażnić. Skromne życie było w istocie trochę małym życiem. Karma dopadła go tutaj w postaci najbardziej krwawej sprawy w karierze. Pomyślał o karmie, bo może od początku nie miał w tym wszystkim dobrych intencji.

Na miejscu przywitał się z kilkoma osobami. Wyczuł trochę ruchu, jakby zbliżało się jakieś święto. Rozdał parę uśmiechów. Klęski na froncie śledczym zmobilizowały go, żeby zadbać o własny PR. Spotkał się jednak tylko ze

zdziwieniem. Było jasne, że życzliwość Paidaki nie oznaczała, że zaczęła się za nim wstawiać. Może sama musiała walczyć o pozycję.

Ktoś go jednak klepnął po plecach. W porządku. Przynajmniej nie było tu chamstwa. Wręcz przeciwnie, ludzie odnosili się do siebie uprzejmie. Komenda liczyła ledwie dwadzieścia pięć osób i przypominała małą rodzinę. A on, czarna owca, kolejny raz olał odprawę. Grał ostro, ale nie miał wiele do powiedzenia i nie miał ochoty na konfrontację swojej niewiedzy z twarzą Zembrzuskiego. Poza tym w obliczu morderstw nie miał czasu na wysłuchiwanie bzdur o nastolatkach palących jointy na nabrzeżu.

Fakty nie grały ostatnio w jego drużynie. Wciąż nie znaleźli osoby o imieniu Kaj, która mogłaby mieć jakikolwiek związek ze sprawą. Trzy litery to wszystko, co miał, i nawet nie wiedział, czy to jest imię.

Zrobił trochę miejsca na biurku. O tej porze nikt nie powinien do niego zaglądać. Mógł oddać się swojemu ulubionemu zajęciu – myśleniu. Może za rzadko to robił ostatnio.

Pociągnął łyk kawy z własnego ekspresu i zamknął oczy.

Zalew Szczeciński, tuż koło rezerwatu ptaków. Mieszkanie w Międzyzdrojach i klif na górze Gosań koło miasta. Tam, ledwie kilkaset metrów od zagrody żubrów, Włodzimierza Moszkę prawdopodobnie wleczono po lesie, żeby go na koniec z tego klifu zrzucić. Na to wskazywały zgniecione liście, ślady zapachowe, a nawet nitki z ubrania zmarłego.

No i teraz stadnina koni w Uninie nad Dziwną. Z jakiego klucza zginęła Podolska? Dlaczego zainteresował ją klif?

Wystarczyła chwila spokoju i przestrzeni dla myśli. Bo hipoteza, dosyć wariacka, szybko zaczęła formować mu się głowie. I w momencie kiedy kładł pod nią fundamenty, wszystko zostało przerwane...

Telefon rozdzwonił się na biurku jak upierdliwy intruz ze świata. Kacperski nie cierpiał, jak ktoś przeszkadzał mu w myśleniu, potem tak trudno mu się wracało. Kiedy udało mu się złapać rytm, stanowią maszynę; w chaosie był w rozsypce. I naturalnie w telefonie odezwał się ten, którego Kacperski przywołał w myślach.

– Zapraszam – powiedział Zembrzuski.

Przeszedł kilkanaście metrów. Gabinet naczelnika był tylko jakieś półtora raza większy od jego, ale miał charakter. Nie byle jaki.

Na regałach, zasłaniając trochę raporty, stały wędkarskie „ordery” Zembrzuskiego: zdjęcie z sumami, z jakimiś ludźmi, pewnie innymi wędkarzami. To on powinien wyławić ciało Góralskiego z Wielkiego Krzeku. Dalej: Zembrzuski w zielonej kamizelce, *à la* bieszczadzki myśliwy. Leżała na nim jak ulał.

O rybie ze zdjęcia rozmawiali już pierwszego dnia.

– Największy w Polsce – chełpił się Zembrzuski, a Kacperski zastanawiał się, czy ktoś to zdołał zweryfikować. Ryba nie wyglądała na aż tak wielką, ale w sumie się nie znał.

A może wszyscy wiedzieli, że to kłamstwo. Kto powie prawdę szefowi małej komendy? To się sprawdzało w większości miejsc i branż: nieważne, jaka jest prawda, ważne, co szef ma na biurku... Również rodzina Zembrzuskiego miała tu swoją reprezentację. Sześcioro dzieciaków, w większości wyglądających jak Zembrzuski. Żony Kacperski nie dostrzegł, być może szefopodobne dzieci ją przesłoniły.

– Słyszałem, że grzebiecie w przeszłości – zaczął naczelnik. – To znaczy poszukujecie jakichś Niemców.

– Zgadza się. Jakichś Niemców. Niestety lepiej bym tego nie ujął.

Zembrzuski przez dłuższą chwilę gapił się w niego intensywnie, a potem nagle pokręcił głową.

– Mówiłem ci...

– Żebym bardziej pogrzebał? – powiedział niecierpliwie Kacperski.

– Tak.

– I właśnie wszedł ten trop. Chłopak usłyszał...

– Wiem, co usłyszał. – Zembrzuski obrócił się na krześle. – Ale młody, nie podpalaj się aż tak.

Kacperski przełknął zniechęcenie. Być może w wieku trzydziestu kilku lat to już zaczynał być komplement.

– Zróbmy krok wstecz. Bo zaraz wszyscy będziemy mieli kłopoty – kontynuował Zembrzuski. – Już nawet nie komenda wojewódzka się zainteresowała, ale centrala, coś o tym wiesz, prawda?

Milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Nie wiedział, czy Zembrzuski pamięta jeszcze, że przyjechał tu z Poznania.

– Oczywiście to musiało nastąpić. A moment wbrew pozorom nie jest dobry. Ludzie robią plany na wakacje. Załatwiamy sobie fatalny wizerunek przed

sezonem... jeśli tego nie rozwiążemy, nikt tu nie przyjedzie. Skala odpowiedzialności jest większa, Szymon. Wiele osób nie zarobi na chleb.

– Chwila – rzekł Kacperski. – Nie za wiele ode mnie oczekujesz? Jestem tylko policjantem.

– Nie wiemy nawet – kontynuował Zembrzuski – jaki sprawca ma *modus operandi*?

– Cała wyspa, duża mobilność, tradycyjne metody, czyli nóż. Większość rzeczy już wiesz.

– Cała wyspa... Nie wiadomo, czy zaatakuje na Karsiborze, czy może na deptaku w Międzyzdrojach? W środku dnia? Wieczorem? Kto odpowie, jeśli zaczną rżnąć gości w Świnoujściu?

– To już znam. Przecież dom dziecka...

– Daj spokój, Szymon! To przestała być przesłanka w tej sytuacji. Nie pierdol mi tutaj o domach dziecka.

Głos podniesiony, ale oczy zimne. Jasne, że były kłopoty. Ale czy można go było oskarżyć o nieudolność w takiej sprawie? Na komendzie liczącej dwadzieścia parę osób, gdzie w wydziale kryminalnym pracowało pięć?

Zobaczył to jak na dłoni. Wpadka, czyli okazja, żeby wsadzić go sobie pod but. Okazja, żeby zdominować nowego podwładnego... I Zembrzuski zamierzał ją wykorzystać.

– Co ja mam z tobą zrobić? – zapytał po chwili łagodniejszym już tonem, używając słów, które w psychologii dawno zostały określone jako przemocowe. Oczywiście ten ćwok nie mógł mieć o tym pojęcia. Kacperski milczał, czekając na bieg wydarzeń. Wydawało mu się, że ogląda film, który dobrze zna.

Mylił się.

– Nie masz koncepcji – dodał spokojniejszym tonem Zembrzuski – i jeszcze jeździsz po spelunach i wypytujesz o jakieś zdjęcie.

Kacperski przełamał lekkie zaskoczenie.

– To są moje prywatne...

Błąd; zrozumiał, jaki to błąd, jak tylko wypowiedział literę „e”.

– Prywatne? Narażasz na śmieszność całą komendę. Nie zaczynaj mi teraz tutaj... No po prostu mnie nie wkurwiał.

Zadzwoił telefon. Szef z roztargnieniem pomacał się po wielkich pomarszczonych spodniach. W końcu wyjął poobcierany stary smartfon, zdaje

się, że samsung. Wszystko w Zembrzuskim było lekko poobijane, jakby miał przeszłość wykidajły w barze pod Kamieniem.

Telefon telefonem, jednak największe wrażenie zrobił teraz na Kacperskim widok twarzy szefa. W miarę rozmowy czerwieniała coraz bardziej, jak balonik ze straganu za pięćdziesiąt groszy.

Inspektor zakończył rozmowę i przez chwilę milczał.

– Jest kolejne morderstwo – powiedział.

Kacperskiemu zaschło w gardle.

– Gdzie?

– W Boleni.

20

Poranek w Boleni. Szary i piękny, z wiatrem i deszczem. Każdego dnia Nina coraz bardziej lubiła ten las, ten park. Był inny niż Beskid Niski, mniej dziki, ścieżki były porządnie utwardzone. Za to rozmawiał z człowiekiem w sposób absolutnie unikalny. A może to zalew, za pośrednictwem drzew, chciał jej coś przekazać.

Trzy, cztery, pięć, osiem kilometrów. Mięśnie, jak dobrze naoliwiona maszyna, każdego dnia ciągnęły ją dalej. Minęła już niebieskie jeziora o kredowym podłożu. Minęła też zabudowania. Wbiegła z powrotem do lasu, a potem wracała klifem ścieżką tak wąską, że mieściła tylko jedną osobę. Mimo wszystko czuła się bardzo pewnie. Po tych kilku dniach nikt już na nią nie zwracał uwagi. Myślała o lodowatym prysznicu, którym opłucze się po powrocie. Kiedy człowiek odważył się na to po wysiłku, to było lepsze niż seks, uzależniające.

Biegła, ale kiedy to dostrzegła, bezwiednie zwolniła. A na końcu już po prostu szła.

Pod murowanym domkiem, niewielkim, ale dość zgrabnym i z zadbanym obejściem, dostrzegła spory tłumek. Spojrzała na zegarek. Nie przywidziało jej się ani nie śniła, o tej porze nie powinno być tu ludzi. Poza tym знаła ten cywilny samochód. Z tyłu dostrzegła też radiowozy.

Stąpiła dalej, pełna napięcia. Dotarła do zbiorowiska i przedarła się do przodu; ktoś złapał ją za ramię. To był posterunkowy, nadgorliwy...

– Proszę pani. – Wszedł do przodu.

– Komisarz Warwiłow – warknęła.

Nie kontrolowała tych słów, powiedziała to nieco wbrew sobie. Takim tonem, że młody człowiek odsunął się, zaskoczony. Odnotowała, jak z niedowierzaniem ogląda jej strój sportowy, opięty legginsami tyłek.

I wtedy właśnie zobaczyła Kacperskiego.

Był blady i nie wyglądał tak świeżo jak pierwszego dnia. Praca dopadła w końcu „młodego” człowieka. On również ją zauważył, ale po tamtym błysku w oku nie pozostał ślad.

– Co tu się dzieje... To znaczy, kto tutaj mieszka...

Wypowiadając te słowa, już wiedziała, że zna odpowiedź. Że zna ten domek. Przypuszczalnie przebiegała obok niego wiele razy, nie dostrzegając go. Ale ktoś jej go pokazywał na zdjęciach. Podsunęto jej pod nos ekran smartfona, tak że musiała oglądać. To było ledwie parę dni temu.

Kacperski rzucił jej badawcze spojrzenie. Dotarło do niej, że już nie zobaczy tej dobrotliwej twarzy, miłego uśmiechu i – może przede wszystkim – nie usłyszy tych z pasją opowiadanych historii. Radiowęzeł miasta na klifie został zlikwidowany.

Przez głowę przeleciało jej nagłe wspomnienie. Nie po raz pierwszy widziała zwłoki lokalnego gaduły.

– Przecież tu mieszka... – Zawahała się.

– Znałaś ofiarę?

Nie zareagowała.

– Nazywała się Felicja Ostapowicz – rzekł Kacperski, zaglądając do jakichś notatek.

– Pani Fela.

Stali na wietrze. W środku prawdopodobnie pracowała już ekipa techniczna. Kacperski przyglądał się Ninie z ciekawością.

– Kojarzysz ją? – podjął.

– No, powiedzmy – mruknęła.

– To znaczy?

– Zagadywała mnie w Szumach.

– Tam pracowała?

– Tak. I sporo mówiła.

– O czym?

Chciała mu odpowiedzieć, w głowie poczuła jednak nagłą pustkę. Na pewno było coś o córce, wnuczce. Dlaczego automatycznie wyłączała się, kiedy pani Fela do niej mówiła? Są tacy przymuszający rozmówcy. Być może zadziałał tu mechanizm samoobrony. A może drażniło ją, że umniejsza zasługi innych ludzi i mówi dobrze tylko o własnej rodzinie? W ten sposób z pani sprzątającej stawała się kimś w rodzaju akuszerki „ogromnych sukcesów” odnoszonych przez potomków.

Kacperski bacznie jej się przypatrywał.

– W tej chwili nie wiem. Ale wróci.

Zobaczyła rozczarowanie na jego twarzy. Całe szczęście, bo hołdy podczas ostatniego spotkania były trochę irytujące. Czas, by zmierzył się ze smutną rzeczywistością.

Stali już parę minut. Zbliżał się czas decyzji. Czy przystąpiła już do śledztwa? A może śledztwo przyszło do niej, do Boleni? Śmierć krążyła nad tym miejscem jak mewy nad morzem. Aż w końcu przyszła. I być może zamierzała się rozgościć.

Z domu wyszło kilka osób.

– Podkomisarzu... Szymon. – Przypomniała sobie, że byli po imieniu.

– Tak?

– Czy mogę ją zobaczyć?

– Myślę, że tak.

Zrobił jej miejsce, weszła do środka. Była spocona, niepięknie też pewnie pachniała. To, co się działo w tym domu, docierało do niej jak przez mgłę. Była tu, ponieważ w swoim zawodowym życiu zajmowała się właśnie morderstwami i znała się na nich całkiem dobrze.

Wnętrze domu wcale nie było takie schludne. Dwa bardzo skromne pokoje. Zniszczone szafki, odrapane, pożółkłe sprzęty kuchenne. Więc tak mieszkała pani Fela? Czy jej córki o tym wiedziały? Czy piła? Nie, po prostu była niezamożna, nie zarabiała kroci, nie miała na remont. Mityczne córki może nawet tu nie zaglądały – choć pewnie zainteresuje je niedługo domek nad Zalewem Szczecińskim.

Szli, ale wciąż nie widziała ciała. Rzuciła Kacperskiemu pytające spojrzenie.

– Dalej – powiedział cicho.

Po chwili zrozumiała. Ciała nie było w domu, dlatego nie czuła zapachu trupa. Z tyłu znajdowało się wyjście do wewnętrznego ogrodu – trochę w stylu brytyjskim. Dostrzegła nieuprzątnięte liście, pamiętające jeszcze jesień. A w rogu, z twarzą w tych mokrych liściach, leżała kobieta w pomarańczowej podomce.

Wydawała się malutka, znacznie mniejsza niż w Szumach. Nina nie czuła tego, gdy pani Fela siadała obok niej. Podeszła bliżej i kucnęła. Z tyłu głowy kobieta miała głęboką ranę.

– Duża siła – mruknęła.

Wstała i rozejrzała się.

- Morderca wszedł tu z domu – wtrącił Kacperski.
- Albo na nią czekał.
- Tutaj?
- A dlaczego nie? Nawiasem mówiąc, czy coś zginęło?
- Nie wiemy. Trzeba spytać... właśnie, kogo?

– Miała córki – powiedziała. – Miała córki.

Żeby tylko przyjechały na pogrzeb, dodała w myślach.

– Sporo pracowała w ogrodzie. Morderca czekał tu na nią, ale myślę, że wszedł inaczej. Przecież z drugiej strony domu ludzie mają widok. Mała miejscowość, jedna ulica. Inaczej – powtórzyła.

Przeszła się po ogrodzie.

– Może to było przeprowadzone na dwa razy – dodała.

Kucnęła, przejeżdżając dłonią po zmurszałym płotku. Starła się zrobić to dokładnie, na opuszkach pozostał jej zielonkawy osad.

– Tutaj. – Wskazała. – Tutaj i z drugiej strony będzie potrzebna analiza traseologiczna.

Kacperski wyglądał, jakby nie w pełni nadążał.

– Skąd wiedziałaś, że często bywała w ogrodzie?

– Powiedzmy, że wiedziałam.

– Ale...

– Przygotowywała grządki po zimie – powiedziała ponuro.

– Więc morderca czekał, bo również znał...

– Słuchaj, skoro ja wiedziałam, to i cała Boleń, tym bym się nie przejmowała i jakoś bardzo nie poświęcała czasu. Można by spytać sąsiadów, czy niczego nie słyszeli, ale...

– Więc to była zaplanowana zbrodnia.

– Wiele na to wskazuje. Oczywiście nie muszę mieć racji – powiedziała. – To jest tylko teoria, prawda?

– Trzymałbym się jednak hipotezy, że mogła mieć jakąś kompromitującą informację...

– Nie jestem pewna – weszła mu w słowo Nina. – Ale dobrze, postaram się pomóc. O ile mi na to pozwala moje tygodniowe doświadczenie. Pani Fela pracowała w Szumach. A także... – przerwała i na chwilę pogąrzyła się w myślach – z pewnością jeszcze w jakichś domach.

Kiwnął głową i widziała, jakim torem biegną jego myśli.

Może nie chodziło o to, co ta kobieta mówiła. W końcu głównie opowiadała o swoich córkach i wnuczkach – które, notabene, trzeba będzie sprawdzić. Może chodziło o to, co widziała. Co mogła zauważyć, sprząając różne zakamarki. Co ludzie kryją w szufladach, sądząc, że to bezpieczne. Brudne i kompromitujące sekrety w ich przytulnych domkach, w czerwonych pluszowych kanapach z przetarciami, w kuchniach z Ikei i barkach załadowanych koniakiem i brandy.

– To się łączy. To się musi łączyć – powtórzyła.

– Mamy już pięć zbrodni. Zamordowano opiekunów i wychowankę domu dziecka. No i teraz sama Boleń. Miejsce, gdzie to wszystko się zaczęło.

– Co zamierzasz? – Skierowała na niego spojrzenie.

– Tutaj mamy jakieś skrawki informacji, tam zaś trzy litery.

– Jakie trzy litery?

Odsunęli się już od ciała. Zaczynała marznąć. Mokra koszulka lepiała się i nie chciała schnąć. Zmieniała się z zimnej w zwyczajnie lodowatą.

– Kaj.

Wpatrywała się w niego.

– Co powiedziałaś?

– Kaj. Wiem, to nic nie znaczy. Więc szukamy obecnie po imieniu, czyli z krótkim „i” na końcu.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Musisz pójść ze mną – powiedziała.

– Gdzie? Kiedy?

– Teraz.

Wyszli z domu i zręcznie przeszli przez policyjny, a następnie cywilny tłumek, który który mimo wczesnej pory wcale nie zamierzał rzednąć.

Teraz dopiero się zacznie.

Skierowali się na nabrzeże. Schodzili, a za nimi, z sobie znanych powodów, wędrował młody posterunkowy, który przedtem wystawał pod domem. Dalej czujnie obserwował Ninę, jakby miała go wykiwać. A może chciał się czegoś nauczyć.

Miała wrażenie, że zna drogę lepiej od Kacperskiego. Prowadziła go wybetonowaną ulicą w dół. Następnie, już po płaskim – pomostem z postępujących szarych desek. Doszli na sam koniec.

– Tutaj – oznajmiła. – Właśnie tutaj widziałam tę łódkę. Na burcie miała nazwę „Kai”. – Przeliterowała to.

– Do kogo należała?

Rozłożyła ręce.

– Miała tylko ten napis. Nic więcej. A potem...

– Co się stało?

Wspomnienie wesela. Ledwie parę dni temu, a wydawało się tak dawno.

– W trakcie wesela poszłam się przejść.

Nie zamierzała wyjaśniać dlaczego, a Kacperski na szczęście nie zadawał głupich pytań.

– Po prostu jej nie było. Zniknęła.

Milczenie.

– Powiedziałaś, że była stara.

– Tak, ale sama nie zniknęła.

– Zaczumowano ją?

– Nie pamiętam. Ale wątpię, żeby tak sobie niezauważenie poszła na dno.

– Może na złom?

– Nie mam pojęcia.

Kacperski wlepił w nią wzrok.

– Wiesz, do kogo należy ten pomost?

– Tak.

– Chodźmy.

To nie było pytanie, bardziej polecenie. I w takim wydaniu – śledczego, a nie uczniaka patrzącego na nią z psim podziwem – znacznie bardziej jej się podobał.

Cezary Mogielnicki nie wyglądał na zdziwionego. Nawet jej strojem. Król zwyczajnie musiał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w jego miasteczku.

– Do mnie przyszlście w pierwszej kolejności.

Brak odpowiedzi.

– Ona była u mnie tylko zatrudniona, nic więcej nie wiem – dodał.

Przypuszczalnie niezgodnie z prawdą. Zatrudnienie powinno być jawne, w zgodzie z prawem – a tymczasem pani Fela, jak większość osób w gastronomii, zapieprzała na czarno.

O sile Mogielnickiego świadczyło to, że w ogóle nie przejmował się takimi rzeczami.

– Na samym końcu pomostu widziałam pewną łódkę.

– Jaką? Powiesz coś więcej?

– Z wymalowanym napisem „Kai”.

Obserwowała go.

– A teraz jej nie ma – dodała.

– Naprawdę?

– Czy pomost nie jest twoją własnością?

– Nie do końca.

– Nie rozumiem.

– Jestem jego agentem.

– Do kogo należy?

– Do państwa. – Pokręcił głową. – A poza tym po prostu nie wiem, o jaką łódkę ci chodzi.

– Przecież pobierasz opłaty.

– Ale ludzie i tak parkują na dziko. To spory kłopot. Nie kontroluję tego, zwłaszcza poza sezonem. Inaczej nic innego bym nie robił.

– Dlaczego?

– Musiałbym zatrudniać ludzi. Nie mam nikogo, kto by tego pilnował. Nie stać mnie. To mi się nie opłaca. Jak pewnie wiesz, mieliśmy teraz w rodzinie inne koszty.

Zdziwiły ją te słowa, choć nie aż tak bardzo. Jakby stracił wszelką delikatność. A może już nie musiał się wysilać, bo przestała być tu na prawach gościa.

– Jeszcze raz: jak ona wyglądała? – podjął.

– Żagle spuszczone, mała, stara łódka, wielkości nie wiem, nesz?

– Czyli to był nesz?

– Nie wiem, nie jestem specjalistką. I nie zrobiłam zdjęcia. Wielkości nesz, z tego, co pamiętam i się orientuję. Czyli nie tango ani sasanka.

– Tango jest nowszym jachtem, a jeśli mówisz, że łódź była wyraźnie stara... Dlaczego to was interesuje?

Nina spojrzała na Kacperskiego, ale ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

– Po prostu interesuje.

– Naprawdę nie wiem. Może ktoś ukradł. Bylibyście zdziwieni, co ludzie potrafią odmontować z łajby. Mówię zupełnie poważnie... raz...

– Nie teraz. – Kacperski wszedł mu w słowo. Zdaniem Niny to błąd. Zawsze trzeba było pozwolić ludziom mówić. – Chcielibyśmy zobaczyć rejestry.

Żałowała, że Mogielnicki nie dokończył, ale to nie było jej poletko.

– Moim zdaniem tego tam nie ma, ale dostaniecie, co mam. A z pamięci po prostu nie wiem – oznajmił zimnym tonem.

– I nie kojarzy pan.

– Nie.

Nie wiedziała, co widzi Kacperski, ale znała Mogielnickiego od tygodnia i zrobiła z nim to, co z każdym. Bacznie obserwując, stworzyła sobie w głowie jego portret psychologiczny. Zawsze tak robiła, nie umiała tego zatrzymać, to było silniejsze od niej, jakby miała drugi umysł.

Teraz również tworzyła sobie obrazek; na podstawie drobnych gestów, napięcia ciała, trzasków w wyłamywanych palcach. Jak wtedy, kiedy usiłował przekonać żonę, że stan alkoholu w barze jest tak niski, bo poprzednio go nie zliczono. Połowa sali słyszała tę rozmowę.

Jednym słowem, widziała teraz, że Cezary Mogielnicki kłamie jak z nut.

21

Warwiłow i Kacperski szli przez Boleń. Szymon odnosił wrażenie, że okna domów obserwowały ich, tak jakby miasteczko było jakimś żywym organizmem. Szli ramię w ramię, komisarz Nina Warwiłow i on, Szymon Kacperski, jakby byli równi. Przypomniawszy sobie otłuszczonych, zmęczonych życiem dochodzeniowców w Poznaniu. I to, jak obchodził równie zmęczone życiem blokowiska na Jeżycach w poszukiwaniu człowieka, który sprzedawał dzieciakom oregano. Z punktu widzenia estetycznego i każdego innego jego partnerstwo skoczyło więc trzy półki wyżej.

– Być może przed wojną mieszkał tu jakiś Kai – powiedział.

– I co się z nim stało?

Kacperski wzruszył ramionami i postawił kołnierz płaszcza, żeby się choć trochę osłonić od wiatru znad zalewu.

– Od kogo zaczynamy? – zapytała.

– Chyba od pani Feli.

Spojrzała na niego z pewnym zaskoczeniem.

– Nie wiedziałam, że cię na to stać.

W którym roku pracy w dochodzeniach pojawiał się czarny humor? Kacperski nie zapisał się jak niektórzy, zwłaszcza bohaterowie polskich filmów o policjantach. Ale zbrodnie pozostawiały w nim inny ślad.

– Sam nie wiedziałem. – Zerknął na notatki, dostarczone mu w międzyczasie przez Elę Paidaki. – Mam listę domów, w których pracowała. I adresy.

– Ta twoja partnerka to skarb. Gdzie ona jest?

– Na komendzie, szuka dalszych informacji.

– To mi się nie podoba, Szymon.

– Dlaczego?

– Powinna być tu z tobą.

– Jeszcze nie dotarło, że jestem twoim fanboyem?

– Moim, a powinieneś być wszystkich funkcjonariuszek.

– Walczysz o prawa kobiet w policji?

Zerknęła na niego, żeby sprawdzić, czy udało mu się zachować kamienną twarz. Udało się.

– Może kiedyś. W dawnych czasach, kiedy pracowałam w wielkim mieście, a nie w powiecie wielkości Gocławia. Co nie oznacza, że mi nie zależy.

Zerknął na nawigację w telefonie.

– Chyba jesteśmy. Piotr i Barbara Dombrowiczowie.

Dom wyglądał na zadbany. Warwiłow zatrzymała się jednak i chyba się zawahała.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Byłam już tutaj. To znaczy na herbacie.

– Rozumiem. – A po chwili uzupełnił: – Nie musisz się tłumaczyć.

Wydawało mu się, że Nina chce zrezygnować. Byłoby mu to bardzo nie na rękę, z wielu powodów. Już okazała swoją przydatność z tą historią z łódką. Coś się zaczęło kleić, z jej wyraźną pomocą.

– Słuchałam tutaj różnych pokręconych historii – powiedziała.

– Więc teraz ja będę zadawał pytania.

Milczała, więc dodał:

– Czy masz wyrzuty sumienia?

– Tak.

Zdziwiła go taka prosta odpowiedź. Stała w sprzeczności z opowieścią o maszynie śledczej z kapitalną pamięcią, bo przecież i tak o Ninie mówiono. Złośliwi twierdzili też, że wykorzystuje urok osobisty, żeby osiągnąć sukces w sprawie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby samemu posiadać te cechy. Ludzie byli gotowi powiedzieć więcej, niż zakładali niektórzy troglodyci zatrudnieni w policji. Ale jakoś trzeba było do nich dotrzeć.

Weszli.

Wpuściła ich drobna kobieta. Barbara Dombrowicz. Wyczuwał napięcie i trochę żałował, że Nina już tu była. Bo trudno było odgadnąć, czy to właśnie jest powodem napięcia, czy coś całkiem innego. W końcu wielu morderców zdradzało się już na starcie... Usiedli i z ciekawością spojrzeli na barczystego mężczyznę, znanego w okolicy z zamiłowania do średniowiecznych łuków. Osiągnął w tej dziedzinie tytuł mistrza świata. Przypuszczalnie żeby być mistrzem świata w czymkolwiek, trzeba było się wykazać. Nie przypadkiem na honorowym miejscu na ścianie wisiał właśnie łuk.

Szkoda, że zbrodni nie dokonano z tej broni, to zdecydowanie usprawniłoby śledztwo.

– Jakie to drewno? – zapytał i poczuł z jednej strony zaskoczenie Warwiłow, a z drugiej, że napięcie odrobinę opadło. Wolał, jak ludzie byli rozluźnieni i mieli poczucie komfortu. Jak byli gadatliwi, a nie milczeli wrogo. Pojawiała się wówczas przestrzeń dla błędów i nieścisłości w zeznaniach.

– Cis. To może być tylko cis. Tak jak dawniej – odparł Dombrowicz.

– Można wycinać?

– Nie, nie można. Kupny kosztuje krocie i oczywiście to nie jest to samo.

– Gdzie się taki zamawia?

– W internecie.

– Gotowy do obróbki?

– Sam przygotowuję. – W spojrzeniu Dombrowicza była niemalże pogarda. – Ale budulec nie jest ten sam...

– To znaczy?

– Kiedyś łucznicy szukali samotnych, wolno rosnących drzew. Takich, które dorastały w niesprzyjających warunkach, bo one były najsilniejsze...

– Tak jak z ludźmi.

– Być może. Obecnie zamawia się przez internet i nawet nie wiem, skąd jest ten cis. I tak jest najlepszy z dostępnych materiałów.

Kiwnął głową. Na stole pojawiła się już herbata. Nikt jej nie pił; stygła jak eksponat.

– Jesteśmy tu po to...

– Wiemy, po co jesteście.

Barbara Dombrowicz rzuciła szybkie spojrzenie na męża.

– Pani Fela, ona tu tylko przychodziła... pomagać nam, to znaczy...

Kacperski zerknął na Warwiłow. Skrzyżowanie tragedii z komedią. Gospodyni, jak wiele kobiet w Polsce, wyraźnie wstydziła się przyznać, że ma kogoś do pomocy w domu.

– Basia. – Warwiłow zniechęca nachyliła się w jej stronę. A więc były po imieniu, dobrze. – Trudno mi w to uwierzyć. Ja również rozmawiałam z tą kobietą. Kilka razy. Więc nawet gdybyś założyła sobie stopery...

– Wiem, dlatego z nią nie rozmawiałam!

Kacperski był ciekaw, kiedy do kobiety dotrze, że to nie jest opłacalna strategia. Sugerowała też drugie pytanie.

– W takim razie może coś słyszałaś?

– A może ty, Nina, nam opowiesz, skoro tyle wiesz.

Zapadła cisza.

– Przepraszam, za dużo się dzieje – powiedziała Dombrowicz.

– Spokojnie. Opowiem. To były głównie historie o córkach i wnuczkach. O tym, jak im się świetnie powodzi, jak...

Warwiłow przerwała nagle.

– Nie.

– Słucham?

– Nie zamordowano jej za historie o córkach i o wnuczkach. Zamordowano ją z zupełnie innego powodu.

– Jakiego?

– Związanego z zabójstwami wokół domu dziecka.

Kacperski wpatrywał się teraz w Piotra Dombrowicza. Ten wyraźnie się usztywnił.

– Zgadza się z komisarz Warwiłow, że nie chodzi o jej rodzinne opowiadki. Ale mogły to być historie o mieszkańcach – dodał Kacperski. – Jakieś paskudne opowieści, coś, co mogłoby w jakiś sposób komuś zaszkodzić, kogoś skompromitować...

– Nic o tym nie słyszałam.

Mąż również zaprzeczył. Pokręcił głową jak gigantyczna marionetka.

Warkoczyki, broda, łuk na ścianie. Wszystko przesadzone, niczym z komiksu.

Przedstawienie – w to właśnie tutaj grali. Uparcie i zawzięcie odgrywali sztukę teatralną, nie przerywając ani na chwilę. Pytanie, czy dla siebie, czy dla innych, bo to nie było takie oczywiste.

Kacperski skierował wzrok na Warwiłow. Porozumieli się bez słów.

– Być może jeszcze tu wrócimy. Gdybyście państwo sobie cokolwiek przypomnieli, proszę kierować się prosto do nas – rzekł.

– Wiem – odparła Barbara Dombrowicz.

Rozmowy trwały. Marek Gargała, emerytowany inżynier ze Stoczni Szczecińskiej, powitał ich w swym cokolwiek ponurym lokum i pokierował do pomieszczenia z wysokim oknem.

– Tu jest mój gabinet i archiwa.

Powiedział to tak, jakby nie rozumiał, po co przyszli. A może niezależnie od sytuacji miał swoje rytuały. Kacperski obserwował jego trzęsące się palce z połamanymi, zniszczonymi paznokciami. Usiedli na wskazanych miejscach.

– Jeśli ktoś ją zamordował... – zaskoczył go Gargała.

– Tak? – podjął z nadzieją Kacperski.

Senna, duszna atmosfera wnętrza; gospodarz przypominający grabarza i jakieś tajemnicze rośliny. Kurz na książkach, który zdawał się pozbawiać pomieszczenie resztek powietrza.

– To wiedział, co robi – dokończył spokojnie Gargała.

– Nie rozumiem.

– Była kopalnią informacji, to chyba jasne, prawda?

– A pan nie miał interesu?

– Prawdę mówiąc, żadnego. Myśmy się uzupełniali, układ idealny. Pani Fela była tutaj historią, legendą, i ja bym nigdy jej krzywdy nie zrobił. Może historia mnie zabije, usunie, jak większość ludzi, ale na pewno nie na odwrót. Historia to jest moja małżonka, proszę pana. Po tym jak prawdziwa uciekła stąd lata temu. Lepiej mi z nimi. – Wskazał na książki.

– Można i tak. Powiedział pan, że nie zrobiłby pan jej krzywdy. A kogo by pan zabił w takim razie?

– Nie rozumiem...

– Gdyby pan musiał – ciągnął Szymon. – Co byłoby dla pana takim zapalnikiem? Może odwet. Może pieniądze. Może wiedza o pana tajemnicach.

– Odwet. – Ku jego zaskoczeniu Gargała zagrał w tę grę. W oczach mężczyzny policjant dostrzegł ożywienie. – Odwet zatruwa duszę. Nie daje żyć, to silniejsze od pozostałych. Na szczęście nie jestem mordercą.

– A przyznałby się pan, gdyby był?

– Nie wiem.

Kacperski spojrzał na Warwiłow. Nie zadawała żadnych pytań, wydawała się dziwnie przygaszona, może obserwująca. Sam szukał czegoś, co będzie wystawało. Szukał drzazgi, która weszłaby komuś głęboko pod skórę.

Do tej pory nie znalazł. A jednak pani Fela została zamordowana, prawdopodobnie uderzeniem siekiery, i jej szczątki pokonywały obecnie drogę do szpitala w Szczecinie, bo tylko tam były odpowiednie warunki.

Z nich wszystkich, pomyślał godzinę później, tylko Renata Rowicka wyglądała, jakby mogła to zrobić. Wnętrze domu leśniczki wydawało się szarobure i mroczne; na komodach stały portrety jakichś dzieciątek. Czy jej własnych? A jednak z tymi portretami było coś nie tak. Kiedy Kacperski podszedł bliżej, zobaczył, że są bardzo stare.

– I nic? – powtórzył machinalnie, kiedy otrzymał odpowiedź podobną do wszystkich poprzednich.

– Nie rozmawialiśmy – odparła twardo Rowicka.

– W ogóle?

– Jakbyśmy rozmawiały, to ja bym teraz tonęła w brudzie. Już to przerabiałam. Gadka szmatka. Pieniądze zapłacone, dom nieposprzątny.

Na Ninę Warwiłow Rowicka w ogóle nie patrzyła i Szymon miał wrażenie tłumionej wściekłości. Słowa, co było jeszcze bardziej niepokojące, wypowiadała spokojnym tonem. To nie była kobieta, którą chciałeś mieć za przeciwnika; choć – przypuszczalnie – chciałeś za przyjaciela.

– Nic nie wiem – dodała, jakby przekaz nie był już wystarczająco jasny.

Kacperski rozglądał się po jej salonie. Dębowa szafa z lustrem. Komoda, kredens i półotwarte szuflady, z których wystawały jakieś koperty. Szukał drzazgi. Czy Felicja Ostapowicz naprawdę ograniczała się do rozprzestrzeniania nieszkodliwych plotek i cudacznym historyjek o własnej rodzinie?

Doskonale wiedział, jak nieuważni są ludzie w ukrywaniu istotnych dokumentów. I jacy bywają ciekawscy. Włos, który przykleił do framugi mieszkania w Dziwnowie, zniknął już pierwszego dnia...

Wyszli od Rowickiej, chociaż – w tym klimacie zimnej wojny – wyglądało to trochę tak, jakby sama ich wyprosiła.

Podobnie jak Piotr Dombrowicz, leśniczka należała do wychowanków domu dziecka i Kacperski miał ją na swojej liście. Nie zdążył jej przesłuchać pod tym kątem, a teraz, kiedy pojawiła się kolejna zbrodnia, pewnie było już za późno. Szli w milczeniu, trochę zmęczeni, kierując się z powrotem do centrum Boleni. Czwartym i ostatnim domem była plebania. Jak w większości miejscowości w Polsce, architektonicznie wyróżniająca się w okolicy. Była wyższa, obszerniejsza, bardziej zadbana. Zamożniejsza.

Przywitał ich ksiądz Andrzej Wielarski. Kacperski wiele zawdzięczał księżom. Kiedyś służył jako ministrant. To był mroczny czas w jego życiu i nie był pewien, czy przebrnąłby przez niego sam. W dorosłości zachował rodzaj

życzliwego dystansu do Kościoła. W przeciwieństwie do Warwiłow przywitał się z księdzem po katolicku.

Wielarski był wysoki, szczupły i uprzejmy. Nawet do Kamienia dochodziły słuchy, że cieszy się dobrą opinią wśród wiernych. Przyjechał tu kilka lat temu i nie chciał brać pieniędzy za wiele posług. Miał tiki nerwowe dłoni, które starał się na kazaniach ukryć w szerokich rękawach sutanny. Nie grzech.

Niepotrzebnie, pomyślał Kacperski. Niepotrzebnie ksiądz to ukrywał.

Wielarski bezradnie rozłożył ręce, zrobił to zresztą kilkakrotnie.

– Chciałbym pomóc. Ale tak niewiele wiem. Zostawiałem pani Feli tutaj klucze.

– Ile czasu spędzała na plebanii?

– Ile potrzebowała. Cztery godziny, pięć... Często wtedy wychodziłem, lubię samotne spacerować.

– Nigdy jeszcze księdza nie widziałam – wtrąciła nagle Warwiłow.

– Może chodzimy o innych porach.

– O jakich ksiądz chodzi?

– Wieczorem – odparł, nieco zaskoczony tym, że Warwiłow draży temat.

– A jednak pani Fela nie przychodziła wieczorem, prawda?

– Nie. Wówczas zamykałem się w gabinecie.

– Rozumiem. Czyli jednak nie spacerował pan, kiedy przychodziła?

Ksiądz lekko pobladł.

– Skąd takie pytania?

– Gdzie przechowuje ksiądz zwykle dokumenty? – wtrącił się do rozmowy Kacperski, choć miał wrażenie, że Warwiłow jeszcze nie skończyła. Nic jednak nie powiedziała.

– W gabinecie. Większość mam w gabinecie – powiedział Wielarski po chwili milczenia. – Czasami, takie bardziej prywatne, zabieram do sypialni. Jak każdy. Przepraszam, ale nie rozumiem, skąd te pytania...

– Skoro ustaliliśmy, że jednak był pan na miejscu – wtrąciła Nina – to czy był czas, kiedy pani Fela zostawała całkiem sama?

Kacperski nie wiedział, czy ksiądz rozumie, że Nina prawdopodobnie zastawiła na niego pułapkę. Lepiej było odpowiedzieć szczerze.

– Był – odparł po chwili Wielarski.

– Kiedy?

– Wtedy, kiedy przychodziła tu w czasie mszy.

Coś w wyrazie jego twarzy przywodziło na myśl szachistę, który wreszcie znalazł właściwe posunięcie.

– Pani Fela nie chodziła na mszę? – zapytał.

– Nie. Nie namawiałem jej. Zdaje się, że dawno odeszła od wiary. Jak mówię, rzadko rozmawialiśmy...

– Przepraszam – wtrąciła Warwiłow – ale znowu ciężko mi w to uwierzyć. Rozmawiałam z tą kobietą w Szumach. Wciągnęłaby samego świętego Piotra w rozmowę, przepraszam za wyrażenie.

– Wybaczam. – Wielarski się uśmiechnął. – I potwierdzam, co powiedziałem.

Mógłby być nawet przystojny, z tą smutną, pociągłą twarzą i szarymi oczami. Przebywał gdzieś w oddali, ale ruchy dłoni sugerowały, że denerwuje się tu i teraz. Zmarnowany materiał na męża, jak mówiła mama, dopóki siostra Kacperskiego nie kazała jej przestać.

– Prosiłem ją o ciszę, i tak było – dodał ksiądz.

Kacperski nie potrafił wyczuć, czy nieścisłości Wielarskiego są przejawem roztargnienia, czy ksiądz coś ukrywa, czy może po prostu nie dba o szczegóły. Nie umiał go przejrzeć.

– Dobrze. Dziękuję.

Podkomisarz wygłosił formułkę z prośbą o informację, gdyby coś się pojawiło.

– Oczywiście – odparł ksiądz. – I bardzo mi jest przykro z powodu tego, co się dzieje.

I naprawdę tak wyglądał. Jakby stracił kogoś bliskiego. Odchodzili już, kiedy Warwiłow nagle odwróciła się i zapytała:

– Czy coś mówi księdzu imię Kai?

– Oczywiście, kojarzy mi się ze Starym Testamentem, ale chyba nie to chciałyby pani usłyszeć, prawda?

Wielarski powiedział to z sekundowym opóźnieniem i z lekkim drżeniem w głosie.

A może Kacperski to sobie wmawiał. Może drżenie wynikało z tego, że martwił się o Boleń. Kiedy odchodzili, patrzył za nimi dobrotliwie, dopóki brama nie zamknęła się z hukiem.

22

Nina wpatrywała się w krople deszczu bijące o szyby. Wiatr rozpylał wodę we wszystkich możliwych kierunkach. Nazwa miejscowości z każdym dniem coraz bardziej pasowała do miejsca. Nieliczni przechodnie maszerowali drogą, wynajdując wysepki suchego; przypominało to koślawy, amatorski chód przez płotki.

Tego, że w miasteczku kryje się morderca, była już prawie pewna. Na tym wąskim kawałku łądu między lasem a bezkresem zalewu znalazł się bezwzględny zabójca. Z dużym prawdopodobieństwem widziała go na ulicy; może przechodziła obok niego, robiąc zakupy.

Nagle rozległ się głośny dźwięk. Nina rozejrzała się z niepokojem, ale to tylko muzyka w tle zagrała swój ostatni hałaśliwy akord. Niezależnie od serii morderstw niestrudzony Cezary zamówił na dziś zespół. Zgraja młodych ludzi waliła w instrumenty na ostro, choć z wyczuciem. Bezcelnie przystojny wokalista wodził oczami – jej też się dostało spojrzenie, za co od razu skreśliła go w głowie. Nie cierpiała nadmiernej pewności siebie. Albo może – jak się okazało – wolała starszych, a już koniecznie doświadczonych przez los mężczyzn. Taki był Wojtek Ordowski, którego przeszłości przed Beskidem nie znała i...

– Nina? – Głos obok przerwał jej proces myślowy.

Drgnęła. Jej ukochana świekra.

– Mam nadzieję... to, co się stało... Chyba nie wyjedziesz? – usłyszała.

Wydawało jej się, że w głosie Kapińskiej słyszy coś, na co nie zwróciła wcześniej uwagi.

– Wyjechać? – zapytała. – Ale dlaczego?

– Dużo tu się dzieje.

– Nie pamiętasz, czym się zajmuję?

– Pamiętam. Uważaj na siebie.

To nie było jednak „uważaj na siebie” wypowiedziane z troską.

– Co masz na myśli? – zapytała wprost.

Jola, mistrzyni podchodów, wydawała się zbита z tropu.

– Żebyś tak się nie udzielała.

- Skąd niby takie wnioski?
- Widziałam cię z tym policjantem. Co robiłaś?
- Wybacz, to nie jest twoja sprawa, prawda? Chyba nie była ostatnio i...

Nagle przerwała. Dotarło do niej to, że w oczach świekry widzi strach, że one wyjadą i nie zdąży się pożegnać z Milą. Nie dziwiła się, mała była wyjątkowa. Zaskakiwała uwagami takimi jak wczoraj: „Fajnie dzisiaj wyglądasz, mamó. Czy założyłaś nową bluzkę?”.

Bluzka oczywiście pochodziła ze szmateksu w Gorlicach, co nie zmieniało faktu, że Mila nie miała w sobie nic z nadętych Kapińskich ani bystrego, choć piekielnie usztywnionego Tomka. A jednak Jola wyraźnie kochała tego dzieciaka i bała się, że znowu długo go nie zobaczy. Jak ważne dla człowieka jest, żeby mieć kogoś do kochania.

Zestarzała się, to również dotarło do Niny. Młody wygląd Jola straciła lata temu, ale teraz straciła coś jeszcze: drapieźność, która kazała jej znęcać się nad mężem, aż został z niego szkielet dawnego mężczyzny, a następnie, po kolei, nękać wszystkie kobiety swojego jedynaka. Niegdyś była skuteczna jak gwiazda pola karnego. Teraz przypominała sportowca, który aby dalej grać, wycofuje się na pomoc, a może nawet obronę, bo rozumie, że nie ma dawnej siły.

Na początku związku Jola wizytowała ich dom i grzebała w szafie. Przynosiła jedzenie – ale tylko dla Tomka. A gdy rozmowa schodziła na jej ojca, Kapińska nawet nie starała się ukryć pogardy. Bolało. Tego chyba najbardziej Nina nie mogła jej darować, bo jeśli ktokolwiek miał prawo krytykować ojca, to ona sama. Dlatego że codziennie zajmowała się nim i jego nałogiem.

A teraz chciała się dogadać. Dlaczego? Ze strachu? Dla dobra Mili, która równie dobrze mogła się okazać ich jedyną wnuczką? Tomek i Aga wydawali się jacyś tacy niepewni i skoncentrowani na atrakcyjnych aktywnościach. Teneryfa, Dolomity, skitury w zimie, kitesurfing i rowery w lecie. City break w miastach typu Barcelona, Londyn, Oslo. Kiedyś, w dawnym życiu, też tak miała.

Dzięki porozumieniu z Jolą Nina mogłaby się poczuć bezpieczniej. Myślała o tym, że coś może jej się kiedyś stać. Ten scenariusz wydawał się prawdopodobny każdego dnia na służbie. Może w Gorlicach mniej, ale jednak: Nina pracowała w wydziale kryminalnym, a to oznaczało, że zawsze mogła wylądować z kulką w głowie. Nie bez powodu już uzyskała prawo do emerytury – co prawda w wysokości tysiąca siedmiuset złotych.

- Dobrze.

Usiadły przy wolnym stoliku. Żądny uwagi młody wokalista znowu usiłował złowić Ninę na powłóczyste spojrzenie. Mógłby być jej synem, zwłaszcza że wyglądał jak Dawid Podsiadło. Gdyby teraz zaczęła z nim flirtować, Jola byłaby z pewnością wstrząśnięta. Przez chwilę miała ochotę to zrobić. Ale przecież usiadła, żeby się „dogadać”.

Zamówiły herbatę. Na zewnątrz pojawiły się błyskawice. A w środku – muzyczka na żywo, kominek. Na stole herbata w imbryku... W ciepłym, żółtawym świetle ostre rysy świekry dziwnie złagodniały.

Jaka Nina była nieśmiała, kiedy pierwszy raz poszła tam w gości, w tej kretyńskiej sukieneczce w kwiaty. Bo wiosna. Jak bardzo pragnęła akceptacji. Była wówczas jeszcze słabsza w relacjach z ludźmi niż teraz, kiedy trochę okrzepła. A Jola zjadła ją wtedy na obiad, wypluła na deser. Wracali potem samochodem bez słowa.

– Wiesz, jaka ona jest – powiedział tylko Tomek.

Wiesz, jaka ona jest. Przecież jej mówił, czy nie słuchała?

Słuchała uważnie, ale to brzmiało jak historyjki o pani z dziwactwami, a nie o przemocowej harpii. Była agresywna. Nina odnotowała, że ojciec Tomka często ma zadrapania na policzku. Czy od golenia? A może jednak od paznokcia? Przecież nosił brodę.

Ale minęły już lata i nawet nie chodziło o karierę w policji ani o to, że Nina okrzepła. Chodziło o to, że sama została matką.

– Chcielibyśmy częściej się z nią widywać – powiedziała Jola.

– Dobrze. Możecie przyjechać w góry.

– W ten wasz Beskid?

Nina wytrzymała spojrzenie wąskich oczu.

– Zgadza się.

– Czy mogę ci zadać pytanie?

– Przypuszczam, że chcesz.

– Długo tak zamierzasz eksperymentować?

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli: mieszkać w górach.

Wzruszyła ramionami.

– Tak długo, ile będę pracować w policji. A poza tym...

– Tak?

– To nie jest eksperyment. Ja tam teraz mieszkam.

– Nie masz domu.

– To trochę niemiłe określenie, nie sądzisz? Wynajmujemy. I może kupię.

Oczywista – i poniekąd słuszna – riposta brzmiałaby „za co?”. Ale Jola poszła w inną stronę.

– Nina, ile masz lat?

– Przecież wiesz.

Kapińska wzruszyła ramionami.

– Po co te pytania? – dodała Nina. – Zaproponujesz mi jakiś krem na noc?

– Ona nie może się tam wychowywać.

– Jak widać, może.

– Nina, musisz...

– Co muszę?

– Lepiej przemyśliwać swoje decyzje życiowe.

Wpatrywała się w Jolę przez długą chwilę. W twarz, która mimo wszystko wciąż budziła w niej pewien lęk. To był ten sam stary strach przed odrzuceniem i dezaprobatą. Lecz nagle poczuła, że coś w niej pęka.

– Czyli wracamy do punktu wyjścia? – zapytała.

– Jakiego?

Pękło, a szczelina zaczęła się powiększać. Czym była ta szczelina? Odwagą, żeby wyrazić myśli? Słowa zaczęły płynąć same.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy zaczęłaś mi udzielać rad? Czy ja kiedykolwiek o nie prosiłam? Albo ten dzień, kiedy zaczęłaś mnie krytykować. Może nie miałam matki, a mój ojciec się nie nadawał, czego zresztą nie ukrywałam. Ale czy kiedykolwiek prosiłam, abyś zaczęła mi radzić? Kurwa, te twoje rady, kto w ogóle lubi, jak mu się radzi? Pomyślałaś kiedyś o tym?

– Nina, mogę nie używać słowa „rada”, skoro to cię razi. Ale posłuchaj mnie teraz, starszej kobiety, bo ja już jestem stara baba. Po prostu wydaje mi się, że uciekasz.

– Już to powiedziałaś, prawda?

– I musisz pomyśleć poważnie o przyszłości Mili. Bo w górach ona jej mieć nie będzie. I o swojej przyszłości. Przecież wiem, że możesz wrócić, zawsze byłaś związana z Warszawą i...

– Już to mówiłaś – weszła jej w słowo Nina. – I znowu to robisz. Musisz, prawda? Znowu mi radzisz. Ja nie wiem, czy jestem związana z Warszawą. Kiedyś może tak myślałam, dziesięć, piętnaście lat temu. Że jestem mieszkanką miasta. Że nie umiałabym mieszkać na wygwizdowie. A teraz wiesz, co czuję, kiedy wiozę do was Milę? Niechęć. Nie do was, do miasta. Nie nostalgię, tylko niechęć. Nie chcę marnować czasu w korkach na Trasie Łazienkowskiej, kiedy wiem, że mogłabym wtedy wdrapać się na Magurę Małastowską albo przejść się połoniną. Albo położyć się na łące, takiej twardej, zaraz po koszeniu, i gapić się w niebo. Może to głupie, może będziesz się ze mnie śmiać, ale powiem ci, że drzewa zapewniły mi towarzystwo, którego nigdy nie miałam w Warszawie. Bez oceniania.

– Nina, uciekasz, a przed problemami nie ma ucieczki.

Przez chwilę obie milczały.

– Co do jednego masz rację. – Nina wstała z krzesła i zabrała kurtkę z oparcia, zerkając jednocześnie na dwór. Błyskawic nie dostrzegła, a deszcz zaczął rzednąć. Po prostu był, ale niegroźny. Nie roztopi się przecież. Zabijał tylko eteryczne dziewczęta z prozy Jane Austen. Jej na pewno nie zabije.

– Wychodzisz – stwierdziła Jola.

– Tak, bo nie wytrzymam już siedzenia tutaj. Zostańmy przy wymianie maili. Znacznie lepiej nam to idzie.

Trudno było jej jednak wyrzucić z głowy te ostatnie paskudne słowa. Już przedtem Jola zasiała w niej tę myśl. No właśnie, kolejna rzecz: siała w człowieka wątpliwości. Jej wachlarz toksyn wydawał się niewyczerpany.

Teraz sugerowała, że Nina ucieka. To prawda. Uciekła ostatnio od Wojtka. Pozwoliła, aby ich związek łagodnie wygasł.

Odsunęła kosmyk wilgotnych włosów z czoła. Na ulicach pusto. Czuła, że to nie tylko deszcz. Ludzie byli pochowani po domach ze strachu. Seryjny morderca grasował po Boleni, a każdy, dosłownie każdy, zdawał się mieć kontakt ze starym domem dziecka na klifie. Każdy był z nim jakoś skojarzony.

Ludzie pochowani po domach. Nieufni. Spanikowani.

Słowo „Kai”, w jakiś sposób powiązane z domem dziecka.

Wszystko w śledztwie kierowało do tej ruiny. Zdziwiająco żywotnie sobie poczynała, zamiast umierać w zapomnieniu. Nina dotarła na miejsce, nogi same ją wiodły. Spoglądała na dziurawy dach, wchłaniający w siebie hektolitry wody i przyczyniający się do zgnilizny w środku.

Przelazła przez ogrodzenie, mocząc sobie nogawki. Pojawił się nowy napis: „Teren prywatny”, nie zauważyła go wcześniej. A więc ktoś to kupił – żeby przekształcić w... co właściwie? Hotel? Dom strachów? Szła dalej, przemierzając mokre chaszczce. Zaczęła mocować się z klamką. Nie potrafiła otworzyć tych drzwi. Kacperski był w tym lepszy. Krople deszczu spadały jej na czoło i kapały na nos. W dodatku spadały z dachu, z pewnością siedliska zarazków, brudu i wszelkiego zła. Przetarła twarz. Woda była czarna.

Kiepski pomysł.

Pomyślała, że musi odstąpić od planu. Nagle poczuła jednak, że coś tu się dzieje. Leżąc na ławeczce obok kupka łachmanów poruszyła się. Po chwili zobaczyła jednak, że to wcale nie kupka łachmanów, tylko on, stary, przygięty do ziemi mężczyzna. Siedział sobie po prostu na ławeczce, nie bacząc na deszcz, kapiący na niego z drzew i dziurawych rynien. Ćmił papierosa, zapewne znaleźnego. Jeśli wyszedł przed swój „dom”, żeby zapalić, to było to na swój sposób wzruszające.

Oczy mężczyzny patrzyły na nią z pewną sympatią.

– Ja już panią widziałem – powiedział.

Była pod wrażeniem, jak mówi. Nie bełkotał. Głos miał drżący, ale mówił wyraźnie i na swój sposób dobitnie. Jak schorowany, ale wciąż znakomity aktor.

Przez parę sekund nie odpowiadała.

– Jak panu na imię? – zapytała w końcu.

– Ryłko... Jan Ryłko. A ludzie to mówią, że pani kogoś szuka.

– Ach, tak?

– Zadaje pani pytania.

– Być może.

– Ale tak naprawdę to pani nie wie, kogo pani szuka.

Nagle przestała czuć krople spadające z drzew.

– Co pan wie? – zapytała ostrzej, zbliżając się.

– Szuka pani osoby o imieniu Kai, prawda?

– Być może.

– Dobrze pani szuka. Tylko że Kai to nie jest mężczyzna.

– Nie rozumiem.

– Szuka pani Kay. Ka, a, igrek – przeliterował. – Te trzy litery. Nie szuka pani mężczyzny.

Wpatrywała się w niego intensywnie.

– Szuka pani Kay. Tak, podobno malarz okrętowy się pomylił i tak już zostało na łódce. – Zamyślił się, a papierosa wyrzucił w kierunku chwastów. – Jaka to była piękna dziewczyna. Nazwali ją po tej aktorce. Jak ona miała?

Przerwał na chwilę.

– Kay Francis – powiedział. – Tak się nazywała ta aktorka. Pani pewnie nie pamięta, przecież to było kino nieme, kto to teraz ogląda. Ale właśnie po niej nasza Kay dostała swoje imię.

23

Szymon Kacperski wpatrywał się w delikatne fale na Zalewie Kamieńskim. Wiatr rozpędzał się nad miastem, jakby miał je zdmuchnąć, obrócić w pył. Podkomisarz wypalił papierosa, a potem szybko poszedł po kawę do swojej ulubionej knajpy. Wydawało mu się, że dziewczyna na niego czekała – pierwszy raz widział, że nie grzebie w telefonie.

Kacperski nie podzielał jednak fascynacji niektórych kolegów wiekiem półlegalnym. Żal mu się zrobiło dziewczyny, dla której atrakcją stał się dość młody, ale już przyklapnięty policjant – bo profesji ukryć w Kamieniu raczej się nie dało, mógłby równie dobrze położyć odznakę na stół.

– Proszę to, co zawsze – powiedział, ale głównie po to, aby sprawić jej przyjemność.

Udało się. Ale nie poprosił jej o numer telefonu, a po wzroku, którym go odprowadzała, uznał, że powinien odpuścić to miejsce.

Na komendzie skierował się prosto do archiwów. Rządził tam apatyczny – i na oko astmatyczny – człowiek o nazwisku Kapełka. Choćby mu wyrywano paznokcie, Kacperski nie potrafił powiedzieć, jaki ten funkcjonariusz ma stopień. Być może w tych podziemiach zapomnieli o nim także przełożeni i zaszeregowany był wciąż na poziomie podstawowym. A może podziemia miały swoją własną hierarchię, bliższą nomenklaturze górniczej.

Wbrew ospałemu wyglądowi Kapełka był jednak konkretny i skuteczny. Kazał Kacperskiemu czekać. Znalazł coś, pomyślał Kacperski, a potem usłyszał szum drukarki i Kapełka pojawił się z plikiem kartek.

Podał mu je, jeszcze gorące i pachnące: ciepłe bułeczki informacji.

– Kay Equister, jest taka osoba – powiedział. – Albo była. To imię znacznie lepsze niż to, którego szukaliście przedtem. Mogłoby również służyć jako męskie, na szczęście w Boleni była tylko jedna taka osoba przed wojną. Szkoda, że od razu nie powiedziałaś...

– Nie wiedziałem. Co o niej wiemy?

– Była z tej wyższej warstwy. Skoligacona z von Hornami, którzy rządili okolicą, wiesz, właścicielami cementowni w Boleni – rzekł Kapełka. – To

znaczy do wojny właścicielami, bo po wojnie to się skończyło, prawda? Ziemie zabrano, majątek przejęto. Nie wiem, co jeszcze was interesuje.

– Przede wszystkim: co się z nią stało?

Chudy, anemiczny Hades; tak jakby archiwum wysssało z niego wszystkie kolory. Z początku Kacperski nie zapalał do niego sympatią. Był małomówny, a jego bladoniebieskie oczy zdawały się mówić: spieprzaj. Ale to tylko pozory, jak serdeczny uśmiech Pol Pota. W gruncie rzeczy Kapełka był koleżeński, a w pracy ofiarny.

– Osoba o takim imieniu i nazwisku, a nie jest częste – kontynuował Kapełka
– wypłynęła potem w miasteczku Binge.

– Gdzie to?

– Niemcy, wybrzeże bałtyckie. Oczywiście to może być jakaś zbieżność. Choć nazwisko, nawet jak na Niemcy, jest mocno charakterystyczne. Śmierzące wyższą sferą czy coś w tym rodzaju.

W kraju, gdzie ponoć osiemdziesiąt procent społeczeństwa pochodzi z chłopstwa, stanowiło to jednak poważny zarzut.

– Czy wiesz, że Niemcy dalej wpisują do paszportów tytuły arystokratyczne?
– zapytał Kapełka.

– Tak?

– Uwierzyłbyś? W dwudziestym pierwszym wieku.

– Wierzę, skoro mi mówisz.

Chichot wampirzy, nietrenowany, tak jakby Kacperski powiedział coś śmiesznego.

Było pięć morderstw, ale pojawił się też trop. Prastary, trącający zamierzchłą historią, ale wciąż trop. Kacperski zabrał kartki i uniósł w górę jak łup. Skierował się do śródziemia, czyli na parter. Ze swoimi talentami i miłością do kurzu Kapełka mógłby zostać cichą gwiazdą w Poznaniu. Ze swoimi lewicowymi ciągotami nieźle odnalazłby się w wielkim mieście. Z kim miał się dzielić poglądami w ośmiotysięcznym Kamieniu?

Może Kacperski powinien wrócić z takim diamentem pod pachą do Poznania i wkupić się w łaski szefa wydziału, zaskoczonego swego czasu prośbą o przenosiny? Pamiętał, że sam nie do końca rozumiał swoje zachowanie i decyzję pozostawienia pracy, a wraz z nią ówczesnego szefa.

– Wiesz, że to jest *one way*. To znaczy... – Naczelnik usiłował złagodzić, ale nie potrafił skończyć.

- Rozumiem – odparł szybko Szymon. – Naprawdę nie musisz mi tłumaczyć.
- I mimo wszystko?
- Tak, mimo wszystko.

Zostawił swoje mieszkanie w kamienicy na Jeźyczach, znajomych w osiedlu na Roosevelta i bar Cyryl, w którym co piątek spotykał się z przyjaciółmi. Chciał wyjechać. Wyruszyć śladami człowieka, który zniknął. Zostawić poznańskie, wielkomiejskie życie. Opuścić swoją strefę komfortu: miasto oraz środowisko, w którym się wychował. To w nim samym tkwiła zadra i ta zadra poprowadziła go na wyspę. Nie był jednak pewien, czy przyjechał tu, by prowadzić poszukiwania, czy może na odwrót – poszukiwania były jednocześnie powodem i pretekstem do zmiany.

Zapukał do Zembrzuskiego. Wszedł, nie czekając na odpowiedź, i zastał inspektora nad ogromnym lunchem.

– Zaczekaj. – Szef przełknął, a potem popił herbatą z cytryną. Patrzył na niego dzisiaj przychylniejszym okiem; Grek ze Smyrny, który zrobił dobry interes na oliwie. – Masz? – zapytał.

– Mam.

Odchylił się na krześle, wyraźnie zadowolony.

– A mówiłem, żebyś trochę pogrzebał, synu? Trzeba było, widzisz, trzeba było.

Uśmiechnął się.

– Tak, pogrzebaliśmy – rzekł Kacperski. – Ale niewiele z tego jeszcze wynika. Innymi słowy, dalej nie rozumiem.

– Jeszcze mniej niż przedtem? – Inspektor pokręcił głową. – Szymon, wiesz, co masz robić. Ej, chłopie. Gdyby nie ta Warwiłow... – Przerwał. – Co, myślisz, że ja nie wiem? – dodał.

– Nie myślę.

– Miałbyś przechlapane, synu – skwitował Zembrzuski zadowolony.

Kacperski nie odpowiedział, zirytowany tym protekcyjnym tonem. Jakie dokonania mógłby zaprezentować Zembrzuski, jakie imponujące śledztwa miał na koncie poza szefowaniem prowincjonalnej komendzie?

– Masz szczęście, choć podobno Warwiłow przynosi pecha. Za jedno ci jestem wdzięczny.

– Tak?

– Wzięłeś ją na siebie. – Zembrzuski ryknął śmiechem. – Więc jesteś ryzykantem – dodał, kiedy się uspokoił. – Choć ta znajomość daje szansę, że szybciej rozwiązesz swoją sprawę.

Wydawał się w dziwnie dobrym nastroju, zważywszy na fakt, że mieli pięć niewyjaśnionych zbrodni.

No i tę Kay Equister.

– Moją sprawę? – zapytał Kacperski krótko.

– Tak. Dalej jest twoja. Jeśli ją chcesz. I dasz radę rozwiązać.

Po tych żołnierskich słowach Kacperski przeszedł przez komendę. Mimo niewielkich rozmiarów wciąż można się było w niej zgubić. Szczególnie w porze obiadowej. Wyszedł na ulicę i wstąpił do baru naprzeciwko. Tam właśnie, w tej nieformalnej stołówce komendy, zastał Elę Paidaki.

Rzadko tu zachodził. Rozejrzał się. Zdjęcia pierogów, schabowego i z jakiegoś powodu również szwedzkiego stołu śniadaniowego z pokolorowaną szynką. Fotografie paluszków i chipsów. Funkcjonariusze cicho konwersujący przy stolikach. W tym wszystkim Paidaki; Kacperski miał szczęście, że była dzisiaj sama. Siedziała nad pierogami, smętnymi, szarymi, pływającymi w tłuszczu z boczkiem. Nie wyglądały jak te z plakatu. Dziobała je z roztargnieniem, czytając przy tym książkę.

Z bliska dostrzegł, że to pozycja z zakresu profilowania. Niemiło było jej przerywać. Wyglądała słodko, ledwie trafiając widelcem do ust. Zorientowała się jednak i odłożyła sztucce na talerz. Spojrzała na niego pytająco, kiedy się zbliżył.

– Dokszałcam się – rzuciła, chowając książkę.

– Nie pytałem.

– Uprzedzam.

– To znaczy, że zgłaszasz się po moje stanowisko?

– Nie.

Rozmowa bez uprzedniego błysku i porozumienia. Trochę go to jednak ukłuło.

– Dobrze. – Usiadł i przez chwilę się w nią wpatrywał, zastanawiając się, jak to ubrać w słowa. – Ela, przychodzę do ciebie z wieścią, a raczej propozycją służbową.

– Czyli polecenie. Przemawiaj, Herodocie.

– Wolę propozycję – rzekł, a potem dodał: – Jedziemy do Reichu.

24

Wciąż padało. Dzieci w pensjonacie zaczynały znosić przysłowiowe jajko. Przeciągające się ulewy sprawiały, że wszyscy chodzili podenerwowani. Przypuszczalnie tylko rodzice byli zadowoleni, że w tych okolicznościach dzieci są w środku – ale nikt inny. W sali jadalnej jazgot zrobił się po prostu nieznośny. Dzieciaki zbudowały pośrodku ognisko na niby i teraz biegały dookoła, obrzucając je serwetkami, jakby odprawiały jakieś gusła.

W ognisku ustawiły lalkę. Taką w wieku emerytalnym – już straciła połowę włosów, powiekę, rękę, a do nogi w pantofelku musiał dobrać się jakiś pies. A mimo to obrazek wywoływał w Ninie dziwne skojarzenia, zdecydowanie bardziej mroczne niż ze szczeniakiem rozrywającym lalkową nożynek.

Ofiara. To właśnie dotarło do niej po dłuższej chwili. Dzieci bawiły się w składanie ofiar. Kto wymyślał takie zabawy? Może to pod wpływem filmu *Madagaskar*, który puszczano poprzedniego dnia... I chyba powinna się cieszyć, że mała się socjalizuje, skoro sama skazała ją na życie na pustkowiu, jak uprzejmie wskazała jej Jola.

Nina wgapiała się w obrazek, który miała przed oczami, bo w jakiś dziwny sposób pasował jej do śledztwa. Zabawa się zmieniła. Lalka już nie wystarczała, teraz rolę ofiary zaczęły grać dzieci. I oczywiście Mila, jako jedna z tych najmniejszych, była pierwsza w kolejce. Rozrzucali wokół niej szmatki, a ona kurczyła się i kurczyła. W jej spojrzeniu były jednocześnie strach, ekscytacja i radość.

Nina miała tę samą mieszaninę uczuć, ale wiedziała, że nie powinna przerywać zabawy. Że mała – zwłaszcza jako jedynaczka – musi sama ustawić sobie relacje z otoczeniem. Żeby kiedyś normalnie funkcjonować.

„Czekałam na ciebie”. To wzruszające słowa, ale Nina miała świadomość, że tak nie powinno być.

Do tej pory było dobrze, Mila świetnie się bawiła. Jej matka miała zaś chwilę na swobodny czas dla siebie. Ten luksus nad luksusy. W każdej roli: matki, policjantki... Udała się do pokoju i położyła na wznak na łóżku. Zamknęła oczy, wracając myślami do śledztwa. Może i Kacperski oddał jej hołd – choć mówią, że nie chcesz poznać swoich bohaterów – ale od czasu wydarzeń z grudnia czuła

się otępiła śledczo. Jak pracownicy korporacji, których system wyrzucał za burtę. Straciła dar, przestała być skuteczna. Problem w tym, że jej życie pozazawodowe było dziwnie ubogie i w czterdziestej pierwszej wiośnie życia nie ujawniła żadnych nowych talentów – pewnie ich nie miała.

Więc tak: zamknąć się w pokoju i myśleć. Jak to było z Herkulesem Poirot? W *Tajemniczej historii w Styles* układał domki z kart. Czy kiedykolwiek później też? Kart jednak nie miała, więc splotła tylko palce na brzuchu. Miała za to kobietę imieniem Kay, która żyła tu sobie jakieś sto lat temu. Dobrze, nie sto, ale tak czy siak dawno, przecież dziewczyna była dzieckiem wojny. Nie powinna być motorem żadnego morderstwa, nie mówiąc o kilku. A jednak nie żyło już pięć osób... Zniknęła też mała łódka, o tej, no prawie tej, nazwie, a mieszkaniac ruiny, który już zyskał imię i nazwisko, potwierdził, że to od Kay. To imię padło też z ust Agaty Podolskiej, zanim została zamordowana.

Miała także pięć ciał, bo tak to sobie już interpretowała, i silne poczucie, że to jeszcze nie koniec. Boleń, miasto dalej pogrążające się w cierpieniu i krwi, nawet po tych wszystkich latach... Usiłowała sobie teraz zwizualizować świat naświetlony przez Gargałę. Przedwojenna prężna miejscowość, po wojnie zbitka wszystkich przyjezdnych. Wolin jak polski Dziki Zachód z *Prawa i pięści*, gdzie każdy mógł zacząć nowe życie na tym, co kiedyś było niemieckie. Każdy mógł uwłaszczyć się na ich majątkach, każdy mógł podać się za kogoś innego, kogoś, kim nie był...

Kay musiała być związana z domem dziecka. Stara łódka ponoć do niego należała, tak powiedział jej Jan Ryłko. Te lata powojenne... Zgodnie z lokalnymi opowieściami zastępy posągowych młodzieńców, chwytających za ster. Grupy dziewcząt, krzyczących do nich z brzegu – bo przecież świat wtedy był drażniący seksistowski.

Dobrze, tu już ponosiła ją fantazja. W każdym razie dom dziecka obdarzył miasto nowym duchem, nową energią. Tak jak Boleń, osierocone dzieci dostały szansę, by zacząć wszystko od nowa, nie licząc na rodzinę, nie licząc na dziedzictwo pokoleń. I wtedy pojawiło się morderstwo.

Nie wtedy. A może wtedy?

Obecnie śmierć zbierała żniwa.

Co takiego kryła w sobie ta ruina, że dalej ginęli tu ludzie?

Pomyślała o małej Mili, stojącej pośrodku „ognia ofiarnego”, i w jej głowie zaczęła układać się historia. Wydarzenia zaczęły wskakiwać na swoje miejsce,

coś się powoli kleiło...

Nagle rozległo się głośne pukanie. Podeszła do drzwi. Otworzyła.

Cezary.

– Nina? – Wszedł zupełnie bez pytania, co ją rozdrażniło. Zgubiła to i wiedziała, że teraz nie będzie jej łatwo wrócić. Wyobraźnia, niezbędna do rozwiązywania spraw, potrzebowała przestrzeni.

Wdarł się w nią Mogielnicki, no ale był u siebie. Oparł się plecami o drzwi, choć go nie zaprosiła.

– Jak twoje śledztwo? – zapytał.

– Moje?

– Wszyscy wiedzą, że pomagasz policji.

– Po pierwsze, to ja jestem policją. Policja i ja: jedność. Tylko że na urlopie – zaśmiała się. – Po drugie, nie mogę ci powiedzieć. A po trzecie, niewiele wiem.

– Musisz rozwiązać tę sprawę, Nina. To są głupcy.

– Nie powinieneś tak mówić.

– Szkodzi nam wszystkim. Umorzą to, nic nie rozwiążą. Ludzie nie będą przyjeżdżać.

– Bardzo chętnie, ale nie znam sprawcy.

Pokręciła głową. Nie ruszał się; nie podobało jej się, że tak stoi. Dziwnie seksualnym, prawie niepokojącym gestem ocierał się o filar. Nie wyglądał na grubaska, widziała, jaki to wielki i prawdopodobnie silny facet. Amerykanie mówili na to „*old man strength*”. Dłonie miał przypuszczalnie dwa razy większe od jej własnych.

– Ty tam mieszkałeś, prawda?

– Gdzie? – Cezary się uśmiechnął.

– W domu dziecka. Wychowywałeś się tam, prawda? Jak tam było?

Wzruszył ramionami.

– Stary Moszko trzymał wszystko żelazną ręką. Miał też dwóch pomocników. Ale ja byłem później. Opiekunowie trochę się postarzel. Mówiono, że to już nie te złote czasy. Przedtem finansowo było bardzo stabilnie. Nie wiem, jakim cudem, czy wychowawcy poświęcali swoje prywatne pieniądze... W każdym razie to się skończyło za mojej bytności. Mieliśmy problemy z finansowaniem, budynek się walił. Nastawialiśmy beczki na deszczówkę, rano kursowaliśmy z nią do lasu... Nie wiem, co ci naopowiadano, ale to nie był raj.

– Atmosfera?

– Atmosfera... Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Trochę jak sekta. Nie było bicia, ale wiadomo było, że stary Moszko jest Bogiem. Myślę, że sporo osób odetchnęło z ulgą, kiedy odszedł.

– Masz na myśli: kiedy został zamordowany.

– No tak.

– To pewna różnica.

Nie odpowiedział.

– Co robił wcześniej?

– Przyjechał tu, jak wszyscy. Z czystą kartą. Chryste, to było tak dawno, Nina.

Miasteczko pełne czystych kart. Tak jak i ona w Beskidzie. Choć nie, ona już przyjechała ubrudzona. Szkoda, że nie potrafiła doświadczyć katharsis związanego z nowym miejscem.

Wahała się. Wkroczyła na dziwne terytorium. Z jednej strony był wychowankiem domu dziecka. Z drugiej – czy powinna go tak wypytywać? Co krył uśmiech jokera od ucha do ucha?

– Czy nadal nic nie mówi ci imię Kai? – wybrała bezpieczniejszą opcję.

W ogóle nie zareagował.

– Albo Kay? – dodała, literując.

– Nie, nie mówi – odparł trochę za szybko i chyba trochę za pewnie.

Musiał wiedzieć, że o to zapyta. Wszyscy wiedzieli. To, o co pytali z Kacperskim na przesłuchaniach, przypuszczalnie nie stanowiło już tajemnicy dla nikogo w Boleni – ani nawet w przylegających miejscowościach, takich jak Wapnica, Wicko i Trzciągowo.

Gospodarz nie przyszedł tu z ciekawości. Przyszedł dowiedzieć się, jaki jest stan śledztwa. Wyobraziła sobie wszystkie przeszłe, obecne i przyszłe biznesy Cezarego Mogielnickiego. Odnosiła przecież wrażenie, że nie zatrzyma się, dopóki cała skarpa boleńska nie będzie jego własnością. Zbudował tutaj potęgę. Zawisły nad nią niskie, zdające się dotykać ziemi chmury.

25

Niemcy. Przejeżdżając przez siostrzany względem Świnoujścia Ahlbeck, Kacperski odnosił wrażenie, że czas się zatrzymał. Mijał wille z gigantycznymi oknami, zaprojektowanymi tak, by można było obserwować morze – bo tutaj widoku nie zastawiono wieżowcami. Chyba nikt ich nie ruszał od dziewiętnastego wieku i zostawiając miasto za sobą, Kacperski poczuł polskie ukąszenie, chęć odwetu. Za zniszczenia i zło. Ale czy to była wina Niemców, że w bliźniaczym Świnoujściu pobudowano hotele, które mogłyby służyć jako latarnie morskie?

Trudne relacje polsko-niemieckie: niełatwo tu było wytyczyć rozsądną linię. W Świnoujściu mówiono po niemiecku, jakby to miejsce dalej po prostu do nich należało. Drażniące. Ale świat się zacierał i granice też się zacierały. Czy nie lepiej było być obywatelem świata niż tylko jednego kraju? Czy dobra – kulturalne, przyrodnicze – nie należały do wszystkich, a nie tylko mieszkańców danego miejsca?

Prowadząc, zerkał na profil Paidaki. Na delikatną linię nosa i brwi, znacznie łagodniejszą, niż mu się początkowo wydawało. Słowa dużo zmieniały. Zmierzała do miasta Binge, położonego w Meklemburgii, niemalże w Rugii. Wybrał nieco dłuższą drogę wzdłuż wybrzeża bałtyckiego zamiast tej okrążającej Szczecin autostradami. Wiodła nabrzeżem. Tę drogę musiała kiedyś przemierzyć Kay Equister. Kobieta, która nie miała prawa już żyć, a w jakiś sposób dyktowała warunki krwawej gry na wyspie Wolin. I może dlatego wybrał tę trasę: żeby lepiej zrozumieć, jak do tego doszło; odtworzyć fakty.

– Czego się spodziewasz? – przerwała ciszę Paidaki, kiedy zatrzymali się, by zatankować. Policyjna pensja nie była wystarczająco dobra na jedzenie z niemieckiej stacji; zamówił dwie kawy.

Przedtem jechali w ciszy i choć czuł się komfortowo, wydawało mu się, że jest nieswoja.

– Znaleźć coś – mruknął.

– Aha.

– Mieliśmy siedzieć na wyspie? – Nagle lekko się zirytował. – Wystawić posterunki w Boleni? Gdzie jeszcze?

Pociągnęła łyk.

– Przepraszam – rzekł.

– Nie szkodzi. Zapaliłabym. Nie masz?

– Nie.

Pokiwała głową, świdrując go ciemnymi oczami. Niesforny pukiel włosów z grzywki opadał jej na czoło. Dostrzegął fragment tatuażu, wychodzący spod bluzki na wysokości obojczyka. Nie miał pojęcia dlaczego, ale kobiece obojczyki były dla niego piękne. Może i była Greczynką „po mężu”, ale miała w sobie coś południowego. Chciał jej dotknąć.

– Mimo to – zaczęła – ja znalazłam czas na coś innego.

– Ach, tak? – Powrócił do rzeczywistości. – Co takiego?

– Informację, że twój ojciec nie żyje.

Zapadła cisza. Wbił w nią spojrzenie.

– Ela...

– Zmarł, może bardziej zginął, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Więc może mi wyjaśnisz, jak to się stało, że go poszukujesz?

Nie odpowiedział.

– To bardzo dziwne, zważywszy na to, że spoczywa na Cmentarzu Miłostowskim, o ile nekrologi nie kłamią. Sam je zresztą wystawiałeś lata temu. To znaczy, jesteś w nich wymieniony. Razem z rodzinką.

Zbierał myśli. Głupota – to jedyne, o czym teraz myślał. Paidaki patrzyła mu prosto w oczy.

– Nie masz nic do powiedzenia? Bo ja mam pytanie. Dwa. Skoro wolisz milczeć, to zadam je po kolei i będziemy mieli z głowy. Po pierwsze: czyje w zasadzie zdjęcie pokazujesz połowie wyspy Wolin? A drugie...

Pomyślał, że zwłaszcza tego drugiego nie chce usłyszeć.

– Dlaczego mnie okłamałeś?

– Ela...

– Powiedz mi prawdę.

– Nie powinienem.

– Stawiam na prawdę w relacjach, wiesz?

– Rozumiem.

– Kim jesteś, Kacperski? Z kim pracuje? Z kim prowadzę śledztwo?

– Znasz mnie.

– Nie. W ogóle. W tym problem. Znam jakiegoś pływaka, który się tutaj pojawił z nienacka. Podobno wymusił transfer. Nie żeby ktoś bardzo pragnął twojej obecności tutaj. Do niedawna mieliśmy spokój.

– Nie kłamałem.

– Więc twój ojciec...

Nie odpowiedział. Minęło kilkanaście ciężkich sekund.

– Dobrze. Okej – powiedziała, wstając. – Idę do łazienki. – A odwracając się, dodała: – Nie powinnam z tobą rozmawiać, dopóki to się nie wyjaśni.

Przez resztę drogi, wciąż wiodącej wybrzeżem, jechali w milczeniu. Raz na jakiś czas ukazywał im się Bałtyk. Myśli przebiegały mu przez głowę, ale nie odważył się ich zwerbalizować. Czuł zapach jej perfum, słyszał jej oddech, ale wyglądało, jakby byli rozdzieleni niewidzialną szybą.

Ulżyło mu, kiedy dotarli na miejsce. Miasteczko Binge już nie wydawało się takie eleganckie. Przede wszystkim odnotował zatrważające ilości bloków. Tak łatwo zapomnieć, że komunistyczna zaraza, nieoszczędzająca architektury, dotarła również tutaj. Wydawało się dziwnie pocieszające, że Niemcy także nie wiedzieli, co z tym zrobić. Tu właśnie, do tego miasteczka, zdecydowała się emigrować Kay Francis, a tak naprawdę Kay Equister.

Tropem Kay. Wyobrażał sobie przedwojenną dzierlatkę albo aktorkę kina niemego. Nie zmieniała się z wiekiem. Była dla niego Kay Equister z przedwojennej Boloni, czy jak tam miejscowość się wtedy nazywała. Była jasnowłosą Kay, krewną bogatych fabrykantów, która powinna skończyć studia w Berlinie, a może w Stettin.

Zajechali. W środku lepiej: zadbane trawniki, skwery obsadzone bodziszkiem i malwami. Na miejscu przyjął ich niemiecki policjant – „Polizei” – z którym się wcześniej umówili. Rozmawiali jednak po angielsku. Kacperski czuł, że jego język jest zardzewiały i będzie kaleczyć jak diabli. Policjant, Karl, okazał się spokojny i bardzo uprzejmy.

– Czemu takie stare sprawy was interesują? – zapytał niedbałym tonem, ale niebieskie oczy pod blond brwiami spoglądały czujnie.

– Mamy swoje powody.

– Powody. – Policjant się uśmiechnął. Wiele nie mógł. W gruncie rzeczy był prowincjonalnym gliną, żadnym tam Brudnym Harrym. O ile Kacperski się nie mylił, Karl tylko wykonywał czyjeś polecenie. Jego pytanie było tego typu, jak

pytanie policjantów z drogówki o wykonywany zawód: bez wielkiego znaczenia.

– Opowiadają, że u was jakiś seryjny się pojawił.

– Kto opowiada?

– Media.

– Śledzicie?

– Przecież to tak blisko... Czy wasz przyjazd ma związek?

– Może mieć.

Musiał mieć. Prawda była taka, że Kacperski wiedział, że jego pozycja w pracy od tego zależy. Utracił już status przyjezdnej gwiazdy, który bardziej zajął, niż na który zasłużył. A teraz Paidaki również przestawała być jego sojuszniczką.

Policjant westchnął, jakby na znak, że żałuje, że Kacperski jest taki małomówny. Następnie zajrzał do notatek.

– Kay Equister. Mieszkała tutaj. Do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego.

– Co robiła?

– Tego nie wiemy. – Policjant podrapał się po głowie. – Chodźcie za mną, skieruję was we właściwe miejsce.

Weszli do jednego z mieszkań w dziesięciopiętrowym wieżowcu z kwadratowymi balkonami. Daleko tu było do elegancji Ahlbecku. Bardziej już jak na Jeźycach – nie tych z prozy Małgorzaty Musierowicz, ale tych z wersów rapera Pei.

– Porozmawiacie z kimś – rzekł Karl. – To kobieta mieszkająca naprzeciwko. Kojarzy Kay Equister. To już jest spory sukces, prawda?

– Tak.

Czekała na nich: niepozorna, zwyczajna kobiecina, z twardą twarzą i oczami, które z pewnością wypłakały już sporo łez.

Była naturalnie za młoda, żeby być Kay, mimo to spoglądał na nią łapczywie. Chyba to wyczuła i może dlatego patrzyła na niego nieufnie. Karl łagodnie jej wszystko wytłumaczył. Pokiwała głową i coś powiedziała. Kacperski nie wszystko zrozumiał, bo zdawało mu się, że kobieta używa dziwnego dialektu. Niemieckie dialekty regionalne – mało znana dziedzina nauki.

– Zaraz wrócę – oznajmiła.

Tyle zrozumiał. Zerknął na policjanta, który kiwnął głową i kazał cierpliwie czekać. To nie trwało długo; kiedy wróciła, trzymała w dłoni niewielki

przedmiot.

Notes. Był stary i odrapany. Coś w stylu imitacji skóry, ale nie wyszło.

– To jest pamiętnik – wyjaśniła kobieta. Kacperski przełknął resztki dumy i poprosił, żeby mówiła wolniej. Spojrzała na niego z politowaniem i zaczęła mówić tak wolno i prosto, jakby był niepełnosprawny intelektualnie. – Ona wyjechała już tak dawno. Nie sądziłam, że ktoś się może tym jeszcze zainteresować.

– Zapamiętała ją pani?

– Słabo. Żyła tu samotnie.

– Z czego, jak pani sądzi?

– Nie wiem. Zdaje się, nie miała długów, choć jakiś czas po jej zniknięciu mieszkanie zostało zlicytowane przez zarządców.

– Nie została zgłoszona jako osoba zaginiona?

– Może. Nie pamiętam. Proszę pana, to był środek komunizmu. Nie miała, zdaje się, krewnych, nikt za bardzo się nie interesował tym, że zniknęła. Weszłam do mieszkania, kiedy przyszli ludzie ze wspólnoty. Nie wiedziałam, co zrobić z tym notesem, przecież to osobiste, ale nie chciałam, żeby zaginęło... pomyślałam, że może ktoś kiedyś się tym zainteresuje, choć nie przypuszczałam, że zejdzie tak długo.

Coś w sposobie, w jaki trzymała przedmiot, w swobodnym dotyku sugerowało, że już się z nim zapoznała. Ale Kacperski mógł być w błędzie, jak zwykle ostatnio. Mógł być zbyt podejrzliwy, zboczenie zawodowe. Chociaż – ile osób na dziesięć powstrzymałoby się przed zerknięciem do cudzego pamiętnika, gdyby wpadł im w ręce?

– Czy mogę? – zwrócił się do niej po niemiecku.

Kobieta dyskretnie spojrzała na lokalnego policjanta, który mniej dyskretnie kiwnął głową. Jego twarz wyrażała zainteresowanie. To była prowincja, coś jak Kamień Pomorski u zachodnich sąsiadów. A jednak coś tu się działo. I przekazywali dowody Polakowi zza miedzy.

Paidaki nie odzywała się przez cały ten czas. Nie wiedział, czy z uwagi na nieznamość języka, czy miała inne powody.

– Musimy to rozszyfrować – oznajmił, kiedy usiedli w niewielkiej kawiarni. – Jak tam twój niemiecki?

Nie patrzyła się na niego. Siedzieli w fotelach: piwo dla niego, cappuccino dla niej. Szczupłe nogi skrzyżowała w kostkach. Przewracała strony pamiętnika,

a włosy spadały jej na czoło.

– Ładna kaligrafia...

– Aha. – Uśmiechnął się i wziął łyk piwa. Paskudztwo, spojrzął z niedowierzaniem. Kosztowało prawie pięć euro, a smakowało, jakby było z koncentratu. Mit runął.

– To nie znaczy, że nic nie rozumiem. – Ela nie wyglądała pewnie. – Co prawda zdawałam maturę, ale jestem zardzewiała. A pismo naprawdę ładne.

– Przynajmniej to – zaśmiał się. – Musimy to przeczytać.

Paidaki przebierała palcami po pożółkłym papierze.

– Teraz?

– A mamy inne wyjście? Jeśli coś w nim jest, a trop prowadzi właśnie tutaj, to co? Przecież musimy to wiedzieć. Dobra, podzielmy się. Zrobię zdjęcia...

– Nie brzmiałeś, jakbyś czytał po niemiecku.

– Jestem z Poznania. Jakoś sobie radzę. – Przełknął złośliwość. – A poza tym nie pytałaś.

Pokręciła głową.

– Musimy iść do hotelu – dodał. – I będziemy porównywać.

Milczenie.

– Uprzedzałem cię, że nie wracamy na noc, prawda? Przepraszam, nie wszystko ostatnio zapamiętuję...

– Tak, mówiłeś. Ale to, niestety, niemożliwe. Muszę być wieczorem. Możemy zrobić naradę i odświeżyć się, ale muszę być na noc w Kamieniu.

Kacperski chciał coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował. Kiwnął głową.

Rozdzielili się. Hotel – nudny architektonicznie, w przeszłości chyba robotniczy – przynajmniej był porządnie wyremontowany. Szymon przebrał się i obejrzał w lustrze. Zaczesał do tyłu wilgotne włosy, a potem rozwichrzył, bo znieścacka wyglądał jak amant z Manieczek. Włożył koszulę i dżinsy. Wyszedł na korytarz i chwilę stał przed drzwiami Paidaki. Po chwili cofnął się jednak, wrócił do siebie i usiadł na krześle.

Ulżyło mu, kiedy czterdzieści minut później zapukała i weszła, dalej ubrana w modnie workowate dżinsy i bezkształtną bluzę. Choć nawet to ubranie zdradzało, jak bardzo jest szczupła.

– Długi ten pamiętnik – powiedziała i usiadła na łóżku. – Zapiski są datowane na lata. Kay pisze o jakichś dobrach, które zostawiła.

– Miała co zostawić?

– No, von Hornowie produkowali tę cegłę, więc nie wiem... Z pewnością urodziła się w jakimś majątku, cała Boleń była wówczas zamożna. Więc w grę wchodzi dobra rodowe, monety, biżuteria...

– Jesteś pewna?

– Nie. Tak naprawdę to może być wszystko.

– Czegoś jednak nie rozumiem.

Milczała i poczuł się nieswojo. Dlatego zrobił coś dziwnego i niekonwencjonalnego. Żeby nią poruszyć. Żeby zrzuciła z siebie tę piekielnie zimną powłokę. Kto na świecie nie zareaguje na abordaż świętego barku pokojowego? Podszedł i wyjął jedno piwo.

– Spokojnie, zapłacę – powiedział, lecz i tym nie zasłużył na reakcję. – Tak siedziałem i nad tym myślałem. Kay wyjechała z Polski. Ale pewnego dnia zamknęła drzwi mieszkania w Binge i przypuszczalnie nigdy tu nie wróciła.

– Tak.

– Zniknęła.

– Na to wygląda. Do czego zmierzasz?

– Wszystko, co wiemy o jej historii... – Zamyślił się. – Wiem, że to dziwne, ale...

Przerwał, obracając w dłoni butelkę piwa i pocierając opuszką palca etykietkę. Zdawało mu się, że w ciemnych oczach Eli Paidaki dostrzega błysk zrozumienia. A potem dokończył zdanie, przypuszczając, że policjantka zna już ciąg dalszy:

– Myślisz, że ona cały czas jest w Boleni?

26

Zdawało się, że lada chwila Boleń w strugach deszczu osunie się do Zalewu Szczecińskiego. Miasto na klifie, który mógł stałe ulegać erozji. Desperacka w gruncie rzeczy strategia ludzi, którzy postanowili przycupnąć na tym niewielkim kawałku świata. A mimo że wybiła dopiero piąta, od deszczu zrobiło się już całkiem ciemno.

Mila spędzała czas z dziadkami. To ostatnie dni i Nina zastanawiała się, jak ten czas wpłynie na ich relacje z jedyną wnuczką. I co zmienią rozmowy, które tu się odbyły. Wnioski będzie można wysnuć przypuszczalnie dopiero za jakiś czas. W końcu Tomek, zdaje się, nie chciał mieć dzieci, pytanie tylko, czy przekazał to swoim rodzicom. Programiści bywali kiepscy w komunikacji.

Desperacja, strach, może nawet lęk przed starością i śmiercią – to właśnie widziała ostatnio w oczach świekry. Dzisiejszy wieczór należał do nich, byle nie odchodzili zbyt daleko od Szumów. Najlepiej, żeby w ogóle nie wychodzili. Plan był następujący: puzzle z dziadkiem amebą, czytanie nowych przygód szalonych skarpetek autorstwa Justyny Bednarek, a potem – niezawodnej Świnki Peppy. Żadnych filmików z laptopa i absurdalnie krwawych bajek Andersena czy braci Grimm. Tak naprawdę współczesna polska literatura wczesnodziecięca była znacznie lepsza. I *profesjonalna* – w tym znaczeniu, że dzieci otrzymywały treści odpowiednie do wieku. Bez motywu zjadania ludzi, dziwnie popularnego w starych bajkach.

Więc dzisiaj był wieczór dziadka i babci. Bo może nadejdzie kiedyś taki dzień, w którym Mila będzie chciała powrócić do Warszawy – i powinna mieć do kogo.

Nina zerknęła jeszcze raz za okno. A potem głęboko odetchnęła chłodnym powietrzem, aby wyczuć temperaturę – i atmosferę tego miasta. Kiedy została sama, wyciągnęła glocka z sejfu. Przez chwilę obracała go w dłoniach. Magazynek, dla bezpieczeństwa, trzymała w zupełnie innym miejscu: był schowany i zamknięty w samochodzie, ale wyjęła go chwilę wcześniej. Włożyła broń za pazuchę. Na to wszystko nałożyła kurtkę przeciwdeszczową, na stopy wzięła niezawodne scarpny. Tak wyekwipowana wyszła i skierowała się drogą wzdłuż Boleni.

Długo nie widziała nikogo. Olchy wzdłuż ulicy wykładanej kostką rzucały długie cienie. Szła, starając się nie rozglądać wokół i nie zastanawiać, czy któryś z krzaków dziwnie nie wygląda. Czy od któregoś drzewa nie odrywa się cień, a w oknach nie widzi oczu, które śledziłyby każdy jej ruch.

Po prostu maszerowała. Kierowała się za miasteczko, tam gdzie kryło się sedno tajemnicy. Umysł w końcu pracował sprawnie i klarownie. Śledząc losy znikającej Kay, Kacperski wyjechał do Niemiec, Nina czuła jednak, że rozwiązanie zagadki znajduje się znacznie bliżej.

Ciężkie krople deszczu spadały jej na nos i kaptur. Nie zauważyła, że obserwując otoczenie, tak się na tym skoncentrowała, że mimowolnie wyłączyła zmysł słuchu. Drgnęła na dźwięk cichego „Nina”.

Obróciła się z dłonią na pistolecie.

W tej aurze przez chwilę nie rozpoznawała postaci przed sobą, tak samo okutanej jak ona.

Ale to tylko Basia Dombrowicz.

– Och, to ty – powiedziała z ulgą. – Co tu robisz?

– Wysłałam z pieskiem. Niestety obydwójce jesteśmy w trudnej sytuacji – zaśmiała się Basia.

Nina rozejrzała się. Czarny, mocno zbudowany pies, może nawet mastyf, grzebał łapą pod starą topolą. Na szczęście zdawało się, że Basia Dombrowicz nie żywi urazy za przesłuchania. Nina wykonywała tylko swoją pracę – a *de facto* pracę Kacperskiego.

– Basker – tak chyba wabił się pies – potwornie boi się burzy. Przypuszczam, że jeszcze bardziej boi się jednak, że się wkurzę, kiedy narobi w pokoju, więc...

Nina z kolei bałaby się takiego psa. Kto kupował te wielkie, niebezpieczne rasy? Być może ludzie, którzy lubili zastraszać innych. Nie mówiła tego na głos, w dzisiejszych czasach było to niemodne. Dlaczego bardziej tego nie kontrolowano... Jako młoda funkcjonariuszka z prewencji na Pradze-Północ tyle razy miała do czynienia z pogryzieniami i dalej nic.

Dombrowicz nie pasowała jej do takiego psa – chociaż co Nina o niej wiedziała?

– Gdzie się wybierasz? – podjęła Basia.

– Na spacer. Musiałam się ruszyć. Bezruch działa na mnie depresyjnie.

– Chyba nie jest tak źle!

– Tak czy siak, chciałam się przejść.

Miejscowość była pusta. Ale teraz Ninie wydawało się, że widzi przesuwające się firanki w oknach. Jak gdyby ludzie byli bezpieczni w środku, a morderca miał się przechadzać ulicą.

Pani Fela została zamordowana we własnym ogrodzie. Płotek jej nie ochronił.

– Nie boisz się? – zapytała.

– Żartujesz? Z takim psem...

– Ja bym nie żartowała.

– Och, nie wierzę, że morderca jest tutaj.

– Uwierz. Statystyki mówią, że to jest ktoś, kogo dobrze znasz.

– Nina...

– A logika, że to ktoś mieszkający w domu, w którym sprzątała pani Fela. Nie ma was tak wiele.

Stały pod latarnią. Na potwierdzenie tego, o czym myślała, w oknach okolicznych domów dostrzegła światła. Ktoś na nie patrzył. Jak gdyby odgrywały spektakl teatralny na deszczowej ulicy. Niedobrze.

– Basia, proszę, wracaj do domu. Mówię to jako policjantka. – Dotknęła jej ramienia.

– Ja... przecież wiesz, że ja nie jestem w żaden sposób z tym powiązana.

– A twój mąż?

– Jak możesz!

Rysy twarzy kobiety się wyostrzyły.

– Chcę tylko powiedzieć – rzekła Nina – że każdy w tym miasteczku ma powiązania. Nie jestem też w stanie powiedzieć, co kieruje mordercą. Więc zadzwoń lepiej po Piotrka, niech po ciebie przyjdzie.

Odeszła. Szkoda, że pozwoliła na to, żeby ktoś ją obserwował. Zarazem jednak, być może pod wpływem adrenaliny, jej myśli trochę się uporządkowały. Chyba w końcu uchwyciła tę, która przedtem jej umykała. Była oczywistą konkluzją całego toku rozumowania. Zainicjowanego zabawą dzieci poprzedniego dnia.

Włodzimierz Moszko został zepchnięty z klifu. Wydawało jej się, że za mało czasu poświęciła temu zagadnieniu. Każdy zginął inaczej, zabójca wydawał się elastyczny, wszechstronny i przewidujący. Jak przypuszczała, znał rytuały Michała Góralskiego i czekał na niego pod Wielkim Krzekiem. Okazał się na tyle zuchwały, żeby potem odprowadzić motorówkę do przystani na Karsiborze.

Ale tylko jeden z nich, Moszko, zginął przed śmiercią, tak mogłaby to określić. Tylko on zginął dwa razy: zamordowany, a potem zrzucony z klifu. Podwójna śmierć Moszki mogła stanowić klucz do rozwiązania zagadki. Zwłaszcza że chodziło o samego założyciela domu dziecka i, zdaje się, kluczową figurę tej instytucji.

Ale po co zabójca miałby ryzykować, przeciągając Moszkę przez krzaki, a potem spychając martwe już ciało w przepaść? Inni zginęli bardziej naturalnie. Co się za tym kryło? Ten morderca wydawał się nieuchwytny, szybki, ale też pragmatyczny. A tu przeprowadził taką skomplikowaną operację.

Intensywnie rozmyślając, maszerowała coraz szybciej. Głowę miała okrytą kapturem, czuła dudnienie krwi w skroniach. Domy stały coraz rzadziej i rzadziej, władzę przejmował las. Boleń została za nią; szła teraz leśnymi ścieżkami, które mogły okazać się nieobliczalne. W końcu zobaczyła już trochę jaśniejszą powierzchnię zalewu. Spokojna tafla wody odbijała łagodne światło księżyca i Nina podążyła w tym kierunku.

Klif był dalej, niż się wydawało, pani noc tworzyła iluzję światła, dźwięków oraz odległości. Drzewa szumiały, hałasowały i zdawało jej się, że słyszy za sobą trzaski i dźwięki łamanych gałęzi. Nie obejrzała się, nie poddała się tym razem szalonej fatamorganie.

W końcu wyszła na ścieżkę nad klifem. Tu było trochę jaśniej, widziała już drogę. Szła ostrożnie, chroniąc się przed upadkiem lub ponownym zwichnięciem nogi w butach, których protektor wytarł się lata temu.

Myślała. Tutaj było najlepiej. Najbliżej samego początku łańcucha zbrodni.

Kay...

Słowo klucz: nie tylko do morderstw na wyspie, ale też do mrocznej przeszłości samej wyspy. Burzliwych i dość krwawych losów regionu; od opowieści o jomswikingach i ich legendarnym zakonie na wzór Sparty (w rzeczywistości, jak przeczytała, była to banda krwawych najemników) po panowanie Gryfitów, czasy niemieckie, a potem te najbardziej chyba burzliwe, choć przynajmniej jakoś udokumentowane.

W końcówce wojny i latach powojennych było tu dziko i chaotycznie. Wszędzie, gdzie stąpała, musiało być dużo przemocy. I młoda Kay w tym wszystkim – z pewnością zapłaciła za Niemcy, choć po wojnie była niemal dzieckiem. Może została na wyspie sama, może bliscy zostali zamordowani albo

uciekli. Prawdopodobnie została przygarnięta przez twórców domu dziecka – jak opowiedział jej Ryłko – i to na jej cześć nazwali jedną z łódek.

Nina rozejrzała się dookoła. Ścieżką, którą sprawdziła już pierwszego dnia, można było stąd dotrzeć do pałacu. I kiedy patrzyła na tę wąską dróżkę, nagle zrozumiała. Obrazy połączyły się w jej umyśle z wiedzą, coś przeskoczyło, złapała myśl, która długo jej umykała. I zrozumiała, dlaczego Włodzimierz Moszko zginął w ten szczególny sposób. Nagle stało się to bardzo jasne.

Nie wiedziała jeszcze, kto to zrobił, ale chyba już wiedziała dlaczego. Dostrzegła motyw, patrząc na przestrzeń między miejscem, w którym stała, a szerokimi wodami zalewu. Myślała o tym, stojąc na krawędzi klifu, na mokrej, osuwającej się ziemi.

Drzewa szumiały bardzo głośno i może przez to nie usłyszała.

Trenowany instynkt też zawiódł.

Poczuła na plecach czyjeś dłonie.

Potem bardzo mocne pchnięcie.

Stopy oderwały się od ziemi i poleciała w dół.

Pogoda psuła się i utrudniała funkcjonowanie promów. Samochody stały w męczących kolejkach, a pasażerowie doświadczali przymusowej izolacji. Paidaki dalej milczała i Kacperski, nie wiedząc czemu, denerwował się, że w jego samochodzie nie pachnie zbyt pięknie, a wręcz śmierdzi: skórkami od kurczaka i starymi frytkami, które powpadały między siedzenia. Wstyd mu było. Samochód zdradzał jego kawalerski stan, zaniedbanie.

Paidaki otworzyła okno, tak jakby usłyszała jego myśli. Do środka dostały się mulisty odór Świny i zapachy portu w Świnoujściu. Krople deszczu spadły Eli na bluzkę, mocząc jej również włosy. Przejechała dłonią po głowie i zdawało mu się, że kropelka spada mu na ramię. Uśmiechnęła się. Wydawało mu się, że kieruje to bardziej do siebie niż do niego, ale i tak trochę się rozluźnił.

Zbyt długo już milczeli. Nie lubił milczenia; napinało go, wydawało mu się, że milczący człowiek jest mu wrogi. Kojarzyło mu się z dzieciństwem, ojciec był milczkiem. No chyba że się zdenerwował, wówczas stawał się bardzo wymowny.

– Coś jakby wiosenny deszcz... – przerwała ciszę Paidaki.

– Chyba tak.

– Wyobrażam sobie, jak ona tędy wracała.

– Kto?

– No oczywiście Kay. Gdzie jesteś, Kacperski?

Wolał nie odpowiadać.

– Zżyłam się z nią. Jak to funkcjonowało w przeszłości, czy wiesz coś?

– Przepraszam, chyba nie nadążam za tobą.

– Czy byli tacy sami przewoźnicy jak obecnie?

– Tak, chociaż po wojnie miasto odcięło od świata na jakiś czas, bodajże jedną zimę.

– Dlaczego nie zrobili mostu?

– Dlaczego? Bo jesteśmy kolonią. Amerykanie nie mogliby swojej flotylli wojennej transportować do Szczecina.

– A co im przeszkadza most?

- Musiałby być wysoki pod niebo, żeby się zmieściła.
 - Tylko tyle?
 - A co, myślałaś, że ziemia się nie nadaje? Będzie tunel.
 - Kiedy?
 - Nie wiem. Jeszcze trochę postoiśmy i załapiemy się na budowę.
- Znowu się roześmiała, choć to nie było aż tak zabawne.
- Kacperski, ty jesteś jak ten tunel. Ryjesz pod ziemią jak kret.

Rzucił jej pytające spojrzenie. Nic więcej jednak nie powiedziała. Zapadło milczenie, ale odrobinę lżejsze. Przestał zastanawiać się nad tym, co Paidaki o nim sądzi, i zaczął myśleć o śledztwie. Czy podróż śladami Kay zmieniła cokolwiek? I co takiego podróż zmieniła w życiu Kay?

Zaczynał widzieć tę kobietę. Była słowem, a stawała się osobą. Na razie odległą i zamgloną, ale to się miało zmienić. Tuż po wojnie była młodą osieroconą dziewczyną. Potem stała się kobietą. W końcu mieszkanką bloków, które zostawili po sobie czerwoni. Gdzie skończyły się jej dzieje? Czy się skończyły? Owca

- Kay nigdy nie wróciła – powiedział na głos. – Wyjechała po swój skarb, ale nigdy nie wróciła z nim do Niemiec.

- Szkoda, że nie wiemy, co mogła mieć. A nawet gdzie...

- To akurat, generalnie, jest nieźle udokumentowane. Niemcy zakopywali, gdzie się dało. Ukrywali w sobie tylko znanych miejscach, które opisywali po to, żeby wrócić.

- Nie mogli od razu tego wydobyć?

- Może nie mieli czasu.

- A ci, którzy zostali chwilę po wojnie, jak Kay?

- Może bali się narażać i tak dalej. Czasy były bardzo niedobre dla niemieckich obywateli. Chcieli przeczekać. Ostatecznie gospodarstwa znajdowały się już w posiadaniu polskich osadników... Niektóre z miejsc zresztą przeszukiwano, a wielu tych tak zwanych skarbów do tej pory nie odkryto.

- Gdzie Kay mogłaby coś ukryć?

- Zwykle ukrywa się w miejscach, które zna się najlepiej, prawda? Albo tam, gdzie nikt nie trafi, ale to niebezpieczna strategia. No i głęboko, jeśli się da. Przecież polscy osadnicy zajęli i budynki, i ziemie. Kay była kuzynką von Hornów. Może bywała w pałacyku na klifie...

- Bała się.

– Skolonizowaliśmy Wolin. Teraz to wygląda porządnie. Ale kiedyś poza spokojnymi ludźmi zjeżdżało się sporo łobuzów, awanturników, którzy uciekali przed czymś i mieli mniej do stracenia.

– A jednak Kay Equister przetrwała. Wojnę i czasy powojenne. Dopiero po jakimś czasie wyjechała. Zastanawia mnie to.

– Uciekała przed czymś?

– Może powracała do Niemiec, bo tam czuła się swoja...

– Może. Oczywiście to jest jakiś argument. Całkiem solidny. Ale...

Zadzwoił jego telefon, na ekranie wyświetlił się Zembrzuski. Nie odebrał. Paidaki też widziała, że to szef, ale nie zareagowała. Jaką miała z nim relację? Zembrzuski wypowiadał się o niej całkiem dobrze jak na niego. Ale czy sama mogła być dobrego zdania o tym czerwonym skurwielu?

– Wiesz, coś jeszcze mi nie grało w tym pamiętniku – powiedziała.

– Co takiego?

– Kay używała słowa *schatz*. Ale to również oznacza... nie, to chyba zła teoria. Nie będę ci mieszała w głowie.

– Powiedz.

– Dokładnie tak jak u nas, *schatz* oznacza skarb, ale również i bliską osobę.

Coś tu nie pasowało. Nie wiedział, ale coś bardzo nie grało. Dom dziecka bez skazy. Jego własna hipoteza o odwecie zmasakrowana przez Zembrzuskiego już dawno temu. Jakby zbrukał lokalny pomnik. Cudowny zamek, zmieniający trudne historie niechcianych, niezaplanowanych, osieroconych dzieci w dobrze funkcjonujące jednostki.

Ruszyli. O zmierzchu samochody stopniowo zaczęły na promie zabawę w tetris. Flisacy wskazywali miejsca: lewo, prawo, do końca, ciasniej... Udało im się. Wlepili się w miejsce po lewej.

– Kacperski... – zaczęła.

– Tak?

– Posłuchaj, naprawdę możesz mi to powiedzieć.

Może nie był taki bystry i szybki jak Paidaki. Przez dłuższą chwilę naprawdę nie wiedział, co ona ma na myśli.

– Chciałbym znać zagadkę Kay, tak samo jak ty.

– Mówię o twoim kłamstwie. Sorry, nie będę tego nazywać inaczej. Nie mówię tego jako policjantka. Jeżeli to jest coś nielegalnego...

Wydawało się, że dawała mu przestrzeń.

– W każdym razie chcę ci powiedzieć, że nie będę cię tutaj oceniać.

Obrócił się do niej.

– W takim razie po co ci ta wiedza?

Wyszło ostrzej, niż zamierzał. Ale, o dziwo, tym razem spoglądała mu prosto w oczy. Kacperski też na nią patrzył i w głowie formułował zdania. Jednak wciąż nie wiedział, jak miałyby to wszystko wyrazić. Opowiedzieć tak, żeby było jasne. Ale Ela Paidaki jego milczenie z pewnością rozumiała po swojemu.

Znowu dzwonek telefonu, i znowu Zembrzuski.

– Nie odbierzesz? – zapytała.

– Oddzwonię, jak przejedziemy. Zaraz będziemy wyjeżdżać z promu.

Nie skomentowała.

Szef już na starcie kazał zmienić linię śledztwa. Nie w zemście tkwiło sedno zagadki – tak właśnie powiedział. Kacperski, jako główny śledczy, miał w efekcie związane ręce. Związane miejscowymi układami, nieuzasadnionym zaufaniem do lokalnej historii, wiarą we własną wersję tej historii.

Bo wydawało mu się, że to jednak odwet. Chociaż inny, niż początkowo sądził.

Paidaki była tutaj zakorzeniona. Jaka była wyspa Wolin, która wizja tego miejsca była prawdziwa? Czy faktycznie była to wiecznie zmieniająca się kraina odważnych, przedsiębiorczych, a często zdesperowanych ludzi? Im dłużej myślał o Kay Equister, tym bardziej stawała się ona w jego głowie ucieleśnieniem Wolinu. Byli jednością, Wolin i Kay.

– Jedźmy – szepnęła Paidaki, bo nie zauważył, że prom dobijał już do brzegu.

28

Samo oderwanie od ziemi trwało milisekundę. Nina zamachała bezradnie w powietrzu, a potem ramieniem boleśnie uderzyła o kamień. Jakimś cudem zachowała kontrolę nad ciałem: zdołała rozluźnić mięśnie i lewą ręką chwycić za korzeń. Poczowała ból rozrywanego paznokcia, który po chwili zaczął promieniować dalej. Wciąż turlała się w dół po klifie, ale była już w stanie trochę nad tym panować. Jak rozbitek w czasie sztormu chwytiała się kawałków materii: ziemi, kamieni, trawy, usiłując choć trochę spowolnić upadek.

Kolejny wyskok. Zamknęła oczy i jakimś cudem złapała się potężnej kępy traw. Była już kilkanaście metrów ponad krawędzią wody. Leżała bez ruchu, przez chwilę czekając na ból. To wszystko trwało już zbyt długo, albo może to czas się zatrzymał. Przez głowę przeleciał jej strumień myśli. Może nie całe życie, jak opowiadano, ale zestaw jego najgorszych momentów.

Chciała jechać na narty, jak rówieśnicy, a nietrzeźwy ojciec źle nastawił jej wiązania polsportów, które wyciągnął z szafy albo znalazł na śmietniku. W wyniku jednego upadku złamała sobie aż dwie kości: piszczelową i strzałkową. Pierwszy znak, zanim pojawił się ból, dała jej stopa odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni. Przez chwilę przyglądała się temu zdziwiona, ojciec zaś siedział obok ze zbolalym wyrazem twarzy pijaka. Bezradny, kiedy w dali usłyszeli sygnał karetki. Nina wiała się z bólu.

W końcu ból nadszedł, ale mniejszy, niż się spodziewała. Odetchnęła ciężko: czuła plecy, ramiona, tyłek, z tyłu głowy kapała jej krew, ale prawdę mówiąc, to było nic wobec złamania nogi na polsportach. Choć nie wzgardziłaby zastrzykiem morfiny w pośladek, który otrzymała wówczas w karetce. Teraz ból nie uderzał blitzkriegiem, pulsował równomiernie w wielu częściach ciała, co zapewniało dziwną równowagę.

Obejrzała się na tyle, na ile mogła: fizycznie była kupką nieszczęścia. Ale kończyny miała całe, gorzej z paznokciem lewej dłoni – urwała go i palec wydawał się krwawą miazgą. Powoli i z namaszczeniem przejechała palcem po brzuchu, piersiach i ramionach, jak gdyby robiła buddyjski skan ciała. Vipassanę. Ta czynność zadziałała uspokajająco.

Jedno było pewne – przeżyła upadek z klifu. Nie wszyscy na wyspie Wolin mogli się tym pochwalić. Pomacała za pazuchą – wciąż tkwiła tam broń. Wyjęła ją. Ból narastał. Najbardziej w palcu. Krople krwi kapały na szary w tym świetle piasek i kamienie.

To *mógł* być gwałtowny podmuch wiatru, przecież jak idiotka stała na krawędzi klifu, nad samą przepaścią... Ale poczuła czyjeś dłonie. Została pchnięta. A to z dużym prawdopodobieństwem oznaczało, że miała na swoich plecach palce pięciokrotnego mordercy. Mimo wieloletniego doświadczenia przeszedł ją dreszcz. Ostatni raz morderca dotykał jej na Pradze-Północ, w gąszczu otaczającym Wisłę na prawym brzegu, i nie wspominała tego specjalnie dobrze. To wspomnienie wywołało skojarzenie, którego w gruncie rzeczy chciała uniknąć.

Była wystawiona na strzał. Ale gdyby to miało nastąpić, już by się wydarzyło. Ten morderca działał inaczej. Spojrzała w górę. Wysepka, na której przedtem stała, wyglądała stąd jak wiszący kawałek ziemi. Nad nią z trudem można było dostrzec korony rosnących tam drzew. Wspinanie się z powrotem było obarczone ryzykiem.

Kilka metrów poniżej szumiały sitowia; czuła też mulisty zapach wody. Spadła na sam dół klifu. Może zepchnięta, może w ten sam sposób co Włodzimierz Moszko. Mięśniom biegaczki, piechurki wędrującej z nosidełkiem po Beskidzie zawdzięczała ten balans ciała, który uratował ją przed większymi konsekwencjami.

Zrobiła sobie prowizoryczny opatrunek z chusteczek higienicznych, których opakowanie cudem znalazła w kieszeni. Wtedy, nad Wisłą, nosiła w brzuchu cenny ładunek, teraz śpiący bezpiecznie parę kilometrów dalej...

Co ona robiła, narażając życie nawet nie w swoim własnym śledztwie?

Pokręciła głową. Jeszcze raz się rozejrzała. Było cichutko, słyszała tylko szum traw i czuła łagodny powiew znad Zalewu Szczecińskiego. Wyciągnęła telefon, żeby sobie poświecić. Okazało się, że jest jeszcze jedna ofiara upadku. Ofiara, która znacznie bardziej ucierpiała od Niny Warwiłow. Szybka smartfona pękła wpół i teraz na ekranie widać było dziesiątki rozchodzących się promieniście cieniutkich kresek, wyglądających jak linie papilarne wyryte w szkłe. Mapka trzęsienia ziemi.

Mapa.

Następne skojarzenie, które zaczęło uruchamiać nowe obrazy. Jak pierwszy poranny pociąg metra, dla którego otwierają się kolejne stacje...

Łowca i jego terytorium.

Widziała już to miejsce na mapce. Ten teren, obecnie dziki, mógł stać się nową przystanią. Plotkowano o tym w Boleni. Jaki deweloper go kupił? Być może wskutek upadku i nabicia sobie kilku guzów w jej głowie otworzyła się nagle klapka i – jakby była bohaterką jakiejś kreskówki – zmądrzała.

Tajemniczy deweloper oraz projekt nowej przystani. Musiała spojrzeć na znane jej już fakty pod innym kątem, jak gdyby z drugiej strony. Zerknęła na zniszczony telefon. Drażniący przedmiot, który brał ludzi w swoje władanie, nagle okazał się bardzo potrzebny.

Nie widziała przycisków, ale – błogosławieństwo technologii – odblokowała go kciukiem. Staroświecka i mocarna nokia 3310 zwyczajnie przeżyłaby ten upadek. Smartfon nie miał szans: okazał się co najmniej ciężko ranny. Kliknęła na ostatnie połączenie, tam gdzie, jak jej się wydawało, powinien być przycisk na ekranie dotykowym. Co prawda myślała już jasno, ale zrobienie czegokolwiek sprawiało jej trudność, jakby była z waty.

Telefon, zdaje się, zwariował po całości. Sygnał, z niezdrowo piszczącym dźwiękiem, był ledwo słyszalny.

Kacperski odebrał.

– Nina?

– Tak, to ja.

Dobrze było go usłyszeć i samej wypowiedzieć jakieś słowa. Na potwierdzenie, że żyje. Zwalczyła chęć opowiedzenia o swoim upadku. Teraz to było bezzasadne.

– Wspominałeś o budowie nowej przystani, prawda? – zapytała.

Chwila ciszy...

– Tak.

– Dobrze. A pamiętasz może, kto chciał ją wybudować?

29

Po rozmowie z Niną Warwiłow, której prawie nie słyszał, Kacperski na długo stracił zasięg. Jechali przez sam środek lasów wolińskich, ich głuchych ostępów, i czuł się jak jeden z bohaterów sagi Bull-Hansena o berserkach grasujących po tych terenach.

Bał się tego, co czekało na końcu drogi. Myślał o tym kawałku linii brzegowej, dzikiej ziemi za miastem nieopodal domu dziecka. Co tam mogło być, że Nina się tym zainteresowała? Poczł lekłą frustrację, być może przez zmęczenie. Wszystko w tym śledztwie było oparte na wrywkowych informacjach, jakichś skrawkach, próbie rekonstrukcji opartej na mglistych przesłankach. Teraz nawet nie mógł skojarzyć, jak to miejsce wyglądało. Pamiętał klif i poszarpaną ścieżkę za domem dziecka. Nie pamiętał tego, co było na dole.

– Dlaczego o to zapytała? – podjęła Paidaki, kiedy odwiózł ją pod dom.

Był jej wdzięczny, choć trochę zaskoczony, że pozostawiła go z myślami przez ostatnie piętnaście minut. Spojrzał na nią, a potem – siłą rzeczy – na jej dom. Kwadratowy, piętrowy budynek, z tych, którymi obsypano Polskę jeszcze za Gierka. Z zadbanym rozległym ogrodem.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To są sprawy bardziej absorbujące społeczność Boleni...

– A ty nawet nie jesteś lokalnym mieszkańcem, prawda?

– Prawda.

– Tym bardziej Nina Warwiłow.

– No, a ty sama wiesz? – Nieoczekiwanie zagrał obronnie.

– Coś ty. – Szturchnęła go w ramię, ale wyczuł w tym geście fałsz. Pod własnym domem Paidaki wydawała się dziwnie usztywniona. Milczenie, które towarzyszyło im w drodze powrotnej, mogło nie być skutkiem zmęczenia, lecz stresu. – O co jej chodzi? – zapytała.

– Dowiem się.

– Czy jedziesz na komendę?

– Tak.

Czuł, że Paidaki chce coś dodać.

– Wiesz, że dla nas ona jest prawie cywilem – powiedziała.

– Tak.

– To dobrze, że wiesz. Bo miałam wątpliwości.

– Ela...

– Tak?

Przez chwilę milczał, zbierając się w sobie.

– Kłamałem i nie kłamałem. Rzeczywiście mężczyzna ze zdjęcia nie jest moim ojcem.

Przerwał na chwilę.

– To jest opowieść o dwóch przyjaciółach. Mężczyzna ze zdjęcia ma na imię Kazik. Dokładnie: Kazimierz Mielnicki.

Ciężko mu się mówiło, ale kontynuował.

– Mieli taką, powiedzmy, spółkę z moim ojcem. Pracowali w energetyce. Na wysokościach, wspinali się na słupy. Jeździli po całej Polsce. Elektryczna robota. Wiem, mało bezpieczna. Może czegoś szukali dla siebie, jeden i drugi. Zdaje się, dobrze płatna jak na PRL. Podobno się uzupełniali. Ale tylko wiedzą, Kazik należał do sportowców. Woda, las, Pobiedziska co drugi weekend. Był zawsze uśmiechnięty, pomocny, złota rączka. Tata... miał inne zajęcia. Kazik był u nas bardzo często, miał nawet własną kanapę.

Pokręcił głową.

– Pewnego dnia z roboty wrócił tylko jeden z nich. I to nie był mój tata. Nastąpiło jakieś przepięcie, kradzież uziemienia. Nadeszła burza, zniszczyła kilka słupów przed tym konkretnym, który naprawiali. Dużo słów padło, niewiele rozumiałem, poza tym, że milicja również zadawała pytania. Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Dla mnie ważne było tylko to, że w wieku siedmiu lat nagle straciłem tatę, a potem Kazika. Zaginął parę dni później. Choć należałoby raczej powiedzieć „zniknął”. To znaczy oficjalnie nie był podejrzewany i chyba nikt go nie poszukiwał, ale...

– Ty go szukasz.

– Tak.

– Dlaczego tutaj?

– Mam przesłanki, że tu był. Już o tym rozmawialiśmy, że wiele osób tu kiedyś uciekało. Było dużo ziemi do zagospodarowania. No i morze, a więc wolność, wiadomo. Wiele możliwości pracy, w rybołówstwie, w Świnoujściu na statkach... a jest jeszcze parę innych rzeczy.

Paidaki dała mu czas, ale nie kontynuował. Przez chwilę wpatrywała się w szybę.

– Wiesz, co robisz, Szymon?

– Nie rozumiem.

Pokręciła głową.

– Jesteś policjantem.

– Więc?

– Kazik zniknął chwilę po śmierci ojca, zapadł się pod ziemię, tak?

– Tak.

– Nie rób nic głupiego. Nikt nie będzie cię chronił. Nie teraz.

– Nie rozumiesz, Ela.

– Oświeć mnie.

– To nie jest opowieść o zemście.

– A jaka?

Milczał dłuższą chwilę.

– Dobrze. Dzięki, że mi to wyznałeś – powiedziała. – Chciałabym, żebyś mi mówił o takich rzeczach.

Wyczuł w tych słowach coś innego niż przedtem. Nie umiał określić co. Paidaki wyszła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Trochę za mocno i bez dalszych pożegnań, co nie wydawało się złe. Pożegnanie byłoby uprzejme, ale jego brak był dziwnie intymny.

Przekroczyła bramkę, podwórze, wbiegła po schodkach i kluczem otworzyła sobie drzwi.

Zaświeciło się światło. Chwilę później jeszcze jedno, na górze, może również na korytarzu. Kacperski obserwował grę światła w nie swoim domu. Nagle zatęsknił za tym wszystkim. Za telewizją wieczorem, głośno komentowaną przez domowników. Za deserowymi z cukrem na stole i herbatą, kiedy przyszli goście. Już lata temu postanowił się wyprowadzić i żyć na własnych warunkach. Oglądanie samotnie seriali z laptopa w sobotę, po całonocnych imprezach na Teatralnym, nie stanowiło rozwiązania.

Nie zauważył, kiedy dojechał pod budynek komendy. Zaparkował. Było cicho i pusto – pod komendą i w mieście. Musiał dotrzeć do ksiąg wieczystych, jakiegokolwiek informacje by zawierały. Włączył komputer, uruchomił serwisy. Mimo że nastał już wieczór, przygotował kawę i wypił, parząc sobie podniebienie. Wydrukował materiały, a potem usiadł przy słabym świetle biurowej lampy i zaczął w nich szperać.

Zwyczajny kawałek podmokłej ziemi położony poza parkiem. Ciekawe, czy tam, gdzie cywilizacja przechodziła w ciemny las, w ogóle można coś zbudować. Działka, leżąca poza obrębem parku i bez planu zagospodarowania przestrzennego, przechodziła z rąk do rąk. A raczej: ze spółki do spółki. W końcu doszedł do tej ostatniej. Nazwa nic a nic mu nie mówiła. Były też jednak nazwiska współników. Przeleciał listę. Na widok jednego z nich przerwał i uniósł wzrok.

To jedno nazwisko.

Cały czas miał je przed sobą. Tylko że był ślepy i nie rozumiał, dlaczego właśnie ono. Wstał, otworzył okno i odetchnął świeżym powietrzem. Po chwilowym wstrząsie, po uderzeniu adrenaliny oczy mu się zamykały. Wykończyła go całodniowa podróż i ta końcówka przez gęsty bukowy las.

Wypił łyk kawy, językiem zebrał fusy z zębów. Wyjął z kieszeni telefon, nadal intensywnie myśląc. Może Paidaki miała rację. Warwiłow, gdziekolwiek się znajdowała, była cywilem. Nie należała do zespołu kamieńskiej komendy. Gdyby do niej oddzwonił, mógłby wywołać reperkusje, których się obawiał. Zbrodnia była już w Boleni i musiał grać bardzo, bardzo ostrożnie.

By chronić ludzi, śledztwo, a na samym końcu – swoją karierę. Akcja wywoływała reakcję. Zarazem jednak nie mógł pozostawić tego, co odkrył, choć nie do końca wszystko rozumiał. Może Warwiłow rozumiała więcej...

Zerknął na zewnątrz, jakby chciał ugrać trochę czasu. Padał deszcz, jakaś para nastolatków szybko przeszła Widokową. Nie obawiali się Wolina. Byli za młodzi, żeby to ich dotyczyło, wciąż jeszcze czuli się nieśmiertelni.

Wybrał numer Warwiłow, bo mimo wszystko słowo się rzekło, i to dawno temu. Wtedy, kiedy przyjechał do Boleni, do Szumów... Kiedy nie umiał się powstrzymać, żeby ją poznać. Uczył się na jej dawnych sprawach. Kacperski nie podziwiał tych starych, doświadczonych śledczych z ciężką ręką i językiem. Podziwiał właśnie ją, Ninę Warwiłow.

Komisarz nie odbierała, przeczekał parę sygnałów. Zadzwoił ponownie – i znowu nic. Może coś robiła. Może jego odkrycie nie było aż tak istotne i nie miało związku ze śledztwem. Może nie odbierała, bo była sobota, a do tego była na urlopie.

Zapytała jednak: kto chciał kupić tę ziemię?

Wysłał jej wiadomość, z jednym tylko nazwiskiem.

Wcale mu się nie podobało to nazwisko, pod żadnym względem.

Następnie usiadł na krześle, bo poczuł się potwornie zmęczony.

I czekał.

30

Roztrzaskany telefon. Guz na głowie, który się sukcesywnie powiększał... Zamach na życie: nie pierwszy i potencjalnie nie ostatni w karierze. To wszystko stanowiło niewielką cenę za prawdę. Nina obtarła twarz, używając mętnej, lodowatej wody. Chwilę przytrzymała w niej dłoń, trochę żeby zbadać, czy wszystko jest w porządku, a trochę żeby uspokoić samą siebie. Nerwy nie były teraz jej przyjacielem, potrzebowała spokoju.

Otrzeptała się. Wszędzie miała dużo piachu – na twarzy, we włosach i na ubraniu.

Stąd była tylko jedna droga powrotna. Jak jednak ma się wspiąć na samą górę? I co, jeśli to nie jest najlepszy pomysł? Spoglądała na spokojne wody zalewu. Odbijały światło księżyca. Uświadomiła sobie, dlaczego jej myśli wracały do Jana Ryłki, jednego z lokatorów domu dziecka. Wszystko, co słyszała, stanowiło – jak w jaskini Platona – odbitą wersję prawdy. Co nie oznaczało, że mówiący jej nie znał, tylko – że ona nie rozumiała.

Przynajmniej za pierwszym razem.

Teraz wiedziała już więcej, miała koncepcję, jak można było pozbyć się ciała. Wstała i spojrzała w górę, tam, skąd spadła. Droga przez trzciny otaczające półwysep nie wchodziła w grę, wydawała się zwyczajnie niebezpieczna. Po chwili namysłu wyjęła broń, którą zdążyła już schować do kabury. Zaczęła się powoli wspinać, co jakiś czas spoglądając na skarpe. Nagle zadrżała. Przestraszył ją dźwięk telefonu. Był dziwny, niczym jęk smutku za utraconym zdrowiem. Pewnie będzie musiała wyrzucić smartfon – ale jeszcze nie teraz.

Wpatrywała się dłuższą chwilę w rozbity ekran. Durne esemesy przychodziły bez ustanku; od banku, od państwa – poetyckim językiem ostrzegając o katastrofach. „Dziś i jutro w nocy możliwy wiatr. Zostań w domu, jeśli możesz”. Odbierała je o najbardziej dzikich porach. Ten mógł coś znaczyć. Nie musiał.

Chwytała się korzeni i wchodziła wyżej i wyżej, pokonując traumę. Jak kierowca, który po wypadku od razu wsiada za kółko. Musiała rozbroić ten klif, musiała pokonać lęk, bo nie mogła pozwolić sobie na niego w przyszłości. Czowała jednak, że organizm się stawia, nie chce i boi się. Przełamała ten opór

i kilkanaście minut później zaczęła dłonią o kawałek gruntu. Następnie tak szybko, jak potrafiła, wdrapała się na skarpe.

Jej wzrok zdążył się już przyzwyczaić do ciemności. Nikogo nie widziała. Jak bardzo sama była widoczna? Nawet jeśli, to co mogła zrobić? Gdyby ktoś chciał do niej wycelować, z pewnością miał możliwość.

Zaczęła iść szybkim krokiem, z głockiem na wierzchu. Wkrótce dotarła do fragmentu płotu. Znalazła się więc na wysokości domu leśniczki. W rogu, niemal na klifie, stała tu wygodna ławeczka. Nic tylko usiąść i patrzeć, jak Nina idzie przez las. Albo przejść kawałek dalej, stąpając cicho; przecież kobieta знаła tu każdy zakątek. Leśniczka była wystarczająco silna, by ją pchnąć. Wyglądała na krzepką, a nienawiść dodaje siły.

Czy miała motyw? Wczesna teza – że źle się działo w domu dziecka – nie znalazła potwierdzenia. Poza tym gdyby było tak źle, czy Renata Rowicka nie uciekłaby dalej? Czy też – jako doskonały przykład syndromu sztokholmskiego – stałaby się nieformalną strażniczką opuszczonego budynku i jego tajemnic?

Nina minęła dom, w którym cały czas paliło się światło. Zaczęła już widzieć w ciemności, pewnie pod wpływem stresu i adrenaliny. Do jakich rzeczy zdolny jest człowiek...

Tym razem stary mężczyzna siedział na progu pałacu. Nie musiał się ukrywać, na pewno nie przed nią.

– Kto tu idzie? – zapytał.

– Nina Warwiłow. Rozmawialiśmy ostatnio.

– I nie dość pani? Wszystko powiedziałem... Chryste, czy ma pani papierosa albo coś do picia?

– Niestety. Czy może pan...

– Tak za darmo? Ostatnio już była opowieść.

Mówił jak poprzednio, spokojnie i dobitnie. A jaka była jego własna historia?

Wyjęła pięćdziesiąt złotych. Wymacał banknot, chyba już kiepsko widział.

– Wie pani, z czego je robią?

– Z papieru?

– Z bawełny, proszę pani, z bawełny.

– Nie wiedziałam.

– Czego pani jeszcze chce? Poznać moją historię? – zapytał. – Jak tu zamieszkałem? To będzie panią kosztowało więcej.

– Dziękuję – odparła. – Nie tym razem.

Nie miała więcej niż te pięćdziesiąt złotych, które teraz wydawały jej się śmiesznie małą kwotą. Smutne, że ktoś za tyle chciał sprzedać swoje tragedie.

– Szkoda.

– Czy pan pamięta, jak ostatnio rozmawialiśmy? – Wzięła się w garść.

– Tak.

– Opowiadał mi pan o Kay Equister.

Nagle się obejrzała. W ciemności stała się wyczulona na najdrobniejsze zmiany. U leśniczki zgasło światło, jakby ktoś wyszedł z domu. Warwiłow położyła rękę na biodrze. Była poobijana, brudna, przestraszona. Niezły stanowili tandem z Janem Ryłką.

– Tak, Kay... – zawahał się. – I ona...

– Ta Kay, którą pan pamięta... ile ona mogła mieć wtedy lat?

– Może tak jak pani teraz.

– A jednak mówił pan o młodej dziewczynie... Z drugiej strony miałam dziwne wrażenie, że mówi mi pan o dwóch Kay. Jednej dziewczynie, a drugiej...

– Tak, moja Kay była już kobietą. To już nie była ta sama dziewczynka. Ta przestraszona. Ta... pozwalająca na wszystko.

– Jaka była ta nowa Kay?

– Przyjechała coś odebrać.

– Co takiego?

– Nie wiem. Ale tak mi powiedziała. Zmieniła się, moja Kay.

– Czyli chce pan powiedzieć, że była dwa razy?

– Nie wiem, ile razy. Wiem, że wróciła.

– Czy przyjechała trzeci raz?

– Nie wiem. A jak ostatni raz ją widziałem, to była mniej więcej w pani wieku.

Czyli musiała tu przyjechać w latach siedemdziesiątych, może osiemdziesiątych. Zgodnie ze skalą tej historii to niemalże jak wczoraj. Sama była już na świecie.

– O czym pan z nią wtedy rozmawiał? – zaryzykowała.

– Chryste, proszę pani. – Podrapał się po kudłatej głowie.

Milczał. Nie miała więcej pieniędzy, nie mogła mu nic zaoferować. Mogła tylko czekać. Musiała polegać na słowach leciwego bezdomnego człowieka. Ale miał dobrą pamięć, już sporo jej opowiedział.

– Czy mówiła, na ile przyjechała? – podjęła.

– Że ma nadzieję, że nie na długo.

– Czyli?

– Tyle, ile trzeba...

– Żeby?

Milczał. To się przeciągało i i wydawało się, że zasnął, może umarł.

– Żeby zadbać o swoje sprawy – powiedział w końcu. – Tak powiedziała.

Może i nie powinna polegać na słowach alkoholika. Niemniej to brzmiało zaskakująco przytomnie. Sama by tak powiedziała.

– Jakie to sprawy?

– Tego właśnie mi nie wyjaśniła.

Telefon zadzwieczał znowu, tym razem wydając z siebie jeszcze bardziej karykaturalny odgłos. Wcisnęła przyciski na ślepo, ale wciąż dzwonił.

Przestał.

Przynajmniej na dobre wrócił zasięg, pomyślała.

No i znowu sygnał esemesa. Kacperski. Kto mu powiedział, że ma wysyłać esemesy? Kliknęła bezradnie w aparat. Twórcy iPhone'a nie uwzględnili upadku z klifu.

Chwila nieuwagi i zorientowała się, że stary Ryłko zasnął. Poprawiła mu głowę. Jęknął cicho.

Wyprostowała się. Opowieść starego, jakkolwiek szczątkowa, wystarczyła.

Pieniądze i inne wartości zakopywane przez lata.

Dziewczyna, która się tutaj wychowywała.

Łódź nazwana jej imieniem. I co najważniejsze – kosztowności, po które tutaj przyjechała. Przypuszczała, że były, tak jak opowiadał Gargała. Schowane w sobie tylko znanym miejscu.

A być może Kay przyjechała po coś zupełnie innego.

Nina chyba już wiedziała po co.

Wyszła na drogę, żeby złapać zasięg. Była jak kotka, która zwęszyła mysz na polu.

Zamknęła oczy, ponownie usiłując zlokalizować zieloną słuchawkę na popękany ekranie. Zastosowała to samo rozwiązanie co ostatnio, jednak udało jej się dopiero po dłuższej chwili.

– Wysłałem ci esemes – rzekł Kacperski.

– Mam rozbity ekran.

– Aha.

– No? Po prostu musisz mi powiedzieć.

Pauza. Słyszała, jak ciężko oddycha, a przecież wydawał się taki wysportowany.

– Czyli łatwiej ci to było napisać?

– Tak, chyba tak.

Ale powiedział jej. Może wolałaby, żeby to był ktoś inny. Przypomniała sobie ręce człowieka, który kilka godzin temu brutalnie zepchnął ją z klifu. Pewną rozmowę sprzed tygodnia. I jedną drobną uwagę odnoszącą się do przeszłości.

To nie był ten człowiek.

– Musisz tu przyjechać – powiedziała. – Natychmiast.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów. Bo na przykład zapomnieliśmy sprawdzić, gdzie jeszcze pracowała pani Fela. Powiedziała mi, że do wielu ma klucze i że sama wie, kiedy może przyjść.

– No i?

– Zrobiła komuś niespodziankę i dlatego zginęła.

31

Kacperski wstał, a potem znowu usiadł. Mrok już zagościł w jego gabinecie, bo nie zapalił światła. Uderzanie w najczulsze punkty lokalnego życia to nie było to, co najbardziej chciał robić. Powinien pogadać z Zembrzuskim, następnie zdobyć nakaz. To trwałoby jednak jakiś czas, a ludzie w Boleni byli w niebezpieczeństwie już teraz. Zaczęły ginąć przypadkowe osoby, jak pani Fela, i trudno było powiedzieć, gdzie jest koniec.

Miał w ręku jedną końcówkę zagadki. Drugą – czyli zrozumienie motywu – prawdopodobnie trzymała Nina Warwiłow. Jak zwykle wydawało się, że wie więcej, niż powiedziała.

Podawała miejsce spotkania, ale wciąż się wahał.

Nie miała nic do stracenia, on miał. Myślał, układając w głowie coś w rodzaju puzzli. Szukał potwierdzenia. Zabębnił palcami o stół, przeglądając akta sprawy. Pięć morderstw. A pierwsze, bez numerka, prawdopodobnie wydarzyło się wiele lat wcześniej.

Położył palce na telefonie, myśląc o wybraniu numeru Zembrzuskiego. Szef był tak blisko, mieszkał może dwieście metrów stąd, w M3 w jednym z okolicznych bloków. Kacperski gościł tam na powitalnej herbatce. Wnętrze było zadbane, ale już trochę stare, stylem przypominało te z przełomu wieków. Żona – zdominowana. Obydwoje pewnie umrą w przekonaniu, że mężczyzna trzyma pełnię władzy.

Zembrzuski postawił wtedy na stole nalewkę z róży. Była piekielnie słodka, ale Kacperski nie miał wyjścia. Ale nie wyszedł na tyle pijany, żeby nie zapamiętać mieszkania. Wystarczyło tam podjechać.

Ale nagle zmienił zdanie. Czas na hamletyzowanie i tym podobne już się skończył. Do Boleni miał czterdzieści minut. Wyszedł z komendy, skierował się do samochodu. Zapalił silnik i ruszył.

Mimo soboty ulice Kamienia Pomorskiego były puste. Kiedy jednak przejechał sześć, może siedem kilometrów za Kamień, zresztą znacznie przekraczając prędkość, nagle się zatrzymał. Po prostu zjechał na pobocze i stanął.

Zgasił silnik. Bruce Springsteen z głośnika urwał w połowie słowa „Philadelphia”.

Nie mógł tego zrobić, nie mógł pojechać do Boleni bez Paidaki. Policjantki wbrew jego woli dołączonej do śledztwa. Tej nocy czuł jednak, że nie powinien tam jechać bez niej. Wciąż także brzmiały mu w uszach słowa Warwiłow, kiedy prowadzili razem przesłuchania: „Powinna tu być z tobą”, albo jakoś tak.

Zawrócił.

Kiedy dotarł na ulicę, przy której mieszkała Paidaki, zwolnił, żeby nikogo nie przestraszyć w tej spokojnej okolicy. Zbliżając się do domu, pod którym ją zostawił, odnotował, że coś było nie tak. Na podwórku kręcili się ludzie.

Z przyzwyczajenia położył dłoń na biodrze. I zatrzymał ją tam, kiedy zrozumiał, co widzi. Spoglądał na drobną sylwetkę Paidaki i jej rześką fryzurkę na wietrze. Razem z jakimś facetem robili porządek w ogrodzie. Dziwne tylko, że w nocy.

Mężczyzna był wysoki, przerastał ją niemal o głowę. Zapewne jej eksmąż, a istoty, które kręciły się koło nich, to dzieci. Znalazł się też pies. Wyglądało to tak, jakby rozkładali coś na zewnątrz, korzystając z nieco lepszej pogody. Namiot albo coś w tym rodzaju. Późno, ale jaka atrakcja dla dzieciaków.

Może to na kinderbal, o którym wspominała kiedyś Paidaki. Kacperski przypomniał sobie też inne, gorzkie słowa, wypowiedziane wtedy na plaży: „Wy to jakoś lepiej ogarniacie w mieście”. W ciepłym, pomarańczowożółtym świetle wydawało się, że ogród otula jesienna melancholijna aura. Wyglądało to trochę nierealnie i trochę – to skojarzenie najbardziej go irytowało – magicznie.

Kacperski otworzył okno. Usłyszał też śmiech. Podekscytowane dzieciaki biegały pomiędzy mamą i tatą. Czuł się oszukany, choć nie miał ku temu żadnego powodu. Do niczego nie doszło. Przez moment zapomniał, dlaczego tu przyjechał. Paidaki dostrzegła go jednak. Zatrzymała się i wydawało mu się, że odsunęła się od mężczyzny. Następnie ruszyła w kierunku Kacperskiego.

Dzieci zaczęły się gapić na jego samochód. Bezpowrotnie przerwał sielską scenę. Chłopiec, Jacek, podniósł kij i skierował w jego kierunku. Kacperski był intruzem, który wkroczył, żeby naruszyć i tak kruchą kondycję rodziny. Poczuł złość na siebie.

Położył nogę na pedale sprzęgła, ręka powędrowała do kluczyka.

Ela zbliżała się jednak w szybkim tempie. Przeszła przez podwórze, bramkę i podeszła do niego. Uchylił szybę.

– Przyjechałem, ponieważ... – zaczął i spojrzał jej prosto w oczy.

– Tak?

– Musimy jechać do Boleni – zebrał się w sobie. – Natychmiast. To znaczy ja muszę. Tam jest Warwiłow.

Pojęła. Zrozumiał też, że waha się, czy wsiąść. Nie tylko do fiata, ale też do innego mężczyzny, i czy porzucić życie rodzinne na rzecz zawodowego. Czy porzucić dzieciaki, które ten jeden raz miały dwójkę rodziców przy sobie. Kacperski żałował, że tu przyjechał, i może Paidaki również tego żałowała. A może się mylił. W końcu nie mógł wyrzucić z pamięci tych rozmów w knajpie oraz na plaży w Dziwnowie i nie wydawało mu się, żeby wtedy kłamała.

Ocknął się i spojrzał na zegarek. Kiedy podniósł wzrok, policjantka była już z drugiej strony. Musiała dać znać mężowi albo po prostu zadzwoni do niego z drogi. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się na siedzenie pasażera.

– Jedźmy – powiedziała cicho.

Nina Warwiłow stała w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą błonia gościły rozweselonych gości. Przynajmniej przestało padać. Łodzie kołysały się leciutko, obmywane ciemną wodą. Niektóre były stare i zdezelowane, z pordzewiałymi, poszarzałymi burtami. Inne lśniące, nowe, epatujące bogactwem oraz blichtrzem, nieprzystającym do starych desek pomostu i zapuszczonego nabrzeża. Bardziej już – do nowej przystani, kiedykolwiek miała powstać.

W ciszy słyszała delikatne uderzenia buforu o bufor. Rozejrzała się, trochę zbyt nerwowo, jakby w lęku, że te dźwięki mogą ją zdradzić. Ale nie mogła tego zrobić w Szumach na wzgórzu, to musiało być właśnie tutaj.

Czekała od czterdziestu minut, do tego wszystkiego zaczęła jeszcze marznąć. Kacperski powinien już przyjechać... Dotknęła czoła. Głowa bolała ją coraz bardziej, przypuszczalnie powinna zrobić prześwietlenie.

Skryła się w cieniu starej szopy. Stojąc pod lichym daszkiem, zerknęła – bez sensu – na telefon. Gadżet rządzący ludzkim życiem teraz był bezużyteczny. Mogła go równie dobrze wyrzucić do wody, żeby spoczął w mule.

Gdzie był Kacperski? Droga z Kamienia nie zajmowała przecież tak dużo czasu. Powinien już tu być, reprezentując lokalną policję. Bo tutaj znajdowało się rozwiązanie – tu, gdzie w pewnym sensie wszystko się zaczęło. Gdzie grupa ambitnych i chcących działać ludzi zbudowała sobie nowy świat na własnych warunkach. Mimo że było bardzo ciężko, udało im się stworzyć coś pięknego. Ale gdzie dobro, tam i zło. W fundamenty wdało się zakażenie, które długo toczyło lokalną społeczność. Od choroby nie dało się uciec i ropa zaczęła się sączyć, a ludzie – ginąć.

Brudne krople spadały z okapu daszku. Jedna rozprysnęła się na czubku jej buta. Nagle usłyszała jakiś nowy dźwięk i znieruchomiała. Zobaczyła, że do przystani zbliża się wodą jakiś ciemny kształt. Najpierw dostrzegła dziób, następnie zwinięty fok, a po chwili już całą łódkę. W polu światła z latarni pojawiło się coś w rodzaju większego tanga, płynącego na silniku.

Obserwowała, jak łódka przybija do przystani. Wysiadła z niej roześmiana grupa. Skąd przypływali? Młody chłopak w ciemnych okularach – jak niby miał coś widzieć – wyskoczył na pomost i chwilę mocował się z liną. Był wyraźnie

niepewny, jaki zastosować węzeł. Wydawał się w nie najlepszym stanie, być może on i jego przyjaciele obudzą się bez łódki. Co z tego? Mieli kupę śmiechu. Obserwowała ich, żeby skrócić sobie czas czekania na przyjazd Kacperskiego, gdziekolwiek się podziewał. Nawet gdyby chciała się wycofać, i tak było już za późno, nie było też dokąd.

Członkowie grupy stopniowo wyskakiwali na brzeg. Nikogo nie interesował los niedbale zawiązanej cumy. Nie mieli ze sobą plecaków, to wyglądało na spontaniczną akcję bogatej młodzieży ze Świnoujścia. Niepomni wszystkiego, co się działo na Wolinie, a w tym i w Boleni, zamierzali pewnie zbadać jej wieczorną albo raczej późnonocną ofertę.

Chyba mocno się przeliczą. Zbliżyli się i dostrzegła zdziwienie na ich twarzach. Dwie dziewczyny i trzech chłopców. Zrozumiała, skąd ta reakcja; przecież była cała pokiereszowana.

Jeden z nich, chłopak o poważniejszej od innych, dosyć nudnej twarzy, zapytał:

– Czy trzeba pani pomóc?

– Nie – odparła szybko.

Jak dwa razy dwa wyglądała jak ofiara przemocy domowej. Zdawało jej się, że jedna z dziewcząt chce do niej podejść, złapać ją za rękę. Musieli być naprawdę pijani, normalnie młodzież miałaby to gdzieś. W każdym razie powinni już pójść. Ludzie na innych łódkach też mogliby zwrócić na nią uwagę, zaskoczeni, co robi dziwna postać w czerni. Przesunęła się za bardzo w snop światła.

Nie mogła już dłużej czekać.

– Przepraszam – mruknęła, pozostawiając za sobą skonfundowanych młodych ludzi, którzy tak nieoczekiwanie zainteresowali się jej osobą.

– Jakaś nienormalna – usłyszała szept jednej z dziewcząt.

Spojrzała jeszcze raz w górę, w stronę ulicy. Widziała samochody w świetle latarni, ale od strony wjazdu do Boleni nikt się nie pojawiał.

Ruszyła. Deski trzeszczały, kiedy szła na tę najrzadziej używaną część pomostu. Tam cumowały bardziej okazałe łódki. Parkowały tu cały sezon, co niekiedy kosztowało krocie.

Ale ta łódź niedługo miała wypłynąć. Wydawało się, że jest już wyrychowana, gotowa do drogi. Minął ślub, minął koszmar poprawin.

Łódź znakiem czasu, zmian i drogi.

Po raz setny zaskrzypiała niesforna deska pomostu. Nina spojrzała za siebie, tam, gdzie pomost ginął w ciemności. Młodzi ludzie zdążyli się już oddalić w stronę miasta, zajęci swoimi sprawami, nie obawiając się zbrodni. Bo przecież młodym ludziom nigdy nic nie grozi.

Była sama.

Prawie sama.

Usłyszała głos.

– Nina?

Nie odpowiedziała.

– Pani komisarz? – Żartobliwy ton.

Spojrzała na właściciela głosu z uśmiechem – choć świadoma była, jak bardzo jest sztuczny, przyklejony na siłę do ust.

– Co tu robisz?

– Jestem.

– Co „jestem”? Co to znaczy?

Znowu śmiech.

– Czyli nie powiesz mi, co tutaj robisz? Nawet teraz?

– Jest przepiękna noc.

– Jest piękna, ale też jest chłodna – usłyszała kolejne słowa. – Zapraszam.

33

Policjanci zmierzali do Boleni. Kacperski milczał, rozważając własną głupotę: stanęli na szlabanie. Wybrał tę „piękniejszą” drogę, ale – jak się okazało – z przebudowami. Jego nawyk wybierania zawsze takich ujawnił się w najgorszej chwili, a podkomisarz Kacperski nie uruchomił myślenia. Wieczne remonty dróg, o których świat przecież zapomniał.

Stanęli i przeklinał teraz samego siebie za bezmyślność i beczynność.

Nie miał koguta. Wsiadł z samochodu i pomachał. Po chwili wahania wyszedł do nich znudzony życiem drogowiec. Miał na twarzy wyraz „spieprzaj”, dopóki Kacperski nie wyjął odznaki i nie przyświecił telefonem.

Mężczyzna zareagował spokojnie.

– Co mam zrobić?

– Niech pan to wstrzyma.

– Niby jak?

Był podenerwowany, jak człowiek, któremu zepsuli spokojną robotę. Miał przecież tylko stać i machać ręką.

– A po co pan to dzierży? – Kacperski wskazał na masywne walkie-talkie. – Proszę wstrzymać ruch z tamtej strony!

Nerwy mu puszczały, ale przede wszystkim był zły na siebie. Paidaki milczała, choć mogła coś powiedzieć. Ostrzec go, skoro okazał się kretynem. Ale od kiedy wsiadła do auta, nie zamienili słowa.

Wrócił do samochodu.

– Zawsze tędy jeżdżę – powiedział.

Jedyna myśl, jaka teraz przyszła mu do głowy, okazała się w gruncie rzeczy tą najgłupszą. Żywy dowód na to, że zawsze można powiedzieć lub zrobić coś mniej mądrego.

– Wiem – szepnęła.

– To mój błąd...

– Po prostu jedź.

Przez chwilę nie rozumiał, w końcu spojrzał przed siebie. Drogowiec puścił mu zielone światło. Czuł, że Paidaki jest wściekła. A może chodziło o coś

innego. Miała zaciśnięte usta. Jechał za szybko, ale nie zwracała mu uwagi. Byli już na autostradzie łączącej wyspę ze światem. Z daleka mignęły mu światła Wolina – miasta. Teraz tylko kilkanaście kilometrów... Rozpędził samochód do stu osiemdziesięciu na śliskiej drodze.

Wiedział, że będzie musiał się gęsto tłumaczyć. Ale nie miał innego wyjścia...

– Nie mamy koguta – szepnęła.

– Jeszcze tylko chwila.

Krótki kawałek autostrady bardzo się dłużył, mimo że jechali tak szybko. W końcu pojawił się skręt do Boleni oraz ta pusta, ciemna droga, gdzie również przydałyby się remonty. Wjechali w lasy oddzielające Boleń od świata.

– Wybierz jej numer jeszcze raz – poprosił.

– To nie jest sygnał zasięgu – powiedziała cierpliwie Paidaki. – Ten telefon jest po prostu wyłączony.

Cisza.

– Albo zepsuty – dodała.

– Zostawiłem ją tam.

– Poradzi sobie – odparła po chwili Paidaki.

Wplątał do akcji kogoś spoza rejonu, nieważne, że samą Ninę Warwiłow. Świat nie będzie zadowolony. Poza tym miała się zmierzyć z pięciokrotnym mordercą. Przeczynał, że jego krótka kariera w powiecie kamińskim może się szybko skończyć.

Spoglądał na łagodny profil Paidaki. Nozdrza jej falowały, zdradzając, że nie jest tak spokojna, jak można by sądzić po tonie jej głosu. Nagle, jak zawsze nieco go zaskakując, z ciemności Wolińskiego Parku Narodowego wyłoniła się Boleń.

Dostrzegł pierwsze światła. Odczuł ulgę, kiedy zobaczył zabudowania wyłaniające się niemal prosto ze ściany drzew. A potem potoczyli się brukowaną drogą, nadwerężając resory. Auto aż podskakiwało na prastarej kostce. Musiał zwolnić, a potem skoncentrował się, żeby nie zgubić zjazdu do przystani.

Dojechali. Spojrzał na zegarek, nie było aż tak źle. Zaparkował na kawałku błota, niemal w poprzek drogi. Jak tylko zaciągnął ręczny, wybiegł z samochodu prosto na pomost.

Rozejrzał się. Łodzie stały grzecznie, spokój nocy w przedwiośniu.

Poza tym widać było tylko wodę.

Zrobił kilka kroków. Wiatr dopadł go i uniósł połę szalika.

– Nina! – rzucił w przestrzeń.

Paidaki podeszła i widział, że poprawia broń za paskiem. Zobaczył, że macha przecząco głową, jakby chciała dać znać, że to się nie wydarzy.

Krzyknął. Echo delikatnie odbiło jego głos. Stali tu jak niechciani goście.

Na pomoście nie było żywej duszy.

34

Nina stała na pokładzie. Na najpiękniejszej łodzi, jaką w życiu widziała. Rufa delikatną linią przechodziła w połyskującą burzę, wzdłuż srebrnego bomu, aż po zgrabny dziób. Drewniane elementy tylko dodawały łodzi uroku. Nie była nowa, nie była błyszcząca i nie epatowała technologiami. Była piękna swoją doskonałością.

Rafał Szostek usiadł przy sterze. Miał kocie ruchy i wydawał się zespólny z łodzią, jakby stanowił jej część. Długie białe włosy miał dzisiaj spięte w kitkę. Biała koszula – zbyt lekka na marcowy wieczór – luźno opadała z szerokich ramion. W świetle księżyca wyglądał jak młody człowiek.

Noc, wielka kłamczucha, oszukiwała, ale nie mogłaby aż tak. Był w doskonałej formie. Tak jak jego łódź.

– Czyli mogę uznać, że przyjąłeś moje powtórne zaproszenie? – Uśmiechnął się.

– Być może.

– Być może. – Zaśmiał się. – Być może. Poczekaj chwilę – dodał.

Był szybki. Po sekundzie wynurzył się z butelką wina. Miał swoje lata, ale tutaj, na jego terytorium, było inaczej.

– Nie sądziłaś chyba, że jestem nieprzygotowany na twoją drugą wizytę? – Popukał w butelkę. – To jest rocznik dziewięćdziesiąt sześć.

– Nie wypłynąłeś...

– Jeszcze nie. Pewnym moim przywilejem jest to, że mogę napić się wina z piękną kobietą.

– Nie jestem piękna.

– Tylko twoim własnym zdaniem.

– A trzymasz tę butelkę, i tę poprzednią, i tak tu sobie gotujesz... – zawahała się – bo to jest twój dom.

– Tak, to dom. Mam prawdziwy, już ci mówiłem. Ale z grubsza nie interesują mnie domy, które nie pływają.

Mogłaby się zaśmiać, ale teraz obserwowwała, jak jego dłoń przesuwają się niedbałym ruchem po burcie. Odkorkował wino.

- Może podziękuję – powiedziała.
- Naprawdę? Mam nadzieję, że nie zniechęciłaś się... po...
- Po czym?
- Po ostatnim.

Zapadła cisza.

- Nie, skądże.
- Wybacz starcowi takie amory. Być może to moje ostatnie zauroczenie.

Wbiła w niego wzrok. Odchylił głowę, lekko potrząsnął włosami i zaśmiał się. Spoglądała na wino.

- Chyba nie sądzisz, że mógłbym ci coś dosypać?
- Skąd taka myśl?
- Bo tak patrzysz. Pozwolisz, że jednak naleję...

Wręczył jej kieliszek.

- Za spotkanie – rzekł i pociągnął łyk.

Obserwowała go, a potem sama pociągnęła. Było pyszne. Od razu znalazła się w jakiejś hiszpańskiej albo może argentyńskiej czy chilijskiej winnicy.

- To gdzie się wybierasz?
- Nie mówiłem?
- Nie.

– Przez mój ukochany Atlantyck... Mam przyjaciół w Argentynie. Obiecałem też kilka rundek po Falklandach. A potem nie wiem. Jest kilka miejsc, w których jeszcze mnie nie było.

- Można mieć z tobą kontakt? – zapytała cicho.

– Skąd tyle pytań? – Pociągnął większy łyk. – Jestem wolny. Nie będę emerytem. Zniknę kiedyś na Pacyfiku i tyle.

„Nie mów tak”. To powinna teraz powiedzieć. Ale nie powiedziała. Chyba to wyczuł i się zaśmiał.

– Przepraszam za kokieterię. Nie mam rodziny, ale nie jadę się zabić. Po prostu mówię ci, że to nie byłaby zła śmierć. Wręcz przeciwnie, będę w swoim prywatnym niebie.

Upił jeszcze jeden łyk wina.

- Może rundka po zalewie?
- Nie wiem, czy mogę.

– Nic na siłę. – Wstał i poprawił zabezpieczenia grot. – Ale noc dzisiaj taka mglista. Akurat na niewielki akwen.

– Lagunę przybrzeżną – powiedziała.

– Tak, pamiętasz, Nina.

Odwróciła wzrok, zapatrzyła się w stronę przystani. Tonęła we mgle. Zwyczajnie tonęła, nie było tam żywej duszy. Ale wtedy to zobaczyła. Światelko na samym końcu pomostu. Zaczęła się wpatrywać, przecież...

A potem światło zgasło, nagle i brutalnie.

Kiedy się ocknęła, czuła ostry, pulsujący ból głowy. Potem pojawił się zapach. Następnie ból. Oczy otworzyła na końcu. Sceneria się zmieniła. Pachniało mułem, było wietrznie.

Jednym słowem: znaleźli się na wodzie.

Przed sobą miała stolik. Na stoliku stało wino. Była też broń.

Nie byle jaka. Jej własny glock.

Powróciło czucie. Zrozumiała, że ręce ma mocno związane z tyłu. Znowu przymknęła oczy.

Szostek siedział, jakby nigdy się stąd nie ruszył. A jednak. Błyszczący bom był za nim i wydawało jej się, że widzi na nim ślady krwi.

Mrowiło ją w głowie, czuła, że na potylicy ma plaster. Ale przede wszystkim była wściekła, że dotykał jej, kiedy pozostawała nieprzytomna.

Poruszyła ręką i udało jej się wymacać szorstki sznur.

– Chyba nie mam po co próbować tego rozwiązać, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze możesz – powiedział.

Ale już się nie uśmiechał. I uciekał wzrokiem, jak gdyby myślami przebywał gdzie indziej.

– Nie zapytałeś, skąd moje rany na twarzy.

– Nie zapytałem – odparł. A potem dodał: – Samotna wilczyca.

– Co powiedziałaś?

– Sama tak siebie określiłaś, prawda? I nie powiadomiłaś nikogo?

Zapadło krótkie milczenie. Musiała opanować impuls. Policzyła: raz, dwa, trzy.

– Nie – odparła, choć czuła, jak mocno bije jej serce. To, że umiała się połapać, gdy ktoś inny oszukiwał, nie nauczyło jej ukrywać własnych kłamstw.

Pokiwał głową.

– Jak wygląda moja twarz?

– Masz guza. Chyba trochę za mocno to zrobiłem, ale nie mogłem ryzykować. No, jak sama powiedziałaś, nie jesteś dzisiaj w najlepszej formie.

Spojrzała na jego dłonie. Mocne, sękaty, takie, jakie jej zdaniem powinien mieć facet. Ale teraz wzbudzały w niej lęk.

– Co dalej? – zapytała.

Żeglarz wzruszył ramionami. Następnie wyjął i zapalił papierosa.

Zrelaksowany, oparł się o barierki i zapatrzył w dal.

Brzeg oddalał się coraz bardziej. Światła przystani ledwo przebijały się przez mgłę.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Widziałem, co robisz. Szłaś za mną.

– Nie o to pytam. Dlaczego ich zabiłeś?

Chwila milczenia.

– Taka natura – powiedział.

– Natura? Nie jesteś psycholem.

– To była sprawa osobista.

– Osobista? A pani Felicja?

Brak reakcji.

– A Agata Podolska?

Teraz się skrzywił, jakby naruszyła intymność chwili.

– Tego żałujesz, prawda?

– Może tego. Bo pani Felicja węszyła wszędzie, także na mojej łajbie...

– Sam to powiedziałaś. Nie lubisz domów na lądzie. To jest twój dom. I tu nie sprawdzaliśmy. Sprawdzaliśmy domy. Jak często tu pracowała?

– Czasami. Wbrew pozorom jestem niezłym bałaganiarzem... – Uśmiechnął się, ale już nie odwzajemniła. – Najgorsze, że dałem jej kiedyś klucze. Nie spodziewałem się, że będzie węszyć. Musiała coś znaleźć.

– Wiesz, co to jest, prawda?

– Chciała mi sprawić przyjemność – odparł wymijająco. – A potem...

– Nie wyglądasz mi na człowieka, który lubi być szantażowany.

Pokiwał głową, jakby potwierdzał tę opinię.

– Znalazła coś.

– Coś?

Pokręcił tylko głową.

– Nie odpowiedziałeś mi jeszcze – podjęła – dlaczego ich zabiłeś. Całą trójkę.

– Za Kay.

– To nie jest odpowiedź.

– Myślę, że na tym etapie to, co ci powiem, nie będzie dla ciebie zaskoczeniem. Zamordowali ją i musieli ponieść karę.

– Musiałeś to zrobić?

– Musiałem.

Skończył palić, a potem bezceremonialnie pstryknął kiepem do wody.

Nie spodziewała się tego. Zaniepokoił ją ten drobny, niepasujący do niego gest. Wyrzucił śmiecia do wody, którą tak szanował.

– Dlaczego Kay? – zapytała cicho.

– Przecież znasz odpowiedź.

Milczała.

– Znasz ją od dawna, skoro tak daleko już zaszłaś...

– Kim jesteś?

– Zwykłym bękartem. Synem Kay i prawdopodobnie jakiegoś Rosjanina.

Cisza.

– Mają mnie za Polaka, który wybił się w świecie, a prawdopodobnie nie jestem nawet Polakiem.

Usiadł i chyba się rozluźnił. Przetrawiała to, co usłyszała.

– Od kiedy to wiesz?

– Pamiętam ją. Może zawsze traktowała mnie trochę inaczej. A potem, jak wiesz, wyjechała. Pisała do mnie. Wymienialiśmy listy. Powiedziała, że może przyjedzie – pokręcił głową – i przyjechała. Nie uprzedziła mnie. Może nie była pewna, co właściwie chce zrobić, a może chciała to zrobić po cichu...

– Ale widziałeś ją.

– Można powiedzieć. Choć nie byłem pewien. Widziałem grupę ludzi, w tym opiekunów, jak prowadzą kogoś do lasu. Zepchnęli ją z klifu i, to moje podejrzenie, dobili na dole. Byliśmy tam we dwoje, ja i Agata. Dlatego... – zawahał się – Agata zginęła. Ironiczne, że to ona po latach powiedziała mi, że to mogła być Kay. Wówczas była noc i nie widzieliśmy dobrze. I ja zacząłem to

wszystko zbierać do kupy. Zainteresowanie Kay i listy. Nazywała mnie skarbem. Głupi stary cap, przechowywałem je.

– Tutaj?

– Tak. Nie sądziłem, że pani Fela je wyszpera.

Za dużo mówił. To było niepokojące. Za dużo mówił, chciała to przerwać, ale chciała też znać prawdę.

– Ludzie również szeptali, że coś tu się stało złego. Ale wiesz, to trwało latami. Przecież nie mogłem tak po prostu pójść do starszyny i zapytać. Poza tym oni mi dali wszystko. Okazuje się, że również zabrali, więc to się wyrównuje. Kto wie – zapalił kolejnego papierosa – może mógłbym mieć z matką normalne dzieciństwo. A może nie.

Pokręcił głową.

– Nie mogłeś tego zostawić... – szepnęła.

– Nie. Próbowałem, ale nie umiałem. Mój partner biznesowy, Mogielnicki... przepraszam, zapomniałem, że go znasz. W zasadzie były partner. Wycofałem się z tych spółek, już nigdzie nie figuruję.

– Wiem.

– Ach, tak? Rozmawialiśmy o tym kawałku ziemi. Namówiłem go na kupno. Potem pokopałem trochę sam po nocy.

Zaciągnął się.

– Wydobyłem ciało. Wystarczyło porównać DNA z kości z moim, bułka z masłem. To się robi na prywatne zamówienie. I tak, to była moja matka. Znalazłem potwierdzenie na wszystko, co podejrzewałem, włącznie z morderstwem.

– W każdym momencie mogłeś się zatrzymać.

– Zatrzymywanie się nie jest w zgodzie z moim charakterem, a nie ma nic gorszego niż gwałt zadany własnej naturze. Niestety, wyrok zapadł. Nie umiem się zatrzymać, ale umiem wyczekać. Musiałem poczekać. Aż będą starzy, zbyt słabi, żeby się bronić. I wtedy zginą wszyscy.

Pokiwał głową.

– Resztę znasz. To nie była przyjemność, ale zasłużyłaś na to, skoro tu dotarłaś, cała i zdrowa, choć poobijana. Zasłużyłaś na tę historię, cokolwiek ona jest warta.

Nagle przerwał. Wzrok mu się wyostrzył. Spojrzał na horyzont.

– Widzisz?

– Nie.

– Ja stary, ale już widzę. Usiłują podpłynąć po cichu – zaśmiał się. – To jest trochę śmieszne, jeszcze nie jestem głuchy. To przypadek, że tak się skradają, czy jednak nie jesteś taka zupełnie sama?

– Może to przypadek – wymamrotała.

– Co za różnica – powiedział. – Co za różnica, Nina...

Podniósł z tacki broń. Odbezpieczył i wymierzył w nią.

Dawno nie mierzono do niej tak wprost. To było paraliżujące.

– Kto to jest? – zapytał cichym głosem.

Nie odpowiedziała.

– Naprawdę myślisz, że tego nie zrobię?

Spojrzała mu w oczy. Były zimne. Zimne oczy smutnego, samotnego dziecka.

Morze dało mu wiele. Ale w środku wciąż była pustka.

– Policja – powiedziała cicho.

Pokiwał głową, a potem powoli spuścił broń.

– Dobra decyzja – rzekł.

– To nie ja...

– Że powiedziałaś mi prawdę. Coś we mnie jest takiego, odkryłem to ostatnio... ale już się nie dowiemy, prawda?

Zapatrzył się. Glock dyndał mu w rękę. Przypuszczała, że wiedział, jak się nim posługiwać. Myślała też teraz o Mili.

Która na nią czeka.

Na swoją mamę.

Była komuś potrzebna.

– Wydobyłaś ze mnie wszystko i po prostu mnie oszukałaś – rzekł.

Nie reagowała. Wpatrywał się w nią. Sekundy mijały, nie była pewna, czy na jej korzyść.

Broń nadal spokojnie zwisała, ale w każdej chwili mógł jej użyć. Bawił się tym. Poznała to po uśmiechu.

– Tak. Oszukałaś. Ale czy naprawdę sądziłaś, że chcę cię zabić?

Wbił w nią spojrzenie.

– Po co? Agata... żałuję, ale to było niebezpieczne dla mnie. Jeśli czegoś żałuję, to Agaty, byliśmy przyjaciółmi przez tyle lat. Przypuszczam, że śmierć Moszki dała jej do myślenia. Może trzeba było pozostawić go tam na górze, na

klifie. Agata się zainteresowała, skojarzyła ze śmiercią Kay i doszła po nitce do kłębka. Tylko po co jej to było. A teraz... Nie wywinę się, prawda?

– Nie.

Pokiwał głową.

– Zrozumiałaś, jak zachować życie. – Przerwał. – To nie dla mnie. To nie jest dla nas.

– Co nie jest dla ciebie?

– Przyszłość, którą dla mnie planujecie.

A potem szybkim ruchem podniósł broń i oddał strzał. Wiele strzałów.

W ster.

W burtę.

W rufę, dziurawił ją wiele razy. Huk niósł się po wodzie, nie słyszała nic innego.

Po chwili, o ile to nie było złudzenie, zaczęli też nabierać wody.

Nagle zapadła cisza. Sądząc po liczbie wystrzałów, wyczerpał magazynek.

Łódź przestała się poruszać. Czowała, że wśród tamtych na nabrzeżu narasta panika. To nie byli amerykańscy marines, to były zwykłe gliny przybrzeżne.

Bali się.

Mogli w nią trafić. Wciąż jednak żyła.

– Brenna pójdzie na dno – powiedział Szostek. – Jak za starych dobrych czasów. Jakby mnie topili.

Zapatrzył się w sobie tylko znane miejsce wśród nocy. Nagle zauważyła, że lufa pistoletu kieruje się w zupełnie inną stronę. Że gwałtownym ruchem wkłada ją sobie do ust.

Umiał liczyć. W magazynku coś jeszcze jednak zostało.

Ostatni wystrzał – i ciało Rafała Szostka upadło na deski łodzi.

Brzask już nadciągał nad Boleń. Wyłaniał się z nocy jak jeździec na błękitnym koniu. Zgarniał coraz większe połacie nieba, niepostrzeżenie przechodząc w świt.

Nina stała na pomoście, owinięta podziurawioną szarą derką. Kacperski obserwował ją z odległości kilku metrów. Zmęczona, już bez powabu nieznannej legendy, jakby zmaląła. Ot, zwyczajna ładna kobieta w średnim wieku. Łódź już tonęła, kiedy dopłynęli, ale wydawało się, że policjantka jest w szoku. Jeszcze na wodzie sztywno, ale dokładnie zrelacjonowała, co zaszło. Kacperskiemu zależało na tym, żeby porozmawiać z nią od razu tam, na świeżo. Nina mówiła, ale jakby traciła powoli energię. Miał wrażenie, że śmierć wielokrotnego mordercy wstrząsnęła nią bardziej, niż powinna.

Pomimo ogromnego zmęczenia Kacperski odczuwał ulgę. Sprawa została rozwiązana. Wierzył, że to koniec. Terror na wyspie Wolin okazał się w gruncie rzeczy prywatną zemstą za krzywdę. Odwetem, który dotknął też niewinnych.

– Ludzie mają długą pamięć – rzekł w końcu.

– Tak. Powiedział mi to. Myślę, że mimo wszystkich swoich sukcesów nie mógł żyć ze świadomością, że nie pomścił matki.

– O czym dowiedział się z...

– Wykopał kości, porównał. Nie tak dawno również miałam z tym do czynienia.

Przerwała.

– Kay przyjechała tu po dwie rzeczy – podjęła. – Po kosztowności, które ukryła, i po syna. Jedno wiązało się z drugim, bo może chciała go za to później wychować. Nie dowiemy się, jakie to kosztowności. Myślę, że część z tego majątku mogła zostać przeznaczona na potrzeby domu dziecka. A część poszła w prywatne ręce Moszki, Góralskiego i Pilaszewskiej. Jak to zwykle bywa. Przypuszczam, że był ukryty gdzieś na terenie pałacu i wychowawcy nie mieli o tym pojęcia.

Kacperski milczał, zastanawiając się powoli nad raportem dla Zembrzuskiego. Ten raport będzie nie tylko sprawozdaniem; w równej mierze

będzie opowieścią o losach niewielkiej miejscowości na Pomorzu. I o ofiarnych, może nawet dobrych ludziach, którzy poczuli się dotknięci i skrzywdzili tę, którą kiedyś chronili, młodą Niemkę. Bo nie odpłaciła im się za opiekę. Wolała ukryć pieniądze, nie oddawać na dzieci i dom dziecka, tylko chyłkiem wrócić po nie w nocy.

A może chodziło tylko o zwyczajną chciwość. Nigdy się już tego nie dowie.

Wraz ze śmiercią syna Kay kończyła się też opowieść o niej samej, samotnej dziewczynie z Boleni.

– Czy będę potrzebna...? – podjęła cicho Warwiłow.

– Poradzimy sobie z dowodami. Ale będziesz musiała jeszcze raz to wszystko powiedzieć na komendzie.

– Dobrze. Tylko załatwmy to szybko, okej?

– Tak.

Pokiwała głową.

– To koniec – dodał. – Szkoda, że musiałaś przez to przejść.

– Nie o to chodzi. – Zrobiła dwa kroki do przodu, aż stanęła na samym skraju pomostu. Dostrzegął, jak bardzo jest zmęczona. – Widziałam jego śmierć. Boli mnie, że potrzeba odwetu pochłonęła tyle krwi. – Zrobiła pauzę. – Rozmawiałam z nim. Wiem, że to morderca. Ale wiem też, że w środku był człowiekiem. Nigdy nie poznajemy ludzi do końca.

– Na pewno nie tak szybko. Czy ty w ogóle...

– Byłam na jego łodzi – weszła mu w słowo.

Kacperski wpatrywał się w nią.

– Spędziłam wieczór, wróciłam. Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale chciałabym uniknąć wątpliwości. Poznaliśmy się na weselu... nic między nami nie zaszło. Możesz być spokojny, moje zeznanie jest wiarygodne.

– Jestem spokojny. I to nie moja sprawa.

– Jednak trochę twoja, bo musisz uzasadnić moją obecność na łodzi. Zaprosił mnie tutaj – powiedziała, a po chwili dodała: – Pchnął mnie jednak na klifie.

Rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

– To wtedy... telefon...

– Tak. Nie wiem, czy miałam umrzeć, czy chodziło o to, żeby mnie nastraszyć. Wydaje mi się, że z czasem wyzbywał się ostatnich skrupułów.

– Morderstwo wchodzi w nawyk?

– Tak. Coś takiego.

Kacperski przełknął ślinę, bo po prostu musiał to powiedzieć.

– Nina, słuchaj...

– Tak?

– Przepraszam, że cię na to naraziłem. Że nie dojechałem. Popełniłem głupi błąd, i to, można powiedzieć, podwójny. A poza tym nie powinienem wprowadzać cię do tego śledztwa.

– Nieprawda.

– Co nieprawda? Przecież weszłaś tam i...

– Nie powinnam tu iść sama. Wchodzić później na Brennę. Więc jeśli jest błąd, to mój.

– Mógł odpłynąć.

– Złapalibyście go.

– Może. A może nie. Choć złapanie kogoś, kto porusza się po morzu, nie wydaje się tak trudne.

– Gdyby zrealizował swoje plany, mogłoby być inaczej.

– Jakie plany?

Widział wahanie na jej twarzy.

– Przepraszam, ale ta część rozmowy nie dotyczy już śledztwa. Nie chcę robić z tego tajemnicy, ale chyba już nie mam siły rozmawiać.

– Dobrze.

Wydawało mu się, że Nina marznie. Usiadł na portowym pieńku, żeby poczekać, aż techniczni zakończą pracę. Na nabrzeżu pojawiły się kolejne samochody. A potem zobaczył, jak z jednego z nich wytacza się tęga, baryłkowata postać Zembrzuskiego. Inspektor zaczął schodzić w ich kierunku. Wydawało się, że nawet stąd słyhać jego ciężki oddech i sapanie.

Kacperski zamknął oczy. Nie miał ochoty na tę konfrontację. Warwiłow również to dostrzegła.

– Idź już. Wszystko wyjaśnię. Odpocznij – rzekł.

Kiwnęła głową.

– Jesteś dobrym śledczym, Szymon – powiedziała. – I mam nadzieję, że rozwiążesz tę swoją sprawę prywatną.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem, ale tylko się uśmiechnęła.

– Skąd o tym wiesz?

– To nie wymaga umiejętności śledczych. Obawiam się, że wszyscy wiedzą. Choć nikt nie zna prawdy, czy nie?

A potem dotknęła jego dłoni i odeszła szarym pomostem. Zembrzuski zatrzymał się, kiedy go mijała. Zrobił ruch dłonią, coś pomiędzy gestem przyjaźni a próbą okazania swojej władzy. Kacperski obserwował, jak ludzie idący za inspektorem, zaskoczeni, zatrzymują się. Wszystko teraz prezentowało się jak na starej taśmie: akcja, bohaterowie w zwolnionym tempie.

Nie dotyczyło to policjantki, która – wbrew temu, co sama mówiła – rozwiązała sprawę morderstw na wyspie Wolin. Nina Warwiłow zgrabnie wszystkich ominęła. Skierowała się w górę, w stronę połyskujących w porannym słońcu dachów Boleni.

36

Nadchodziło pożegnanie. Trudniejsze, niż Nina się spodziewała. Przynajmniej w tym mieście nikt nie miał jej za złe, że rozwiązała sprawę. Wręcz przeciwnie. Była bohaterką. Uwolniła Boleń od krążącego nad nią upiora, choć w jego miejsce powołała kilka innych.

Ale to nie miało już większego znaczenia. Tak właśnie powstała nowa, powojenna społeczność tego miejsca – zbitka przypadkowych przybyszów z różnymi przeszłościami, sumieniami i doświadczeniami. Z dobrem i złem, bo one mieszkają w ludziach razem. Założyciele domu dziecka okazali się mordercami. Być może w głębi serca zachowali żal.

Że uratowali Kay, zajęli się nią po wojnie, a ona ich oszukała. Że czekała tylko, aż będzie mogła wykopać swoje dobra. A przecież mogła je przekazać dla dzieci. Dla domu dziecka. Dla idei, dla której wszyscy pracowali.

O Rafale Szostku na razie nie mogła myśleć. Szostek był człowiekiem z zewnątrz, niezwiązanym z lokalną tkanką. Był też znany, a rzadko kiedy upadek człowieka sukcesu kogoś boli. Ją bolało, może bardziej, niż powinno, jakby miała pod skórą cierń. Pamiętała jego dłonie podczas tańca. Najgorsze, że wcale nie myślała o nich z obrzydzeniem. Choć te same dłonie, miękko obejmujące ją na parkiecie, czuła na plecach na klifie.

Wydawało się, że w Szostku mieszkało parę osób, ale zawzięty człowiek, który chciał wyrównać rachunki, wziął górę. Szybkość, z jaką zdecydował się wycelować lufę we własne gardło, sugerowała, że nie jest kompletnym psychopata. Zabił, żeby pomścić matkę i – być może – również swoje dzieciństwo, którego nie miał, a przynajmniej mógł tak sądzić. Zamordował, bo oni wszyscy musieli ponieść karę.

A potem mordował dlatego, że zamordował tych pierwszych.

Spakowała rzeczy Mili do walizki. Ręce jej drżały i zrozumiała dlaczego. Została jeszcze jedna sprawa, która gnębiła ją tutaj przez cały czas; a prawdę uświadomiła sobie podczas konfrontacji na łodzi. Chociaż mogła – i powinna – wcześniej. Ale nie miała teraz siły na starcie z samą sobą. Prokrastynowała, zupełnie niezgodnie z własną naturą.

Pomyślała, że powinna jeszcze rozmówić się i pożegnać ze świekrą. Po chwili stwierdziła jednak, że nie. Były na zero.

Kiedy tylko otworzyła drzwi pokoju, pojawiła się w nich wielka dłoń. Wzdrygnęła się, wciąż nie była gotowa na zaskoczenia.

Cezary.

– Przepraszam. Nie chciałem wchodzić.

– Ale jesteś.

– Bałem się, że wyjedziesz bez pożegnania. Rafał...

Cierpliwie czekała.

– Był moim przyjacielem – kontynuował. – Ale jestem ci wdzięczny. Nie możesz poznać drugiego człowieka, prawda?

– Nie.

– Wiedziałem, że jest uparty i zawzięty. Wiele lat temu mówił o jakimś planie. O czymś, co musi zrobić. Potem przestał.

– Pewnie planował – podsunęła.

– Ja... nie przypuszczałem...

Spojrzał na nią tak, że musiała zareagować. Wykonać dobry uczynek.

– Dobrze, ustalmy jedno – powiedziała. – Nie jesteś w żaden sposób winny śmierci tych ludzi. Nie można zgadywać i dywagować w takich sytuacjach, rozumiesz to, prawda?

– Tak.

– Świetnie.

Rola psycholożki, której nie powinna się podejmować, ponieważ nie posiadała ku temu kwalifikacji, się skończyła. Położyła Cezaremu dłoń na ramieniu. Dopiero teraz, przy okazji wyjazdu, odważyła się na taki gest. Pociśnięty wielki misio. Na takiego wyglądał i może właśnie taki był. Nie wszyscy wyglądali na innych, niż byli w istocie...

Przyglądała mu się uważnie, bo czuła, że jeszcze na coś czeka. Po chwili dodała:

– Jeśli nie byłeś współwinny, nie zostaniesz o to posądzony – powiedziała. – To oczywiście tylko moja rada, ale nie kłamałabym w niczym, co jest związane z twoją działalnością, przystąpią i znajomością z Szostkiem.

Wydawało się to śmieszne w odniesieniu do biznesmena, który trząsał całą miejscowością.

Był bystrzejszy, niż się wydawało. Ledwo dostrzegalny grymas, trochę jak tik nerwowy, zasygnalizował, że informacja do niego dotarła.

– Zniosę ci walizki – oznajmił.

Zawahała się.

– Dobrze.

Pozwoliła, aby sapiąc, zniósł jej bagaże na dół. Przynajmniej tym razem się sprawił. Cezary szedł z wysiłkiem i wydawało jej się, że obserwuje ich cały personel Szumów. Uważali ją za bohaterkę, ale może tak naprawdę odsuwała coś od siebie. Gorączkowo zajęła się śledztwem, żeby nie utonąć w osobistym bagienku.

Mila skakała za nimi jak kozica. Z Szumów wyszło jeszcze parę osób, niczym z jakiegoś domostwa brytyjskiego. Na końcu zaś Jola, która miała wyjechać jeszcze tego dnia, ale po południu. W końcu miała bliżej, *tylko* do stolicy. Mila chyba jej nie dostrzegła, ale Nina podniosła dłoń.

A potem – po prostu podeszła.

– Posłuchaj, nie zamierzamy wracać do Warszawy – powiedziała. – Ale nie wysyłajmy sobie tych głupich maili. Myślę, że żadna z nas nie ma siły tego czytać i zastanawiać się, czy na pewno piszemy w odpowiednim tonie.

– Jak chcesz...

– Mila mieszka w górach i to się nie zmieni. Ale po prostu zadzwoń do mnie, jak się za nią stęsknicie. Nie pisz, po prostu dzwoń, okej?

Widziała walkę na twarzy świekry. Świetnie było kontrolować każdy fragment rodziny. Tego skrawka nie mogła i chyba zaczęła to rozumieć. Że to jest albo – albo. Kontrola lub możliwość widzenia się z wnuczką.

– Nie mówię tego kurtuazyjnie – kontynuowała Nina. – Mila was potrzebuje. Jesteście dla niej ważni. Ale nie pozwolę, żeby moja córka stała w rozkroku. Macie Tomka, ja mam Milę. Mogliście się wykazać, a teraz ja mogę.

To wszystko działo się między nimi, kobietami, Tomek zupełnie się nie liczył. Sam jednak wybrał tę pozycję, nigdy nie wyrastając z roli syna.

– Dziękuję.

Nina pokiwała głową, a potem, choć trochę ją to kosztowało, objęła Jolę. Następnie sprawdziła, czy fotelik małej jest bezpiecznie umocowany w isofixach, i ułożyła jej książeczki w pobliżu. Mila spojrzała na nią z ufnością. Była nad wyraz samodzielna, ale wciąż miała tylko cztery lata.

Tylko cztery lata, ale szybko rosła. Nina poczuła oddech smutku.

– Jedziemy, mamo.

– Tak, jedziemy, kochanie. To będzie długa podróż, chociaż jakoś dojedziemy. Mila uśmiechnęła się do niej, a Nina poczuła skurcz w brzuchu.

Odpaliła silnik mazdy, samochód zawarczał i ruszyły, zostawiając wyspę za sobą.

Kacperski kierował samochodem i czuł, jak fale zmęczenia przelewają mu się przez głowę. Tyle zła i zbrodni, a do tego będzie teraz musiał wypełnić tony papierów, by stworzyć historię, którą łykną również zwierzchnicy. Wszyscy domagali się odpowiedzi – a w sprawie, jak to w sprawie, pozostały dziury. Nie zamierzał się tym przejmować.

A jednak wciąż miał jeszcze coś do zrobienia. Dlatego po raz drugi kierował się na skraj wyspy Wolin. Minął sznur samochodów, a potem – mostem nad Starą Świną – pojechał prosto na Karsibór. Powinien dostrzec to wcześniej, lecz był ślepy. I głuchy na nieświadome podpowiedzi Paidaki. Mgła opadała na domy stojące na brzegu wyspy. Dla niektórych to było dobre miejsce do życia. Zastosował się do znaków wskazujących objazd i po chwili dotarł do tawerny. Oraz do przystani dla kajaków.

Wysiadł. Przez chwilę wgapiął się w przestrzeń, w stronę Wielkiego Krzeku. Żaki były ledwie widoczne. Pochmurnie, cicho i spokojnie. Karsibór wyglądał tak, jakby nikt nigdy tu nie zaglądał. Na wyspie znajdował się jeden sklep i jeden kościół. Za zabudowaniami niedostępne trawy ciągnęły się kilometrami w stronę Warpna.

Idealne miejsce.

Obrzucił wzrokiem odrapane dwójki i sportową jedynekę. Podszedł bliżej, dotykając chropowatej nawierzchni, która kiedyś była żółta. Jedyneką była wymagająca, nie dla każdego. Może to powinno dać mu do myślenia, ale wyczerpanie nie miał czasu drugi raz tu przyjeżdżać.

Cofnął się do tawerny. Nacisnął dzwonek. Dostrzegł, że ktoś szybko zbliża się do drzwi. Otworzyły się i stanęła w nich ta sama dziewczyna co wtedy. Mimo że knajpa świeciła pustkami, patrzyła na niego bez cienia zainteresowania. Czy poznała w nim policjanta, który był tu paręnaście dni temu?

– Teraz zamknięte – powiedziała.

– Chciałbym jednak wejść.

– Po co? – zapytała dość bezczelnie.

– Mam sprawę do... – urwał, bo drogę zaczynało torować sobie pewne podejrzenie – właściciela.

– Taty nie ma.

Przełknął ślinę. Mógł się tego domyślić. Nawet nie był specjalnie zdziwiony.

– Furgonetka stoi. Mam sprawę, tak jak powiedziałem.

– Jaką?

– Chcę wynająć kajak, ale mam parę pytań odnośnie do trasy – skłamał.

Trafił, bo dziewczyna wyraźnie nie chciała się w to wikłać i poszła po ojca. Po chwili usłyszał cięższy krok starego mężczyzny. Zobaczył, jak się zbliża, ubrany w przybrudzoną kamizelkę. Zarost miał pod same oczy, a przecież kiedyś golił się sześć razy w tygodniu. Wyglądał całkiem inaczej niż na zrobionym komputerowo portrecie.

Tyle są one warte, pomyślał. Wzrok musiał go zdradzić, bo Rogosza się zatrzymał.

– Przyjechałeś tu znacznie później, niż mi powiedziałeś – rzekł Kacperski. – Takie głupie kłamstwo.

– O czym pan mówi? Kiedy?

– Rozmawialiśmy o tym na motorówce. Wydaje mi się, że już wtedy mnie poznałeś. No i kajaki... zapomniałem o tym.

– Kompletnie nie rozumiem.

– Proszę.

Rogosza wyprostował się.

– Czego pan ode mnie chce... jakie znowu kłamstwa?

– Chcę odpowiedzi, dlaczego wtedy wyjechałeś.

– Jeszcze raz, nie rozumiem.

Kacperski usiadł na słupku.

– Poznaję cię, wiesz – rzekł. – Już cię poznaję. Nic od ciebie nie chcę, tylko porozmawiać. Przecież wiesz, kim jestem, prawda?

Cisza trwała dość długo i była dla niego trudna do zniesienia.

– Dojrzałeś, Szymon – powiedział w końcu Rogosza. – Posłuchaj, jeśli jesteś tu w związku z ojcem... Byłeś wtedy bardzo młody, nie pamiętasz. Należy ci się prawda o tamtym... – zawahał się – wypadku. Nie pamiętam dobrze, chyba byliśmy wypici, nie powinniśmy tego naprawiać. Może to ja zachęciłem twojego tatę. Ale po tylu latach nie wiem, co jest prawdą, a co wytworem wyobraźni.

Zaczął mamrotać.

– Czytałem akta śledztwa – odezwał się Kacperski.

Cisza.

– Nic ci nie udowodniono. Więcej, wydaje mi się, że naprawdę mogłeś być niewinny. Tylko jedno się nie zgadza, prawda? Gdybyś był, to nie uciekłbyś parę dni później.

– Nie uciekłem.

– A co zrobiłeś, skoro wyjechałeś i zatarłeś ślady?

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, młody.

– Na motorówce poznałeś, że to ja.

– Tak, poznałem cię. Po nazwisku. A potem po twarzy.

– Nic nie powiedziałeś?

Cisza.

Może Kacperski był mały, ale doskonale pamiętał.

Jak ojciec leżał, „odpoczywał”, „nie można mu było przeszkadzać”, a raczej „lepiej już go zostawić”.

Jak on sam wychodził na piłkę – z Kazikiem.

Do lasu w Pobiedziskach.

Ciosać łuki. Budować szałas.

Kazik grał z nim i jego siostrą w chińczyka i w podchody, a wieczorem czytał im Karola Maya.

A teraz nie chciał z nim rozmawiać.

Skierował wzrok na mężczyznę.

– Czekałem na ciebie.

– Nie jestem twoim ojcem.

– Wiem. Ale czekałem. – Kacperski wzruszył ramionami. – Później dotarło do mnie kilka rzeczy. Mama... Była w żałobie. Źle się czuła latami.

– Związała się z kimś?

– Wiesz, że nie, prawda? Wysłałeś jej stąd kartkę, potem jeszcze list. To był mój jedyny trop. Wykradłem go dawno temu, bo szukałem twojego śladu. Mama nie zauważyła... Podałeś adres do korespondencji. To były Międzyzdroje, ale już dawno sprawdziłem ten dom. Szkoda też, że nie podpisałeś się swoim nowym nazwiskiem. Komu je zabrałeś?

– Nie zabrałem – odparł Rogosza. – To nazwisko mojej żony, przyjąłem.

– Adam?

– W dokumentach jest Kazimierz, ale tak kazałem na siebie mówić.

Szymon pokiwał głową.

– Mogłeś zostać. Przecież to wypadek, przecież obaj wiemy, że z was dwóch to tata pił, był bardziej nieprzewidywalny i...

– Więc miałem dalej sypiać z żoną przyjaciela, który zginął na moich oczach?

Cisza.

– Przepraszam, że to mówię, ale jesteś już duży, Szymon. I myślę, że już to wiesz.

Kacperski siedział chwilę w milczeniu.

– Ta dziewczyna to twoja córka? – podjął.

– Tak.

– Młoda.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Żona?

– Umarła.

To nie dotyczyło tylko weekendów. Kazik był prawie codziennie. Odwoził ojca, zdarzało się zresztą, że obaj mieli w czubie. Zostawał na noc. Matka robiła im kolację. Ojciec, pijany jak bela, kładł się na podłodze i zasypiał.

Kazik miał mocną głowę. Kiedy przychodzili obaj, była miłsza. Ale nigdy tego nie przyznała.

A teraz Kacperski marzył jedynie o tym, żeby ten stary, zapuszczony człowiek wziął go w ramiona. Zamiast tego stali na zimnie, a dziewczyna za barem ich obserwowała.

– Dla mnie to ty byłeś moim ojcem. Powinieneś zostać. Wszyscy by tego chcieli.

– Nie jesteście moimi dziećmi – wymamrotał mężczyzna.

Kacperski zrozumiał, że to koniec. Otrzymał zaskakująco niewiele. Jak to w życiu; skromny, wręcz żalony koniec wielkich poszukiwań. Podszedł i położył rękę na zwiotczałym ramieniu Kazika.

A potem odszedł, być może odprowadzany wzrokiem starego mężczyzny. A być może nie. Czuł pewną ulgę, choć nie wiedział, skąd pochodzi. Żwir chrzęścił pod jego stopami. Jedyna zbrodnia, do jakiej doszło w tej sprawie, polegała na tym, że ich opuścił. Że jednego dnia Kacperski stracił dwóch ojców.

Zbliżał się już do samochodu, gdy zobaczył, że od maski odkleja się drobna sylwetka i wychodzi mu na powitanie. Kiedy się spotkali, delikatnie dotknął ciepłej dłoni Eli Paidaki i na jej okrągłej twarzy dostrzegł uśmiech. Przez całą drogę milczeli, ale nie było w tym wrogości. Pomyślał, że niczego więcej mu nie potrzeba.

Powoli zieleniące się wzgórza, majaczące w oddali góry o obłych szczytach, a pomiędzy nimi lesiste doliny z tajemniczymi kapliczkami, kamiennymi piwnicami, sadami i fundamentami starych domów – tyle zostało po Łemkach. Nina pomyślała, że świat wydawał się tutaj zaciszny. Mijała małe wsie, większe wsie i lasy, stopniowo wycinane, ale wciąż gęste. Już niedługo nadejdą z Podhala górale ze swymi owcami i będzie można kupić żętycę i bundz – tylko z mleka owczego i bez zakopiańskiej komerchy.

Nina stęskniła się za Beskidem Niskim chyba bardziej, niż przypuszczała. Rano Mila rwała się, żeby pobiec do okolicznych dzieci, ścieżką wzdłuż pastwisk. Nina nie miałaby nic przeciwko, bo nauczyła się już, że dzieci na wsi chowają się inaczej. Ale plany były inne: mała miała trafić już dzisiaj do przedszkola, do swojej grupy liczącej osiemnaścioro dzieci. Nina nie mogła narzekać. W przedszkolnej grupie Zające Mila miała rytmikę, angielski, wyjścia do kina Kolory. Dwie zaangażowane panie – Ewelina i Kasia – skończyły pedagogikę w Krakowie i chyba naprawdę się cieszyły, że znalazły pracę w rodzinnych Gorlicach.

Nina przypuszczała, że tak będzie. Że po początkowym zachłyśnięciu się metropoliami niektórzy zaczną wracać tam, gdzie życie było dla nich lepsze. Słowa Joli wydawały się idiotyczne. Beskid Niski nie był ucieczką, tylko wyborem. A gdyby ludzie nie podążali za swoimi pragnieniami, to teraz mieszkałaby w blokowisku na Białoostockiej, gdzie jej tata zapił się na śmierć.

Robiła zakupy. Najpierw spożywcze w Biedronce koło ronda, a potem poszła kupić kilka dupereli do domu i nową wiertarkę. W czasie pobytu w górach nauczyła się sprawnie posługiwać takimi narzędziami. A ponieważ miała coraz więcej książek, musiała pilnie zamontować półki. Nieco lżejsza praca zaowocowała tym, że wróciła do literatury, ale przede wszystkim były tam książki dla małej. *Kicia Kocia* i *Pucio* – rozumiała już fenomen tych książeczek. Były krótkie, co ważne dla zmęczonych i zmuszonych do czytania rodziców, przystępne i pozbawione jakiegokolwiek okrucieństwa, takiego jak w baśniach; poza tym można je było kupić na stacji benzynowej. Jeszcze tylko apteka, Grosar i mogła małą wcześniej odebrać z przedszkola. Dzień był piękny – szczególnie

w tej jej małej ojczyźnie, gdzie w co najmniej dwóch punktach usługowych rozpoznano ją i na powrót stała się „Ninką”.

A potem zmierzała już do Brzennej, mijając zjazd do dworu i Siary. Wjechała w swoją dolinę, Brzenną-Kolonie, gdzie przyszło im mieszkać, i po raz kolejny zachwycała się słonecznym dniem. Wiedziała, że mała też wczoraj ucieszyła się powrotem do domu.

Rozpakowała zakupy, czyszcząc zarazem lodówkę. Wstawiła soczki, szynkę z indyka, paszteciki spod Kogutka, słoik barszczu z Dziewiątki, jogurty. Następnie poszła pod taras sprawdzić, ile ma opału. A potem doszła do wniosku, że jest ciepło i nie musi się tym na razie zajmować. I tak przewidywała, że tę noc mała spędzi w jej łóżku i będą się nawzajem ogrzewać.

– No, do roboty – szepnęła i wróciła do samochodu. Wyciągnęła półki z bagażnika i przeniosła je po kolei do domu. Wyjęła skrzynkę z narzędziami i wkrętarce za 89,90 z Lidla. Właściciel domu zgodził się na wszelkie zmiany, wyraźnie znudzony pytaniami dotyczącymi wystroju wnętrza. Wytoczyła miejsce na trzy półki, posługując się poziomnicą. Była skupiona i pracowało jej się świetnie, jak zawsze, kiedy zajmowała się czymś w zastępstwie czegoś ważniejszego.

Nagle poczuła zmęczenie. Usiadła i wpatrywała się w swoje dzieło. Jedna półka już wisiała, wydawało się nawet, że prosto. Ale była jakaś wąska, bardziej na serię kryminałów – tych czarnych, z jamnikiem. A potem zostawiła to wszystko i poszła do samochodu po jeszcze jedną torbę, którą po przyjeździe zostawiła na przednim siedzeniu.

Otworzyła drzwi i przez chwilę na nią patrzyła. Następnie wróciła do bogatszego o jedną półkę domu i skierowała się do łazienki. Odbijające się w lustrze światło lampy wydawało się zielonkawe. Chwilę wpatrywała się w swoją twarz. Powinna wymienić to lustro, bo przy nim człowiek od razu chciał popełnić samobójstwo. Prawda była zaś taka, że wyglądała nieprzyzwoicie dobrze.

Przełknęła ślinę i otworzyła torbę. Wyjęła z niej małe pudełeczko i zrobiła, co miała zrobić. A potem siedziała nieruchomo i przychodziły do niej wspomnienia. O tamtej nocy spędzonej w Bukowcach. Albo że nad morzem odbierała od ciała sygnały, które uparcie starała się ignorować. I że zapachy, które kiedyś lubiła – takie jak woń perfum, lakieru do włosów, ale przede wszystkim ryb – wzbudzały w niej odruch wymiotny.

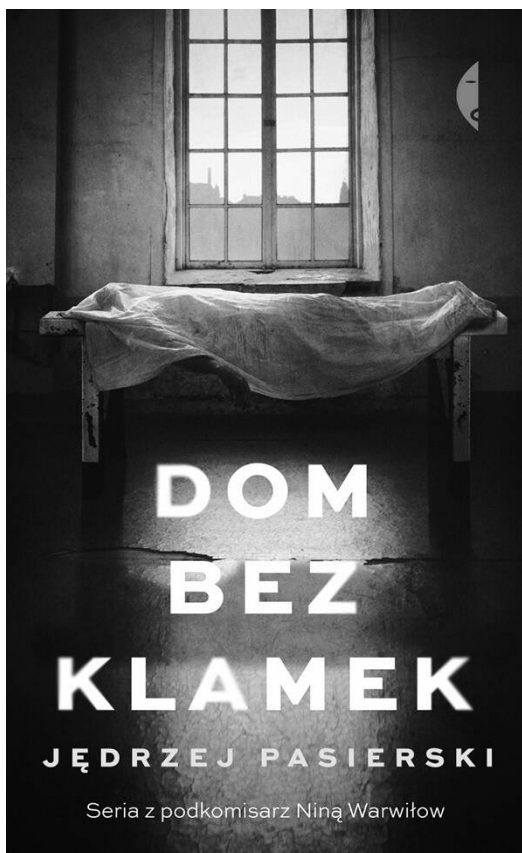
Znowu, jak parę lat temu, siedziała z małą prostokątną płytką w dłoni. Mijały długie sekundy, minuty. W końcu zobaczyła niebieski pasek – z początku delikatny i nieśmiały, po chwili zdecydowany i wyraźny.

Była w ciąży.

KRYMINALNE ŚLEDZTWA NINY WARWIŁOW

Dom bez klamek

tom I

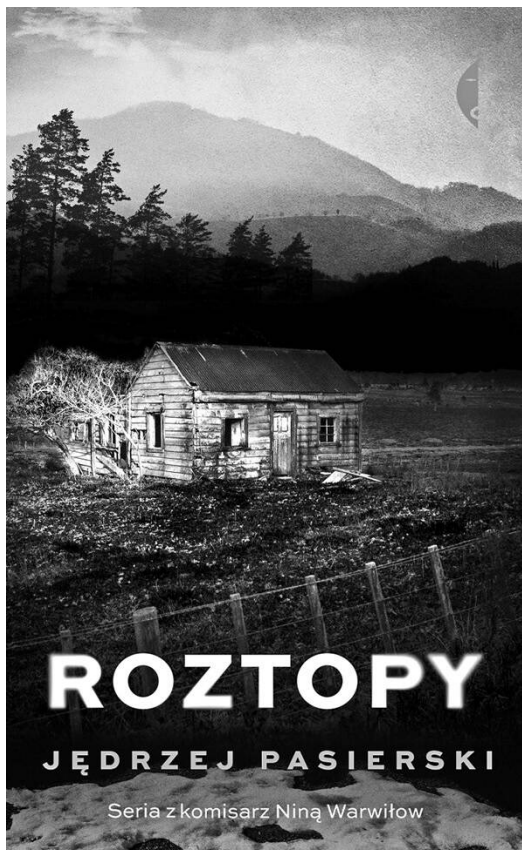


12 grudnia rano pielęgniarzka na oddziale C8 szpitala psychiatrycznego w Weseliskach dokonuje makabrycznego odkrycia. Jeden z pacjentów został brutalnie zamordowany. Podejrzenie pada na pozostałych chorych i personel medyczny. Niebawem okaże się, że przeszłość osób zamieszanych w zbrodnię pełna jest mrocznych tajemnic, przemocy, bólu i zła. Splątane wątki śledztwa próbuje rozwikłać podkomisarz Nina Warwiłow. Jednak morderstwo w szpitalu psychiatrycznym to nie jedyne, co zaprzęta jej myśli. Musi poradzić sobie ze swoją przeszłością i podjąć decyzje, które zaważą na jej przyszłości.

★ KSIĄŻKA ROKU 2018 W SERWISIE GRANICE.PL W KATEGORII „KRYMINAŁ”
– NAGRODA INTERNAUTÓW

Roztopy

tom II

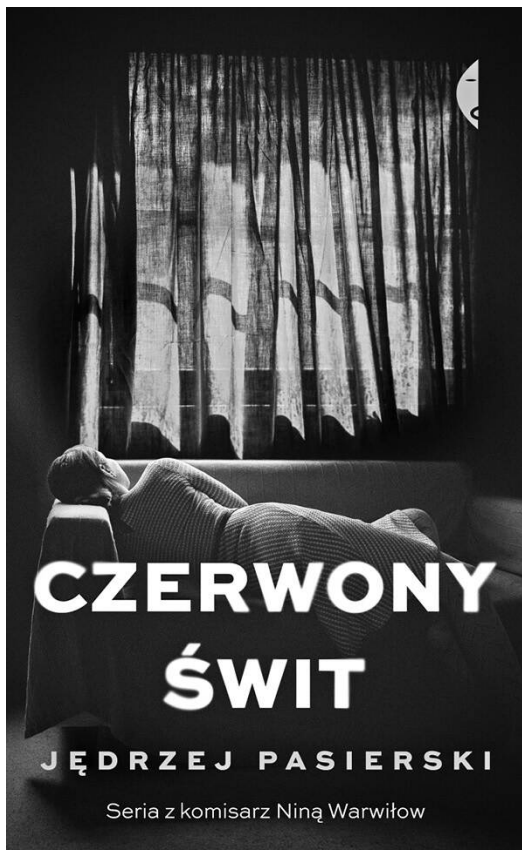


Gdy po wczesnej zimie do Bukowców, małej wsi w Beskidzie Niskim, przychodzą roztopy, policja znajduje w lesie zwłoki. Kim jest ofiara i jaki związek ma brutalne zabójstwo z Joanną Pascho, warszawską lekarką, która niedawno przeprowadziła się w góry? Odpowiedzi na te pytania szuka Nina Warwiłow, szykująca się do powrotu do pracy śledczej po długiej przerwie. Żeby rozwiązać zagadkę zbrodni, będzie musiała odkryć sięgające głęboko w przeszłość mroczne sekrety beskidzkiej wioski.

★ NAGRODA WIELKIEGO KALIBRU ZA NAJLEPSZĄ POWIEŚĆ KRYMINALNĄ
2019 ROKU

Czerwony świt

tom III

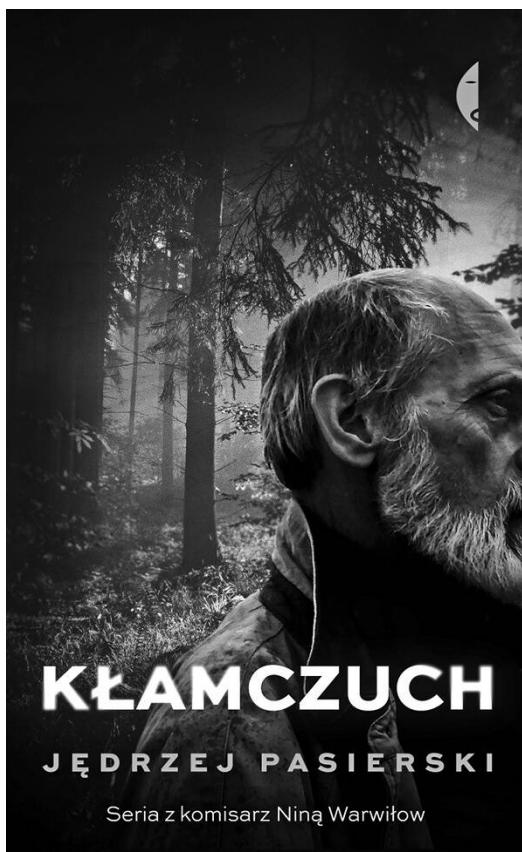


20 marca 2015 roku cała Polska wpatruje się w niebo i podziwia zaćmienie słońca. W tym czasie na warszawskiej Pradze umiera Sara Kosowska – wzięta aktorka. Policja podejrzewa morderstwo. Sprawą zajmuje się Nina Warwiłow, która niedawno wróciła do pracy po urlopie macierzyńskim. Nie będzie jednak miała łatwego zadania. Musi odnaleźć tajemniczą nieznajomą, która w chwili śmierci Sary była w jej mieszkaniu. A wszystko to w błyskach fleszy, bo media śledzą każdy krok policji...

★ NOMINACJA DO NAGRODY ŻŁOTEGO POCISKU

Kłamczuch

tom IV

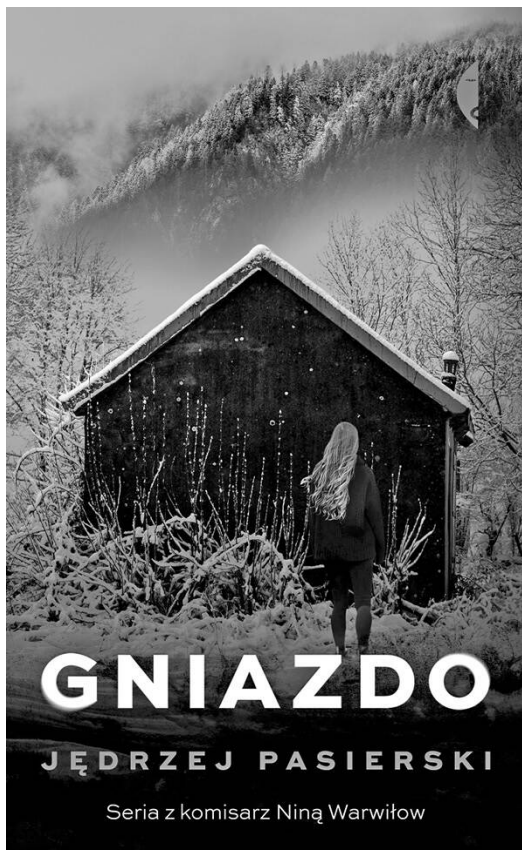


Komisarz Nina Warwiłow wraca w Beskid Niski. Planuje spędzić spokojny urlop z córką we wsi Pyrowa. Odpoczynek zostaje niespodziewanie zakłócony, gdy jeden z mieszkańców pada ofiarą morderstwa. Nina, podążając śladami zabójcy, będzie musiała odnaleźć ziarno prawdy w krążących po wsi legendach, a mieszkańcy zrobią wszystko, by jej to utrudnić. Komisarz Warwiłow czuje także, że ktoś obserwuje każdy jej ruch. Tym razem musi jednak pamiętać, że nie przyjechała w góry sama.

★ WYRÓŻNIENIE GRAND PRIX FESTIWALU KRYMINALNA WARSZAWA

Gniazdo

tom V

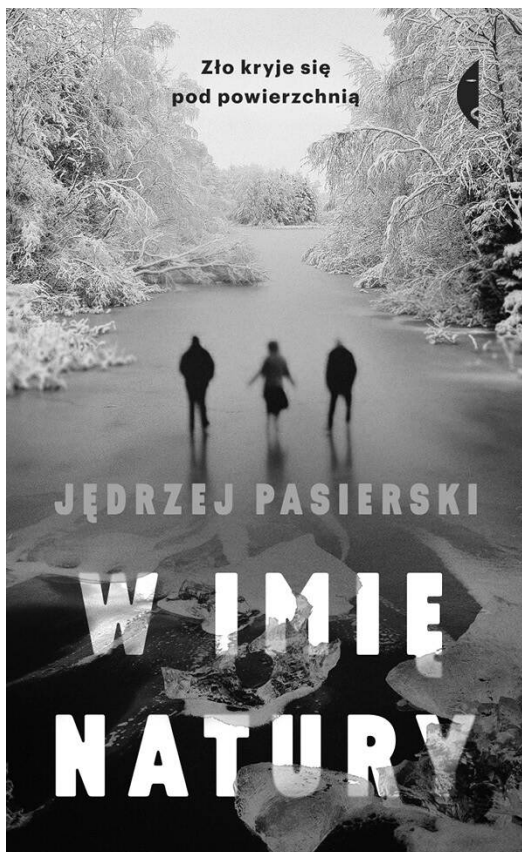


Święta Bożego Narodzenia w Beskidzie Niskim. Ekscentryczny potomek rodziny nafciarskiej, Gabriel Koniarski, zaprasza bliskich na Wigilię. Goście przybywają do świeżo wybudowanego ośrodka, na szczycie góry. Dlaczego poprzedni goście zostali wyrzuceni w środku nocy? Dlaczego Gabriel rozpoczyna zabawę w sąd? Wyjaśnienie tych zagadek musi znaleźć komisarz Nina Warwiłow, która jeszcze nie zdążyła się oswoić z Beskidem Niskim. Wkrótce świąteczne obchody przerywa zbrodnia, krąg podejrzanych jest zamknięty. Nina musi odkryć, kto spośród zgromadzonych jest mordercą – zanim na szczycie góry pojawią się kolejne ofiary.

★ NOMINACJA DO NAGRODY ŻŁOTEGO KOŚCIEJA W KATEGORII KRYMINAŁ ROKU

POLECAMY RÓWNIEŻ THRILLER

W Imię Natury




Mateusz Chabrowski myśli, że ma w życiu wszystko. Jest szczęśliwym mężem i ojcem. Pracuje jako prawnik w założonej przez siebie fundacji W Imię Natury, która zajmuje się ochroną środowiska. Pewnego dnia do jej siedziby ktoś przynosi zdjęcie mężczyzny leżącego na śniegu; wszystko wskazuje na to, że jest martwy. Od tej chwili życie Mateusza staje na głowie – wkrótce znika jego żona Maja, policja nie wierzy w jego wersję wydarzeń, a on rozpoczyna na własną rękę desperackie poszukiwania.

Ślady prowadzą do morskiej farmy wiatrowej i ukrytego w lasach jeziora, nad którym przed laty wydarzyła się tragedia. W gęstniejącej sieci tajemnic coraz trudniej jednak dostrzec prawdziwego przeciwnika. Losem Mai interesuje się więcej osób, w tym jedna szczególnie bezwzględna...

W YDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A , 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2023

Wydanie I

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

Kolofon